

NAGRODA HUGO DLA NAJLEPSZEJ POWIEŚCI SF 2013 ROKU



JOHN SCALZI

CZERWONE  
KOSZULE

**JOHN SCALZI**  
**CZERWONE**  
**KOSZULE**

Przetłóżył Marcin Wawrzyńczak



*Książkę tę dedykuję następującym osobom:*

*Wilowi Wheatonowi, z całą serdecznością, na jaką może się  
zdobyć przepelnione serdecznością serce;*

*Mykalowi Burnsowi, przyjacielowi od czasu, gdy pracowaliśmy  
na TRS-80 w Bibliotece Publicznej w Glendora*

*oraz Joe Mallozziemu i Bradowi Wrightowi, którzy zabrali mnie  
ze sobą w kosmos.*

# Spis treści

PROLOG

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

EPILOG I: PIERWSZA OSOBA

EPILOG II: DRUGA OSOBA

EPILOG III: TRZECIA OSOBA

PODZIĘKOWANIA

Przypisy

## PROLOG

Ze szczytu potężnego głazu, na którym siedział, podporucznik Tom Davis spojrzął na kapitana Luciusa Abernathy'ego, oficera naukowego Q'eenga i inżyniera pokładowego Paula Westa, usadowionych na drugim, jeszcze większym głazie po przeciwnej stronie jaskini. Paskudnie to wygląda – pomyślał.

– Borgowiańskie czerwie pustynne! – zawołał Abernathy i plasnął otwartą dłonią w głaz. – Powinienem być wiedzieć!

Powinieneś być wiedzieć? Raczej: jak to możliwe, że nie wiedziałeś – pomyślał Davis i spojrzął na piaszczyste dno rozległej jaskini, gdzie ciemniejsze wybrzuszenia znaczyły tu i ówdzie szlak wielkich mięsożernych piaskali.

– Nie najlepsze miejsce na potańcówkę – powiedział do Chena, drugiego członka grupy rekonesansowej, gdy natknęli się na to miejsce.

Abernathy, Q'eeng i West zdążyli już wejść do środka, mimo że – zgodnie z zasadami – powinni byli poczekać na Davisa i Chena, stanowiących ich wsparcie.

Chen, który był nowy, prychnął:

– Daj spokój. To tylko jaskinia. Co niby mielibyśmy tam znaleźć?

– Niedźwiedzie? – odparł Davis. – Wilki? Inne wielkie drapieżniki, które lubią ciemne kryjówki? Nie biwakowałeś nigdy w dziczy?

– Na tej planecie nie ma niedźwiedzi – zauważył Chen, rozmyślnie ignorując sens słów kolegi. – Poza tym mamy broń. No już, daj spokój! To moja pierwsza misja. Nie chcę, żeby kapitan zastanawiał się, gdzie jestem.

I wbiegł do środka za pozostałymi.

Kilka chwil później Davis przyglądał się ciemnej plamie na dnie jaskini, która była wszystkim, co zostało po Chenie. Zwabione odgłosem kroków czerwie błyskawicznie zlokalizowały nieostrożnego młodzika i wessały pod powierzchnię. Echo jego wrzasków ucichło równie błyskawicznie i plama była jedynym śladem tego, co zaszło.

Nie, to nie do końca prawda, skrzywił się podporucznik, spoglądając w głąb jaskini i widząc samotną dłoń Chena, wciąż kurczowo ściskającą miotacz laserowy, który, jak się okazało, na nic mu się nie przydał.

Ziemia poruszyła się i dłoń zniknęła.

Dobra, teraz to prawda – pomyślał gorzko.

– Poruczniku Davis! – zawołał kapitan Abernathy. – Proszę nie zmieniać pozycji! Wszelki ruch alarmuje czerwie! Zostanie pan pożarty!

Dzięki za tę oczywistą i bezużyteczną informację, dupku Davis – skomentował w duchu. W końcu był tylko podporucznikiem, a Abernathy kapitanem.

– Tak jest, sir! – krzyknął.

– Świetnie – odrzekł dowódca. – Nie chciałbym, żeby pan ryzykował i został pożarty przez te piaskale. Pana ojciec nigdy by mi tego nie wybaczył.

Co takiego? – pomyślał Davis i nagle przypomniał sobie, że Abernathy służył pod rozkazami jego ojca na „Beniaminie Franklinie”. I że ojciec w istocie uratował życie ówczesnemu podporucznikowi Abernathy’emu, wrzucając jego nieprzytomne ciało do kapsuły ewakuacyjnej i odpalając silniki – na sekundy przed tym, jak „Franklin” zamienił się w kulę ognia. Przez trzy dni dryfowali w przestrzeni kosmicznej i mało brakowało, żeby się podusili, a wtedy wreszcie ich wyratowano.

Potrząsnął głową. Dziwne, że akurat teraz mu się to przypomniało.

Abernathy jakby czytał mu w myślach.

– Wie pan, że pana ojciec uratował mi kiedyś życie – powiedział.

– Wiem... – zaczął Davis, a potem zachwiał się i niemalże spadł z głazu, gdy czerwie podkopały skałę.

– Poruczniku! – zawołał Abernathy.

Davis rozpląszczył się na powierzchni skały, żeby jak najbardziej obniżyć środek ciężkości, i zerknął na Abernathy’ego, który naradzał się z Q’engiem i Westem. Nie słyszał ich, wiedział jednak, że wymieniają informacje o borgowiańskich czerwiach pustynnych, żeby wymyślić sposób

ich unieszkodliwienia. Przecież muszą bezpiecznie przejść przez jaskinię i dotrzeć do podziemnej komory mieszczącej starożytny komputer centralny Borgowian, który z kolei ma wyjaśnić tajemnicę zniknięcia tej mądrej i niezwykłej rasy.

Naprawdę musisz się skupić na tym, co się dzieje – pomyślał i pokręcił głową. Nie dało się ukryć, że jego mózg wybrał sobie dość dziwny moment na wydobywanie z zakamarków pamięci całej masy danych zupełnie bezużytecznych, jeżeli wziąć pod uwagę okoliczności.

Czerwie ponownie zakołysały głazem, na którym siedział. Uchwycił się go kurczowo, widząc, że Abernathy, Q'eeng i West rozprawiają z coraz większym ożywieniem.

Nagle coś przyszło mu na myśl.

Jesteś członkiem zespołu wsparcia. Masz miotacz. Możesz po prostu wykończyć to cholerstwo.

Pacnąłby się w głowę, gdyby nie to, że pod wpływem ruchów czerwi właśnie rąbnął czołem o głaz. Oczywiście, że tak! Miotacz! Sięgnął do pasa, żeby wyjąć broń z kabury. Jednocześnie zaczął się zastanawiać, dlaczego – jeżeli rozwiązanie było tak proste – nie wpadł na nie Abernathy razem z pozostałymi.

Sporo się dzieje w tej mojej łepetynie! – skarcił się w myślach, jednak zignorował to spostrzeżenie, po czym wycelował w wybrzuszenie, które pojawiło się w pobliżu głazu.

W tym samym momencie, w którym pociągnął za spust, wysyłając śmiertcioną laserową wiązkę, Abernathy wrzasnął:

– Nie!

Ukryty pod ziemią stwór zaskrzeczał przeraźliwie, po czym zatrząsł się wściekle. Rozległ się złowrogi huk, gdy dziesiątki czerwi wystrzeliły na powierzchnię.

– Miotacz laserowy jest bezużyteczny przeciwko borgowiańskim czerwiom pustynnym! – Q'eeng próbował przekrzyczeć ryk wydawany przez gwałtownie rzucające się stworzenia. – Jego częstotliwość sprawia, że dostają szału. Davis, właśnie ściągnąłeś je nam wszystkie na głowę!



Nie mogłeś mi tego powiedzieć, zanim strzeliłem? – chciał krzyknąć Davis. – Nie mogłeś poinformować o tym w trakcie odprawy? Na statku? Gdy omawialiśmy lądowanie na Borgowii? Na której żyją cholerne czerwie pustynne?!

Lecz nic nie powiedział, bo miał świadomość, że Q'eeng i tak go nie usłyszy, a poza tym było za późno. Stało się, strzelił. Czerwie oszalały. Wyglądało na to, że ktoś zginie.

Tym kimś będzie najpewniej on sam.

Przebijając wzrokiem kurz i pył, wzniecone przez wierzgające cielska, spojrzał na Abernathy'ego, który przyglądał mu się z zaniepokojeniem. Wtedy zaczął się zastanawiać, czy kapitan kiedykolwiek rozmawiał z nim, zanim wyruszyli na tę misję.

Z pewnością – od czasu katastrofy „Franklina” – on i ojciec Davisa trzymali się razem. Byli przyjaciółmi. Dobrymi przyjaciółmi. Możliwe nawet, że Abernathy znał Davisa, gdy ten był jeszcze dzieckiem, i że pogadał, z kim trzeba, żeby załatwić synowi przyjaciela robotę na „Nieustraszonym” – okręcie flagowym Unii Galaktycznej. Nie odwiedzał go tam – faworyzowanie członka załogi przez dowódcę nie byłoby dobrze widziane – ale z pewnością musieli rozmawiać. Parę słów raz na jakiś czas. Pytanie o ojca. Albo może na którejś z pozostałych misji.

Poczuł pustkę w głowie.

Nagle hałas ucichł. Czerwie zniknęły pod ziemią równie szybko, jak się spod niej wyłoniły. Kurz opadł.

– Wycofały się! – Davis usłyszał własny głos.

– Nie – odparł Abernathy. – Są na to za sprytne.

– Dam radę dobiec do wyjścia! – Słowa same wydobyły mu się z ust.

– Niech pan się nie rusza, poruczniku! – zawołał Abernathy. – To rozkaz!

Ale Davis zeskoczył już z głazu i pędził ile sił w nogach ku wyjściu z jaskini. Z jednej strony sam był zszokowany irracjonalnością swego postępowania, z drugiej – nic go to nie obchodziło. Wiedział, że musi się ruszyć. Wewnętrzny przymus. Nie miał innego wyjścia.

– Nie! – krzyknął Abernathy jakby w zwolnionym tempie, gdy Davis przebiegł połowę dystansu, jaki miał do pokonania. W tej samej chwili dno jaskini eksplodowało. Czerwie ustawiły się w półokrąg, po czym wystrzeliły w górę, zacierając po kolejną ofiarę.

Davis wrył się piętami w ziemię, a na jego twarzy zagościł wyraz zaskoczenia, gdyż przeżył objawienie. To był decydujący moment jego życia. Sens jego istnienia. Wszystko, co wcześniej zrobił, czym był, co powiedział lub czego pragnął, miało doprowadzić go do tej konkretnej chwili, gdy hamował, zarywszy piętami w ziemi, a borgowiańskie czerwce wystrzeliwały na powierzchnię i w kłębach pyłu zmierzały ku niemu.

To było jego przeznaczenie. Jego los.

W ułamku sekundy, wpatrując się w ostre jak igła zęby osadzone w (dość podejrzanej z ewolucyjnego punktu widzenia) obrotowej szczęce czerwca, porucznik Tom Davis ujrzał przyszłość.

W tym wszystkim nie chodziło wcale o tajemnicze zniknięcie Borgowian. Odtąd już nikt nigdy nie będzie o nich mówił. Chodziło o niego – a właściwie o to, jak jego rychła śmierć wpłynie na ojca, obecnie admirała. A mówiąc jeszcze precyzyjniej, jak jego śmierć wpłynie na relację pomiędzy admirałem Davisem i kapitanem Abernathym. Davis zobaczył, jak Abernathy informuje admirała Davisa o śmierci jego syna. Ujrzał, jak szok ustępuje miejsca gniewowi, jak przyjaźń między dwoma mężczyznami kończy się niby ucięta nożem. Zobaczył scenę, w której żandarmeria Unii Galaktycznej na zlecenie admirała aresztuje Abernathy'ego pod fałszywym zarzutem niedopełnienia obowiązków służbowych.

Ujrzał rozprawę w sądzie wojskowym i oficera naukowego Q'eenga w roli adwokata oskarżonego; jak Q'eeng swoimi pytaniami doprowadza zeznającego admirała do załamania i zmusza go do przyznania, że tak naprawdę chodziło o zemstę za śmierć syna. Ujrzał, jak admirał wyciąga dłoń do człowieka, którego fałszywie oskarżył, i prosi o przebaczenie, a kapitan Abernathy udziela mu go w akcie rozdzierającego serce pojednania wprost na sali sądowej.

Była to wielka historia. Wielki dramat.

A wszystko zależało od niego. Od tej chwili. Od jego losu. Od przeznaczenia porucznika Davisa.

Pieprzyć to, chcę żyć – pomyślał i uskoczył przed rozdziawionymi paszczami. Potknął się, a jeden z czerwi odgryzł mu głowę. Davis umarł.

Z głazu, na którym siedzieli Q'eeng, West i on sam, kapitan Lucius Abernathy patrzył bezradnie, jak Tom Davis pada ofiarą czerwi pustynnych. Poczł dłoń na ramieniu. To był inżynier pokładowy West.

– Przykro mi, Luciusie – rzekł West. – Wiem, że zależało ci na tym chłopaku.

– Nawet więcej – odparł Abernathy, czując, jak żal ścisł mu gardło. – On był synem przyjaciela. Znałem go od dziecka, Paul. Załatwiłem mu stanowisko na „Nieustraszonym”. Obiecałem jego ojcu, że będę na niego uważał. I uważałem. Zglądałem do niego od czasu do czasu. Bez żadnego faworyzowania oczywiście. Po prostu miałem go na oku.

– Admirał będzie niepokieszony – zauważył Q'eeng. – Podporucznik był jedynym dzieckiem admirała i jego zmarłej żony.

– Tak – zgodził się dowódca. – Będzie ciężko.

– To nie twoja wina, Luciusie – odezwał się West. – To nie ty kazałeś mu strzelać. Nie ty kazałeś mu zeskoczyć z głazu.

– Nie moja wina – powiedział ciężko Abernathy – lecz moja odpowiedzialność. – Odsunął się w najdalszy kraniec głazu.

– Jezu Chryste – mruknął cicho West do Q'eenga, żeby kapitan nie usłyszał. – Co za debil używa miotacza laserowego w jaskini pełnej borgowiańskich piaskali? A potem próbuje dobiec do wyjścia? Davis mógł być synem admirała, ale nie grzeszył zanadto rozumem.

– Rzeczywiście, jednak szkoda chłopaka – odrzekł Q'eeng. – Niby zwyczaj i zagrożenia czerwi pustynnych są powszechnie znane, a mimo to i Chen, i Davis zachowali się lekkomyślnie.

– Mamy do czynienia z obniżaniem się standardów – dodał West.

– Prawdopodobnie – potwierdził Q'eeng. – W każdym razie ta i wiele innych misji ucierpiało ostatnio z powodu znaczących strat w ludziach. Bez względu na to, czy jest to zgodne z naszymi standardami, czy nie, fakt pozostaje faktem: potrzebujemy uzupełnień.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Podporucznik Andrew Dahl wyjrzał przez okno „Doku”, jak nazywano krążącą po orbicie okołoziemskiej stację kosmiczną Unii Galaktycznej, i wbił wzrok w statek, na który otrzymał przydział. Patrzył na „Nieustraszonego”.

– Piękny, nieprawdaż?

Mężczyzna podniósł wzrok i ujrzał młodą kobietę w mundurze podporucznika floty kosmicznej, spoglądającą w tę samą stronę co on.

– Tak – zgodził się.

– Statek kosmiczny „Nieustraszony” – powiedziała kobieta. – Zbudowany w dwa tysiące czterysta pięćdziesiątym trzecim roku w stoczni na Marsie. Jednostka flagowa Unii Galaktycznej od roku dwa tysiące czterysta pięćdziesiątego szóstego. Pierwszy dowódca: kapitan Genevieve Shan. Od roku dwa tysiące czterysta sześćdziesiątego drugiego pod komendą kapitana Luciusa Abernathy’ego.

– Jest pani przewodniczką po „Nieustraszonym?” – zapytał Dahl z uśmiechem.

– A pan jest turystą? – Kobieta uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Nie – odparł i wyciągnął dłoń. – Andrew Dahl. Mam przydział na „Nieustraszonego”. Czekam na prom o piętnastej.

Młoda kobieta uścisnęła mu rękę.

– Maia Duvall. Też mam przydział na „Nieustraszonego”. I też czekam na prom o piętnastej.

– Co za zbieg okoliczności.

– Jeżeli zbiegiem okoliczności nazywasz fakt, że dwoje członków floty Unii czeka na pokładzie stacji kosmicznej tejże Unii na prom mający ich zabrać na statek kosmiczny Unii, a jakże, przy oknie, przy którym ów prom zacumuje, to tak – prychnęła.

– Cóż, nie da się ukryć – odparł.

– Dlaczego jesteś tak wcześnie? – zapytała. – Dopiero południe. Myślałam, że będę pierwsza.

– Nie mogłem się doczekać – wyznał Dahl. – To mój pierwszy przydział. – Duvall obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem. – Spóźniłem się o parę lat z pójściem na Akademię – wyjaśnił.

– Dlaczego?

– To długa historia.

– Mamy czas – stwierdziła. – Chodźmy coś zjeść i mi opowiesz.

– Hm... – chrząknął Dahl. – Właściwie to na kogoś czekam. Na przyjaciela. Który też ma przydział na „Nieustraszonego”.

– Stołówka jest tuż obok – powiedziała, wskazując kontuar na drugim końcu korytarza. – Wyślij swojemu kumplowi info. Nawet jeżeli nie odbierze wiadomości i tak go zobaczymy. No chodź, postawię ci drinka.

– Skoro tak... – Dahl skinął głową. – Gdybym odrzucił taką ofertę, nie miałbym czego szukać we flocie kosmicznej.

\* \* \*

– Obiecałeś mi długą historię – powiedziała Duvall, gdy zamówili już jedzenie i picie.

– Nic takiego nie obiecywałem – zaprotestował Dahl.

– Pośrednio tak. – Uśmiechnęła się. – Poza tym postawiłam ci drinka. Jesteś moim dłużnikiem. A więc, słucham, poruczniku Dahl, proszę mnie zabawić.

– W porządku, niech będzie – odrzekł. – Poszedłem na Akademię późno, bo przez trzy lata uczyłem się w seminarium duchownym.

– To dość ciekawe – skomentowała.

– Na Forshanie – dodał.

– O, to już bardzo ciekawe. A więc jesteś kapłanem religii forshańskiej? Którego odłamu?

– Lewomyślnego, ale nie kapłanem.

– Nie dałeś rady z celibatem?

– Kapłanów lewomyślnego odłamu nie obowiązuje celibat – odparł. – Jednak w seminarium byłem jedynym przedstawicielem rasy ludzkiej, co oznacza, że celibat został mi jakby narzucony.

– Niektórzy nie przejmowałiby się takim szczegółem.

– Nie widziałas z bliska kleryka forshańskiego seminarium. Poza tym nie utrzymuję kontaktów płciowych z nieлюдźmi.

– Może po prostu nie spotkałeś dotąd właściwego obcego.

– Wolę ludzi – rzucił zdecydowanie. – Nazwij mnie nudziarzem.

– Nudziarz – powiedziała, drocząc się z nim.

– Za to ty w rekordowo krótkim czasie wyciągnęłaś mnie na zwierzenia o preferencjach seksualnych. Jeżeli tak świntuszysz z kimś, kogo dopiero poznałaś, mogę sobie wyobrazić, jak zachowujesz się przy starych znajomych.

– Och, nie przy każdym! – parsknęła. – Ty wzbudziłeś moją sympatię. A wracając do tematu: czyli nie jesteś kapłanem.

– Nie. Formalnie rzecz biorąc, posiadam status „zagranicznego penitenta”. Pozwolono mi odbyć całe studia i odprawić niektóre rytuały, lecz ograniczenia fizyczne uniemożliwiły mi uzyskanie pełnych święceń.

– Takie jak? – zapytała.

– Na przykład samozapłodnienie.

– Drobnny, lecz istotny szczegół – zauważyła.

– A ty się martwiłaś o mój celibat. – Dahl pociągnął łyk.

– Skoro i tak nie mogłeś zostać kapłanem, czemu w ogóle poszedłeś do seminarium?

– Religia forshańska wydała mi się bardzo kojąca – odparł. – W młodości zrobiła na mnie duże wrażenie. Rodzice osierocili mnie, gdy byłem mały, wziąłem więc spadek, zapłaciłem za naukę języka, a potem poleciałem na Forshan i znalazłem seminarium, chętne, żeby mnie przyjąć. Planowałem zostać tam na zawsze.

– Jednak nie zostałeś – stwierdziła. – Jak widać.

Dahl uśmiechnął się.

– Cóż, religia forshańska daje dużo spokoju, niestety tego samego nie da się powiedzieć o forshańskich wojnach religijnych.

– Ach tak – skwitowała. – A jak z forshańskiego kleryka zostaje się absolwentem Akademii?

– Kiedy Unia zaoferowała się jako mediator między zwaśnionymi odłamami religijnymi na Forshanie, potrzebowali tłumacza, a ja byłem na miejscu – wyjaśnił. – Niewielu ludzi zna więcej niż jeden dialekt tamtejszego języka. Ja znałem wszystkie cztery główne.

– Imponujące!

– Językowo radzę sobie nie najgorzej.

– Hej, i kto tu świntuszy?!

– Po fiasku misji rozjemczej Unia wezwała wszystkich nieautochtonów do opuszczenia planety – rzekł Dahl. – Główny negocjator dał mi znać, że Unia potrzebuje lingwistów i naukowców, i polecił mnie na Akademii. Moje seminarium było już wtedy kupką dymiących zgliszczy, a ja nie miałem się dokąd udać. Zresztą, nawet gdybym miał, i tak nie byłoby mnie na to stać. Akademia wydawała się najlepszym wyjściem z sytuacji. Kolejne cztery lata spędziłem, studiując ksenobiologię i lingwistykę. I tak znalazłem się tutaj.

– To była ciekawa historia. – Duvall podniosła butelkę w toaście.

Stuknęli się.

– Dzięki – powiedział Dahl. – A twoja?

– O wiele mniej interesująca.

– Wątpię.

– Nie studiowałam w Akademii. Zaciągnęłam się do sił pokojowych Unii, zwykła rekrutka. Spędziłam tam kilka lat. Trzy lata temu przeniesiono mnie do floty kosmicznej. Ostatnio służyłam na „Nantes”.

– Awans? – zapytał.

Uśmiechnęła się krzywo.

– Niezupełnie. Nazwijmy to przeniesieniem z powodu konfliktu osobistego.

Zanim Dahl zdążył się dowiedzieć czegoś więcej, zabuczał jego telefon. Wyciągnął go i zerknął na wiadomość.

– Bęcwał – mruknął.

– Co tam?

– Poczekaj chwilę – powiedział i odwrócił się, żeby dać znak młodemu mężczyźnie stojącemu na środku korytarza. – Tu jesteśmy, Jimmy! – zawołał.

Facet wyszczerzył radośnie zęby, pomachał w odpowiedzi i ruszył w ich stronę.

– Domyślam się, że to przyjaciel, na którego czekasz.

– Tak, to on – potwierdził Dahl. – Jimmy Hanson.

– Jimmy Hanson? – spytała Maia. – Mam nadzieję, że to nie ten od Jamesa Hansona, prezesa Hanson Industries?

– James Albert Hanson IV – potwierdził Dahl. – Jego syn.

– Musi być z niego fajny gość.

– Za kieszonkowe mógłby sobie kupić całą tę stację. Ale on nie jest taki.

– Co masz na myśli?

– Czołem, wiara! – rzucił Hanson, podchodząc do stolika. Spojrzał na Duvall i wyciągnął dłoń. – Cześć, jestem Jimmy.

– Maia – odparła Duvall i uścisnęli sobie ręce.

– A więc jesteś znajomą Andy’ego, tak? – zapytał Hanson.

– Zgadza się. Starą znajomą. Znamy się już całe pół godziny.

– Super. – Hanson się uśmiechnął. – On i ja znamy się odrobinę dłużej.

– Mam nadzieję – odparła.

– Idę po coś do picia – powiedział Jimmy. – Chcecie coś? Postawić wam jeszcze po kolejce?

– Ja mam dość – stwierdził Dahl.

– A ja bym się jeszcze napiła. – Maia pomachała prawie pustą butelką.

– To samo?

– Jasne.



– Świetnie. – Dziedzic fortuny klasnął w dłonie. – Zaraz wracam. Przytrzymacie mi miejsce?

– Nie ma sprawy – rzekł Andy.

Hansen oddalił się.

– Wydaje się miły – powiedziała Duvall.

– I taki jest – potwierdził Dahl.

– Nie żeby robił wrażenie kogoś szczególnie interesującego.

– Ma inne zalety.

– Takie jak stawianie drinków?

– Również, choć akurat nie to miałem na myśli.

– Mogę ci zadać osobiste pytanie? – Duvall nachyliła się ku niemu.

– Biorąc pod uwagę, że zdążyliśmy już omówić moje preferencje seksualne, wal! – Roześmiał się.

– Znaliście się z Jimmym, zanim dowiedziałaś się, że jego ojca stać byłoby na kupno całej planety albo dwóch?

Dahl milczał przez chwilę.

– Wiesz, czym bogacze różnią się od nas? – zapytał wreszcie.

– Poza tym, że mają od nas więcej pieniędzy?

– Tak.

– Nie wiem – przyznała.

– Otóż tym, że doskonale zdają sobie sprawę, w każdym razie ci inteligentniejsi, dlaczego ludzie chcą się z nimi przyjaźnić. Czy dlatego, że ich lubią i cenią, czy też dlatego, żeby mieć dostęp do pieniędzy i władzy. Rozumiesz?

– Jasne. – Skinęła głową.

– Świetnie. A teraz posłuchaj: będąc jeszcze chłopcem, Jimmy uświadomił sobie, że jego ojciec jest jednym z najbogatszych ludzi w Unii Galaktycznej. Następnie zdał sobie sprawę, że któregoś dnia on sam zajmie jego miejsce. Potem doszedł do wniosku, że wielu ludzi będzie próbowało to wykorzystać. I wreszcie nauczył się, jak ich unikać.

– Kapuję – powiedziała Duvall. – On poznałby, gdybyś kumplował się z nim tylko ze względu na pieniądze jego ojca.

– Ciekawie było obserwować go w trakcie pierwszych kilku tygodni w Akademii – ciągnął Andy. – Część kadetów, podobnie zresztą jak wykładowców, próbowała się z nim zaprzyjaźnić. Myślę, że byli zaskoczeni tym, jak szybko ich przejrzał. Miał w życiu dość czasu, żeby nauczyć się czytać ludzkie intencje. Nie ma innego wyjścia.

– A jak ty się do niego zbliżyłeś? – zapytała.

– W ogóle – odparł Dahl. – To on podszedł do mnie i zaczął rozmawiać. Chyba zdał sobie sprawę, że nie interesuje mnie, kim jest jego ojciec.

– Wszyscy cię kochają – rzuciła, a w jej głosie zabrzmiał sarkazm.

– To po pierwsze, a po drugie byłem dobry z biologii, z którą on miał problem. To, że jest wybredny w doborze znajomych, nie oznacza, że nie dba o własne interesy.

– Miałam wrażenie, że jest gotów przyjąć mnie do grona swoich znajomych.

– Bo myśli, że jesteśmy przyjaciółmi, a ma do mnie zaufanie – rzekł Dahl.

– A jesteśmy? – zapytała Duvall. – Przyjaciółmi?

– Jak dla mnie jesteś odrobinę zbyt nadpobudliwa.

– Tak, wyczuwam od ciebie wibrację „lubię spokój”. – Zaśmiała się.

– Zakładam, że ty nie znasz tego stanu.

– Śpię od czasu do czasu – przyznała. – Poza tym nie.

– Pewnie będę musiał się z tym pogodzić.

– Na to wychodzi.

– Mam napoje! – zawołał Hanson, podchodząc do stolika.

– Cóż, Jimmy – powiedziała Duvall – zdaje się, że tym samym dołączyłeś do grona moich ulubieńców.

– Świetnie. – Hanson podał jej butelkę i usiadł. – A więc o czym gadamy?

\* \* \*

Tuż przed przylotem promu w poczekalni zjawiły się jeszcze dwie osoby. A właściwie pięć: dwóch szeregowców, eskortowanych przez trzech żandarmów. Duvall dała znak Dahlowi i Hansonowi, którzy podnieśli wzrok. Jeden z szeregowców zauważył to i mrugnął do nich.

– Tak, mam świtę – powiedział z przekąsem.

Duvall puściła to mimo uszu i zwróciła się do jednego z żandarmów:

– Co przeskrobał?

– Ma kilka zarzutów, w tym przemyt, sprzedaż kontrabandy i atak na pierwszego oficera – odparł żandarm, a potem wskazał na drugiego mężczyznę, który stał ze zwieszoną głową, unikając kontaktu wzrokowego.

– Ta sierota jest jego kumplem. Podejrzany o współudział.

– Zarzut o atak na pierwszego jest dęty – powiedział główny oskarżony.  
– Facet był nawalony jak stodoła na jesień.

– Prochami, które sam mu podałeś – wtrącił drugi szeregowiec, wciąż nie patrząc na nikogo.

– Nikt nie jest w stanie udowodnić, że mu je podałem, a poza tym to nie były prochy, tylko pozaziemski grzybek – odparł ten pierwszy. – I ten grzybek rozluźnia ludzi, a nie sprawia, że atakują innych, zmuszając ich do samoobrony.

– Podałeś mu żagwiaka, co? – wtrącił Dahl.

Chłopak spojrzał na niego.

– Jak już mówiłem, nikt mi nie udowodni, że cokolwiek mu podałem. A po drugie, być może.

– Żagwiak zawiera związek chemiczny, który u większości ludzi wywołuje stan relaksu i rozluźnienia – wyjaśnił Andy. – Jednak u jednej osoby na tysiąc efekt jest odwrotny, gdy receptory w mózgu są nieco inne niż u reszty populacji. U jednego gościa na tysiąc żagwiak wywoła szal. Wygląda na to, że wasz pierwszy oficer należał do wybrańców.

– Kim jesteś, że tak dobrze znasz się na pozaziemskich grzybkach?

– Kimś, kto wie, że bez względu na okoliczności nie należy sprzeciwiać się przełożonym – odparł Dahl.

Szeregowy wyszczerzył zęby.

– A dlaczego nie jesteś w pace? – spytała Duvall.

Chłopak wskazał na Dahla.

– Zapytaj swojego kumpla, skoro jest taki mądry.

Maia spojrzała na Andy'ego, który wzruszył ramionami.

– Żagwiaka nie ma na liście organizmów zakazanych – wyjaśnił. – Po prostu konsumowanie go to nie najmądrzejszy pomysł. Trzeba albo studiować ksenobiologię, albo interesować się mało znanymi, formalnie legalnymi środkami wspomagającymi pozaziemskiego pochodzenia w celach rekreacyjnych.

– Ach tak – rzekła Maia.

– Jeżeli miałbym zgadywać – ciągnął Dahl – powiedziałbym, że nasz przyjaciel...

– Finn – wtrącił szeregowiec i wskazał na swojego towarzysza. – A to jest Hester.

– ...że nasz przyjaciel, Finn, cieszył się opinią kogoś, kto potrafi załatwić substancje, których nie wykryje test antynarkotykowy.

Hester prychnął.

– Domyślam się również, że ów pierwszy oficer zapewne nie chce, żeby wyszło na jaw, że brał narkotyki...

– Grzybki – wtrącił Finn.

– ...jakiegokolwiek rodzaju. I że kiedy z powodu żagwiaka wpadł w szal i zaatakował pana Finna, ten, przynajmniej z formalnego punktu widzenia, bronił się. Więc zamiast go aresztować i tym samym otwierać puszkę Pandory, lepiej po cichu przenieść szeregowego gdzie indziej.

– Jest to interpretacja wydarzeń, której nie mogę ani potwierdzić, ani zaprzeczyć – rzekł Finn.

– A po co żandarmeria? – zapytał Hanson.

– Żeby dopilnować, że wsiądziemy na „Nieustraszonego” bez żadnych skoków w bok – powiedział Hester. – Czyli żeby ten tutaj nie próbował przypadkiem zajrzeć do swojej skrytki i uzupełnić zapasu towaru.

Finn przewrócił oczami na te słowa.

Duvall spojrzała na Hestera.

– Wyczuwam gorycz.

Hester wreszcie podniósł wzrok.

– Sukinsyn urządził sobie skrytkę w mojej szafce na ubrania – wyjaśnił.

– A ty nie miałeś o tym pojęcia?

– Twierdził, że to słodczyce i że jeżeli inni się dowiedzą, to mu je wyżrą.

– Tak by było – odrzekł Finn. – Na swoją obronę dodam, że wszystko rzeczywiście było polukrowane.

– Mówiłeś również, że to dla twojej matki – powiedział Hester.

– Cóż, tutaj akurat kłamałem.

– Próbowałem powiedzieć kapitanowi i pierwszemu, ale nie chcieli mnie słuchać – poskarżył się Hester. – Z ich punktu widzenia jestem współsprawcą. A ja tego gnojka nawet nie lubię.

– Więc dlaczego zgodziłeś się przechować jego... słodczyce? – zapytała Maia.

Chłopak wymamrotał coś niezrozumiałego i ponownie spuścił wzrok.

– Zrobił to, bo byłem dla niego miły, a on nie ma przyjaciół – wyjaśnił Finn.

– Wykorzystałeś go zatem – skwitował Hanson.

– Ja nic do niego nie mam – odparł Finn. – I nie jest tak, że chciałem narobić mu kłopotów. Wcale nie musiało tak być. W skrytce nie było nic nielegalnego. Ale potem nasz pierwszy dostał świra i próbował połamać mi kości.

– Wychodzi na to, że powinieneś być lepiej znać się na tym, co oferujesz – rzekł Dahl.

– Następnym razem, gdy coś będę miał, zgłoszę się najpierw do ciebie na konsultacje – prychnął Finn, a potem wskazał okno, przez które widać

było podchodzący do cumowania prom. – Tylko to będzie musiało poczekać. Zdaje się, że przybył nasz transport.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Pięcioro nowych członków załogi „Nieustraszonego” powitał mat nazwiskiem Del Sol, który następnie zaprowadził ich na stanowiska.

Dahl stanął przed głównym oficerem naukowym, Q'eengiem.

– Sir – zasalutował.

Q'eeng odsalutował.

– Poruczniku Dahl, miło mi pana poznać. Nie zawsze witam nowych podwładnych osobiście, ale właśnie skończyłem wachtę i pomyślałem, że pokażę panu, gdzie będzie pan pracował. Czy ma pan jakieś rzeczy osobiste do przechowania?

– Nie, sir – odparł Andy.

Bagaze jego i pozostałych nowych, po sprawdzeniu zawartości pod kątem bezpieczeństwa, miały być dostarczone bezpośrednio do ich kajut. O przydziałach mieli być powiadomieni później.

– Jeżeli dobrze zapamiętałem, spędził pan kilka lat na Forshanie i zna pan tamtejszy język – rzekł Q'eeng. – Wszystkie cztery dialekty.

– Tak jest, sir – potwierdził Dahl.

– Przez chwilę uczyłem się forshańskiego w Akademii – powiedział dowódca, a potem odchrząknął. – *Aaachka faaachklalhach ghalall chkalalal.*

Dahl milczał. Q'eeng próbował wymówić w trzecim dialekcie tradycyjne pozdrowienie prawomyślnego odłamu religii forshańskiej, brzmiące: „Przekazuję ci chleb życia”, lecz nieprawidłowa intonacja i akcent zmieniły sens jego wypowiedzi na: „Przykazuję ci chlać do przepicia”. Pomijając fakt, że trzeci dialekt był ojczystym językiem założyciela odłamu lewomyślnego i że przedstawiciel sekty prawomyślnej z pewnością by go nie użył, chłanie do przepicia nie było praktyką akceptowaną nigdzie na Forshanie.

– *Aaachkla faaachklalhalu faadalalu chkalalal* – odpowiedział Dahl prawidłowym: „Dzielę się nim z tobą”.

– Czy wymówiłem to poprawnie? – zapytał Q’eeng.

– Pański akcent jest bardzo nietypowy, sir – odparł dyplomatycznie Dahl.

– Zaiste – odrzekł Q’eeng. – A zatem mówienie po forshańsku pozostawię panu.

– Tak jest, sir.

– Tymczasem proszę za mną – powiedział Q’eeng i ruszył naprzód. Dahl pospieszył, żeby dotrzymać mu kroku.

Szli, a wokół nich wrzała praca; szeregowcy i oficerowie uwijali się jak w ukropie, każdy, zdawało się, przejęty zadaniem, które miał do wykonania. Q’eeng szedł między nimi jakby otoczony własnym polem siłowym: tłum rozstępował się przed nim, a potem gęstniał ponownie za jego plecami.

– Czyżbym trafił na godziny szczytu? – spytał Dahl, rozglądając się.

– Przekona się pan, że działamy tu skutecznie i wydajnie – odparł Q’eeng. – „Nieustraszony” to statek flagowy Unii i załogę dobieramy ze szczególną starannością.

– Nie wątpię w to, sir. – Andy rzucił szybkie spojrzenie do tyłu. Tempo krzątania znacząco osłabło i członkowie załogi wpatrywali się w niego i Q’eenga. Nie potrafił nic wyczytać z ich twarzy.

– Jeżeli dobrze zrozumiałem, po ukończeniu Akademii poprosił pan o przydział na „Nieustraszonego”.

– Tak jest, sir – potwierdził Dahl, zwracając się ponownie ku przełożonemu. – Pański wydział robi tu świetną robotę. Niektóre rzeczy, którymi się zajmujecie, są tak zaawansowane, że mieliśmy niemałe kłopoty, próbując odtworzyć je w Akademii.

– Mam nadzieję, że to nie jest sugestia, że nie trzymamy naukowych standardów. – Oficer naukowy zeszywniał lekko.

– W żadnym wypadku, sir – odparł podporucznik. – Reputacja stacji jest nienaganna. Obaj wiemy, że przy tego rodzaju doświadczeniach warunki



wyjściowe są zarazem niezwykle ważne i trudne do odtworzenia w laboratorium.

Q'eeng rozluźnił się.

– Kosmos jest rozległy – powiedział. – Zadaniem „Nieustraszonego” jest eksplorować. Badania, które prowadzimy, są często zupełnie pionierskie: identyfikacja, opis, wstępne hipotezy. Potem lecimy dalej, pozwalając innym zająć się resztą.

– Tak jest, sir – rzekł Dahl. – To właśnie ten pionierski charakter badań mnie fascynuje. Eksploracja.

– A więc – zapytał Q'eeng – czy widziałby się pan w roli uczestnika misji zwiadowczych?

W tej samej chwili mijający ich szeregowiec potknął się i nieomal upadł.

– Hej! – Andy podtrzymał go. – Ostrożnie.

– Dzięki – wymamrotał tamten i oddalił się pośpiesznie.

– Zawsze czujni, gotowi i... uprzejmi – podkreślił Dahl z uśmiechem, a potem nagle spowaźniał, widząc, że Q'eeng wpatruje się w niego intensywnie. – Sir – dodał.

– Misje zwiadowcze – powtórzył Q'eeng. – Widzi pan siebie w roli ich uczestnika?

– W Akademii byłem raczej uznawany za mola książkowego, sir – odparł Dahl, a Q'eeng zmarszczył brwi na te słowa. – Ale oczywiście zdaję sobie sprawę, że zadanie „Nieustraszonego” to eksploracja. Cieszę się, że będę mógł mieć w tym swój udział.

– Świetnie. – Q'eeng znów ruszył naprzód. – Bycie mołem książkowym ma sens w Akademii i może mieć sens na innych jednostkach. Lecz gdyby nie gotowość załogi „Nieustraszonego” do pracy bezpośrednio w terenie, nie byłoby tych wszystkich odkryć naukowych, które zmieniły bieg historii. Chciałbym, żeby pan o tym pamiętał.

– Tak jest, sir.

– Doskonale – rzucił Q'eeng, zatrzymując się przed drzwiami z napisem „Ksenobiologia”. Otworzył je, po czym weszli do środka. W pomieszczeniu nie było nikogo.

– Gdzie są wszyscy, sir? – zapytał Andy.

– Członkowie załogi „Nieustraszonego” nieustannie konsultują się z kolegami z innych wydziałów i często piastują więcej niż jedno stanowisko – wyjaśnił Q’eeng. – Na przykład pan ma dodatkowe pół etatu na lingwistyce ze względu na pańską znajomość forshańskiego. Mało kto siedzi cały czas przykuty do biurka.

– Rozumiem, sir.

– Niemniej... – Q’eeng chwycił za telefon i wystukał numer. – Witam, porucznik Collins – powiedział. – Najnowszy pracownik waszego działu właśnie zameldował się na stanowisku pracy. – Pauza. – Doskonale. To wszystko. – Schował telefon. – Porucznik Collins za chwilę się zjawi, żeby pana powitać.

– Dziękuję, sir. – Dahl zasalutował.

Q’eeng skinął głową, odsalutował i wyszedł. Andy podszedł do drzwi i odprowadził go wzrokiem. Otoczony swoim niewidzialnym polem siłowym Q’eeng skręcił za róg i zniknął z pola widzenia.

\* \* \*

– Hej! – Dahl usłyszał czyjś głos za plecami. Odwrócił się. Na środku pomieszczenia stał jakiś członek załogi. Andy spojrział ku drzwiom, przez które przed chwilą wyszedł Q’eeng, a potem na nieznanego.

– Cześć – powiedział. – Nie było cię tu dwie sekundy temu.

– To prawda – odparł szeregowiec, po czym podszedł do Dahla i wyciągnął rękę na powitanie. – Jake Cassaway.

– Andy Dahl. – Wymienili uścisk dłoni. – Jak to zrobiłeś?

– Tajemnica zawodowa. – Cassaway się uśmiechnął.

Drzwi na drugim końcu pracowni otworzyły się i do środka weszła młoda kobieta.

– I tyle po tajemnicy zawodowej – rzekł Cassaway.

– Co tam jest?

– Zaplecze.

- Chowaleś się na zapleczu?
- Wcale się nie chowaliśmy – powiedziała kobieta. – Przeprowadzaliśmy remanent.
- Andy Dahl, a to jest Fiona Mbeke – przedstawił ich sobie Cassaway.
- Miło mi – rzekł Dahl.
- Powinieneś się cieszyć, że robiliśmy remanent – wyjaśniła Mbeke. – Bo to oznacza, że nie obarczą tym ciebie jako nowego.
- Cóż, w takim razie dzięki. – Andy się uśmiechnął.
- Ale i tak będziesz musiał robić kawę.
- Nie spodziewałem się niczego innego.
- O proszę, tutaj są pozostali. – Cassaway skinął głową w stronę kolejnych dwóch członków załogi, którzy właśnie weszli głównymi drzwiami.

Kobieta w mundurze oficerskim podeszła do Dahla. Spozregł naszywki porucznika i niezwłocznie zasalutował.

- Spokojnie – powiedziała, ale oddała salut. – Zwykle salutujemy tutaj tylko wtedy, gdy w drzwiach pojawia się Jego Wysokość.
- Ma pani na myśli komandora Q'eenga?
- Jego nazwisko wymawia się jak „King” – zauważyła Collins. – Rozumie pan?
- Tak jest, pani porucznik.
- Taki żarcik na dzień dobry.
- Jasne, pani porucznik – odparł Dahl z uśmiechem.
- Świetnie. Bo ostatnią rzeczą, jakiej tu potrzebujemy, jest kolejny pozbawiony poczucia humoru dupek. Widzę, że poznał pan już Cassawaya i Mbeke.
- Tak jest, pani porucznik.
- I domyślił się pan, że jestem pańską szefową – dodała, po czym wskazała na mężczyznę, z którym przyszła. – A to jest Ben Trin, zastępca kierownika działu. – Trin zbliżył się, żeby uścisnąć Dahlowi dłoń. – To już wszyscy.

- Z wyjątkiem Jenkinsa – rzuciła Mbeke.
- Cóż, Jenkinsa i tak nie zobaczy – powiedziała Collins.
- Nigdy nic nie wiadomo.
- Kiedy ostatnio widziałaś Jenkinsa? – Tin zadał pytanie Mbeke.
- Ostatnio wydawało mi się, że go widzę, ale to był tylko yeti – rzekł Cassaway.
- Dość już na temat Jenkinsa – ucięła Collins.
- Kto to jest Jenkins? – zdołał wreszcie wtrącić Dahl.
- Zajmuje się niezależnym projektem – odpowiedziała. – Jest nim kompletnie pochłonięty. Nieważne, i tak go pan nigdy nie spotka. A teraz...
- Sięgnęła po leżący na jednym ze stołów tablet, włączyła go i powiedziała:
- Przychodzi pan do nas ze świetnymi wynikami z Akademii, panie Dahl.
- Dziękuję, pani porucznik.
- Czy Flaviu Antonescu jest wciąż dziekanem wydziału ksenobiologii?
- Tak, pani porucznik.
- Proszę, niech pan przestanie tytułować mnie panią porucznik w każdym zdaniu, bo brzmi to tak, jakby pan cierpiał na tik nerwowy.
- Zgoda.
- Szefowa skinęła głową i spojrzała na tablet.
- Jestem zdziwiona, że Flaviu polecił pana na „Nieustraszonego”.
- Z początku nie chciał – odparł, przypominając sobie rozmowę z dziekanem. – Wolał, żebym objął stanowisko badawcze na „Europie”.
- Dlaczego pan odmówił? – zapytała Collins.
- Chciałem zwiedzać Wszechświat, a nie siedzieć w sześćdziesięciokilometrowym tunelu lodowym i badać mikroby.
- Ma pan coś przeciwko mikrobom z „Europy”?
- Jestem przekonany, że są bardzo przyjemne – odparł Dahl – i że zasługują na kogoś, kto naprawdę będzie chciał je badać.
- Musiał pan mocno nalegać, skoro Flaviu zgodził się zmienić zdanie.

– Miałem na tyle dobre oceny, że zwróciło to uwagę komandora Q'eenga  
– wyjaśnił Dahl. – I szczęśliwym zbiegiem okoliczności na „Nieustraszonym” właśnie zwolniło się miejsce.

– To nie był szczęśliwy zbieg okoliczności – rzekła chłodno Mbeke.

– To był longrański rekin lodowy – dodał Cassaway.

– Co jest dokładnym przeciwieństwem szczęśliwego zbiegu okoliczności  
– dodała Mbeke.

– Longrański rekin lodowy? – powtórzył Dahl.

– Członek załogi, którego pan zastąpił, nazywał się Sid Black – rzekł Trin. – Był członkiem grupy zwiadowczej na Longranie Siedem, który jest planetą lodową. Gdy badali opuszczone miasto Longrańczyków, zaatakowały ich rekiny. Porwały Sida. Nigdy więcej go nie widziano.

– Ale jego nogę tak – wtrąciła Mbeke. – W każdym razie jej część od kolana w dół.

– Spokój, Fiona – uciszyła ją zirytowana Collins. Odłożyła tablet i spojrzała na Dahla. – Poznał pan komandora Q'eenga.

– Tak jest.

– Pytał pana o misje zwiadowcze?

– Tak – potwierdził Dahl. – Chciał wiedzieć, czy jestem zainteresowany.

– I co pan odpowiedział?

– Że w Akademii siedziałem głównie w laboratorium, ale że naturalnie spodziewałem się również uczestniczyć w misjach terenowych – odparł. – Dlaczego pani pyta?

– Aha, czyli teraz to on jest na celowniku Q'eenga – powiedział Trin.

Dahl spojrzał na niego, a potem znów na Collins.

– Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

– Nie – odparła i spiorunowała Trina wzrokiem. – Po prostu chcę mieć możliwość zindoktrynowania własnych podwładnych, zanim zajmie się tym Q'eeng. To wszystko.

– Czy mamy do czynienia z jakimś konfliktem ideologicznym? – zapytał Andy.

– Nieważne – ucięła temat. – Proszę się tym nie przejmować. Lepiej zajmijmy się tym, co naprawdę istotne. – Wskazała na biurko w rogu pomieszczenia. – To pańskie miejsce pracy. Ben wyda panu sprzęt i wytłumaczy co i jak, Jake i Fiona też są nieocenionym źródłem wszelkich informacji. Wystarczy zapytać. No i jako nowy będzie pan obsługiwał ekspres do kawy.

– O tym już słyszałem. – Dahl się roześmiał.

– Świetnie – skwitowała porucznik Collins. – Bo właśnie mam ochotę na filiżankę. Ben, pokaż mu co i jak.

\* \* \*

– No i co, pytali was o misje zwiadowcze? – zapytała Maia Duvall, przysiadając się ze swoją tacą z jedzeniem do stolika, przy którym siedzieli już Dahl i Hanson.

– Mnie tak – odpowiedział Hanson.

– Mnie też – rzekł Dahl.

– Czy tylko ja odniosłam wrażenie, że coś jest z nimi nie tak?

– Co masz na myśli? – zapytał Dahl.

– To, że w ciągu pierwszych pięciu minut od objęcia stanowiska usłyszałam trzy historie o trzech różnych członkach załogi, którzy pożegnali się z życiem. Zgon spowodowany przez spadający odłamek skalny. Przez kontakt z toksyczną atmosferą. Przez przypadkowe użycie miotacza.

– Przez awarię śluzy lądownika – dodał Hanson.

– Przez atak rekina lodowego – uzupełnił Dahl.

– Co takiego? – Duvall podniosła brew. – Co to, u diabła, jest rekin lodowy?!

– Tu mnie masz – przyznał Andy. – Nie miałem pojęcia, że coś takiego istnieje.

– To cholerstwo jest z lodu – zapytał Hanson – czy tylko żyje w lodzie?

– Tego mi nie wyjaśniono. – Dahl nabił sobie kawałek kotleta na widelec.

– I mimo to uwierzyłeś? – zauważyła Maia.

– Nawet jeżeli ta opowieść jest dziwna, to pasuje do większej całości – odparł. – Wszyscy tutaj zdają się gadać o misjach zwiadowczych.

– Bo zawsze ktoś w ich trakcie ginie – rzucił Hanson.

Duvall zmarszczyła czoło.

– Dlaczego tak mówisz, Jimmy?

– Cóż, wszyscy znaleźliśmy się tu w zastępstwie byłych członków załogi – odpowiedział Hanson i wycelował palcem w Duvall. – Co się stało z tym, którego ty zastąpiłaś? Przeniesienie?

– Nie – odparła. – Mój poprzednik był tym przypadkowo postrzelonym z miotacza.

– Trochę dużo tych przypadków – podsumował Jimmy. – Gdy ciągle ktoś ginie, coś musi być nie tak. Założę się, że gdybyśmy zapytali Finna i Hestera, opowiedzieliby nam podobne historie.

– O wilku mowa – rzekł Dahl, wskazując widelcem Hestera stojącego z tacą w ręce przy bufecie i rozglądającego się ponurym wzrokiem po mesie.

– Trudno go nazwać wesołkiem – zauważyła cierpko Duvall.

– Nie jest taki zły – stwierdził Hanson i zawołał Hestera.

Ten drgnął na dźwięk swojego nazwiska, przez chwilę zastanawiał się, co zrobić, a potem, najwyraźniej uznawszy, że nie ma lepszego wyjścia, podszedł i przysiadł się do ich stolika. Zaczął dziobać jedzenie, milcząc.

– No i – zagaiła wreszcie Maia – jak się miewasz?

Chłopak wzruszył ramionami, wciąż wpatrując się w talerz, a potem skrzywił się i odłożył widelec. Powiódł wzrokiem po pozostałych.

– O co chodzi? – zapytała Duvall.

– Tylko mi się zdaje – powiedział wreszcie Hester – czy też wszyscy na tym statku mają kompletnego kręćka na punkcie misji zwiadowczych?

## ROZDZIAŁ TRZECI

Dahl siedział przy swoim biurku, klasyfikując zarodniki z Theta Orionis XII, kiedy tablet Bena Trina zapiszczał cicho. Trin spojrział na ekran.

– Idę po kawę – powiedział i wyszedł.

Co jest nie tak z kawą, którą ja robię? – pomyślał Dahl, zabierając się z powrotem do pracy. Zgodnie z tym, co mu zapowiedziano, od tygodnia pełnił na „Nieustraszonym” funkcję kawowego. Polegało to na uzupełnianiu wody i ziaren w ustawionym na zapleczu ekspresie oraz napełnianiu kubków na żądanie kolegów. Na szczęście nie nadużywali oni przywileju i przeważnie sami chodzili po kawę – tylko od czasu do czasu lubili go wykorzystać.

W trakcie tych rozmyślań Dahl przypomniał sobie, że powinien sprawdzić, jak wygląda sytuacja z ekspresem. Cassaway ostatni szedł po kawę; Andy podniósł wzrok, żeby zapytać go, czy chce dolewkę.

W pomieszczeniu nie było nikogo.

– Co tu się, u diabła, dzieje? – mruknął pod nosem, zdziwiony.

W tym momencie drzwi otworzyły się i do środka weszli Q'eeng i kapitan Abernathy. Dahl wstał i zsalutował.

– Panie komandorze, panie kapitanie – powiedział.

Q'eeng rozejrzał się po laboratorium.

– Gdzie są pozostali, poruczniku?

– Załatwiają swoje sprawy – odparł Dahl po krótkim zastanowieniu.

– W takim razie mamy zadanie dla pana – oznajmił Abernathy i podszedł do Dahla. W dłoni trzymał małą fiolkę. – Wie pan, co to jest?

Mała fiolka – pomyślał Dahl, a na głos powiedział:

– Próbką ksenobiologiczna.

– Bardzo dobrze. – Abernathy podał mu fiolkę. – Jak pan wie, poruczniku, orbitujemy obecnie wokół Merowii. Mieszkańcy tej planety stworzyli wspaniałe dzieła sztuki. Cechuje ich także zabobonny lęk przed



wszelkimi praktykami medycznymi. – Urwał, jakby czekał na potwierdzenie.

– Tak jest, sir – odparł Dahl, mając nadzieję, że tego od niego oczekiwano.

– Niestety, tak się składa, że globalna epidemia, lokalna odmiana dżumy, dziesiątkuje ich populację – podjął wątek Q'eeng. – Unia Galaktyczna obawia się, że spowoduje to całkowity upadek cywilizacji Merowii, pogrążając planetę w chaosie, z którego może się nigdy nie wydobyć.

– Rząd Merowii odmówił przyjęcia od nas pomocy medycznej – włączył się Abernathy. – Dlatego „Nieustraszonemu” polecono potajemnie zebrać próbki wirusa, który wywołał epidemię, opracować antywirusa, a następnie uwolnić go w atmosferze Merowii.

Antywirus? – pomyślał Andy. – Nie szczepionka?

Zanim jednak zdążył poprosić o wyjaśnienie, Q'eeng podjął wątek:

– Posłaliśmy dwuosobowy zespół zwiadowczy w celu zebrania próbek, ale jego członkowie sami ulegli zarażeniu. Merowiańska dżuma kosztowała nas już życie porucznika Lee.

– Zeżarła mu ciało aż do kości – dodał Abernathy ponuro.

– Drugim zarażonym członkiem załogi „Nieustraszonego” jest porucznik Kerensky – rzekł Q'eeng, po czym on i Abernathy wbili wzrok w Dahla, jakby chcieli uświadomić mu całą potworność faktu, że porucznik Kerensky uległ zarażeniu.

– To straszne... – ośmielił się powiedzieć Dahl.

Abernathy skinął głową.

– Rozumie pan już znaczenie fiołki, którą trzyma pan w ręku. Proszę jej użyć i opracować skład przeciwwirusa. Jeżeli się panu uda, uratuje pan życie Kerensky'emu.

– I Merowiańczykom – dodał Dahl.

– Tak, im również – potwierdził kapitan. – Ma pan na to sześć godzin.

Dahl zamrugał.

– Sześć godzin, sir?!

Abernathy zrobił gniewną minę.

- Jakiś problem, poruczniku?
- To niewiele czasu – odparł Andy.
- Do diaska, człowieku! Mówimy o Kerenskym! Jeżeli Bóg zdażył stworzyć świat w sześć dni, to z pewnością panu wystarczy sześć godzin, żeby stworzyć skuteczne antidotum na to świństwo!
- Spróbuję, sir.
- To za mało. – Abernathy klepnął Dahla mocno w plecy. – Chcę usłyszeć, że pan to zrobi. – Chwycił go za ramiona i potrząsnął nim.
- Zrobię to – obiecał Andy.
- Dziękuję panu, poruczniku Dill – rzekł Abernathy z uznaniem.
- Dahl, sir.
- Dahl – poprawił się kapitan, po czym odwrócił się do Q'eenga, skupiając już tylko na nim swoją uwagę, tak jakby Andy nagle zniknął z pomieszczenia. – Chodźmy, komandorze – powiedział. – Musimy niezwłocznie skontaktować się z admirałem Dreznerem. Zaczyna brakować nam czasu. – Po tych słowach wyszedł, a Q'eeng ruszył za nim, skinąwszy z roztargnieniem Dahlowi.

Ten stał nieruchomo przez chwilę, ściskając fiolkę w dłoni.

- Powiem to raz jeszcze – mruknął sam do siebie. – Co się tu, do cholery, dzieje?

\* \* \*

- Drzwi na zaplecze otworzyły się i do środka weszli Cassaway i Mbeke.
- Czego chcieli ci dwaj? – zapytał Cassaway.
  - Kolejny remanent? – zapytał Dahl z przekąsem.
  - My nie wsadzamy nosa w twoje sprawy! – odparła Mbeke.
  - Więc czego chcieli? – zapytała porucznik Collins, wchodząc do środka głównymi drzwiami z kubkiem kawy w ręce. Trin dreptał tuż za nią.
- Przez krótką chwilę Dahl miał ochotę po prostu na nich nawrzeszczyć, ale się opanował. Pokazał im fiolkę.
- Mam znaleźć przeciwwirusa na to paskudztwo.

- Przeciwwirusa? – zdziwił się Trin. – Nie szczepionkę?
- Taki dostałem rozkaz – odparł Andy. – I mam na to całe sześć godzin.
- Sześć godzin?! – Trin spojrzał na Collins.
- Zgadza się – potwierdził Dahl. – Nawet gdybym wiedział, co to jest przeciwwirus, to o wiele za mało czasu. Sporządzenie działającego preparatu to praca na kilka tygodni, nie godzin.
- Hm... A w jakim tonie rozmawiali z tobą Q'eeng i Abernathy? – niespodziewanie spytała szefowa.
- Co masz na myśli? – zdziwił się Dahl.
- Chodzi mi o to, czy po prostu weszli tu i bez owijania w bawełnę powiedzieli, czego potrzebują, czy też sprzedali ci smętną gadkę pełną szczegółów bez znaczenia?
- Raczej to drugie – przyznał Andy.
- A kapitan uderzał w dramatyczny ton? – dopytywał Cassaway.
- Nie wiem, co w tym konkretnym przypadku znaczy „dramatyczny ton”.
- Coś w tym stylu – powiedziała Mbeke, po czym chwyciła Dahla za ramiona i potrząsnęła nim. – „Do diaska, człowieku! Nie mów mi, że spróbujesz! Powiedz, że to zrobisz!”.
- Dahl odłożył fiolkę, żeby przypadkiem nie wypadła mu z ręki.
- Mniej więcej to właśnie powiedział – potwierdził.
- Cóż, to jego ulubione słowa. – Mbeke rozluźniła uścisk.
- Nie rozumiem, co to wszystko znaczy. – Andy spojrzał na pozostałych.
- Jeszcze jedno pytanie. – Collins zignorowała jego skargę. – Gdy powiedzieli ci, że masz sześć godzin na sporządzenie przeciwwirusa, podali powód?
- Tak. Powiedzieli, że inaczej umrze pewien porucznik.
- Który? – zapytała szefowa.
- A czy to ważne?
- To ja zadaję pytania, poruczniku. – Collins po raz pierwszy od przybycia Dahla zwróciła się do niego, wymieniając jego szarżę.

– Porucznik Kerensky.

Zapadła cisza.

– Biedny sukinsyn – przerwała ją wreszcie Mbeke. – Zawsze robią go w konia.

– On wcale nie ma najgorzej – prychnął Cassaway, spoglądając na Dahla. – Ktoś nie żyje, prawda?

Andy skinął głową.

– Po podporuczniku o nazwisku Lee została tylko kupka kości.

– Widzisz! – rzucił Cassaway do Mbeke.

– Czy ktoś mi wreszcie powie, co się tu dzieje? – poprosił Dahl.

– Czas wyciągnąć Maszynę – odezwał się Trin, pociągając łyk kawy.

– Słusznie. – Collins skinęła na Cassawaya. – Idź po nią, Jake.

Cassaway przewrócił oczami i udał się na zaplecze.

– Przynajmniej powiedzcie mi, kto to jest ten cały Kerensky – odezwał się Dahl.

– Członek załogi mostku – wyjaśnił Trin. – Oficjalnie pełni funkcję astronawigatora.

– Kapitan i Q'eeng powiedzieli mi, że zaraził się w trakcie zwiadu, pobierając próbki biologiczne.

– To z pewnością prawda – rzekł Trin.

– Ale dlaczego na taką misję mieliby wysyłać astronawigatora? – zdziwił się Andy.

– Teraz już wiesz, dlaczego użyłem słowa „oficjalnie”. – Trin pociągnął kolejny łyk kawy.

Drzwi na zaplecze otworzyły się i pojawił się w nich Cassaway, trzymając w rękach nieduże kanciaste pudełko. Podeszedł do najbliższego źródła prądu i podłączył urządzenie.

– A to co takiego?! – zawołał Dahl.

– Maszyna – odparł Jake.

– Ma jakąś oficjalną nazwę?

– Zapewne.

Andy podszedł bliżej i przyjrzał się urządzeniu; otworzył drzwiczki i zajrzał do środka.

– Wygląda jak mikrofalówka – powiedział.

– Lecz nią nie jest. – Collins chwyciła fiolkę i podeszła z nią do Dahla.

– A więc czym?

– Maszyną – odparła.

– To wszystko? Maszyną? – zdziwił się.

– Okej, jeżeli wolisz, jest to eksperymentalny komputer kwantowy o zaawansowanych funkcjach sztucznej inteligencji, zaprojektowany przez wysoce rozwiniętą, lecz wymarłą rasę inżynierów-wojowników – powiedziała szefowa.

– Naprawdę?!

– Jasne. – Podała mu fiolkę. – Włóż to do środka.

Dahl spojrział na delikatny przedmiot i ujął go w palce.

– Nie chcesz, żebym pobrał próbkę?

– W normalnych okolicznościach byłoby to wskazane – odrzekła. – Ale to jest Maszyna, więc możesz to po prostu do niej włożyć.

Andy umieścił fiolkę pośrodku ceramicznego talerza na dnie urządzenia. Zamknął Maszynę i spojrział na panel kontrolny. Były tam trzy przyciski: zielony, czerwony i biały.

– Zielony, żeby włączyć – wyjaśniła Collins. – Czerwony, żeby wyłączyć. Biały, żeby otworzyć drzwiczki.

– Powinno to być trochę bardziej skomplikowane – zauważył Dahl.

– Zazwyczaj jest – zgodziła się. – Ale to jest...

– ...Maszyna – podchwycił Andy. – Jasne.

– Więc ją włącz.

Dahl nacisnął zielony guzik. Urządzenie zaszumiało cicho. Wnętrze rozjaśniło się, a ceramiczny talerz z fiolką zaczął się obracać.

– To chyba jakieś żarty – mruknął pod nosem, po czym podniósł wzrok na szefową. – Co teraz?

- Powiedziałeś, że Q'eeng i Abernathy dali ci sześć godzin.
- Tak jest.
- A więc za jakieś pięć i pół godziny Maszyna da ci znać, że znalazła rozwiązanie.
- W jaki sposób to zrobi?
- Zabrzęczy – odparła i wyszła.

\* \* \*

Mniej więcej pięć i pół godziny później Maszyna zabrzęczała cicho, przestała szumieć, a wewnętrzne oświetlenie zgasło.

– Co teraz? – zapytał Dahl, nie zwracając się do nikogo konkretnego, ze wzrokiem utkwionym w urządzeniu.

– Sprawdź swój tablet – odrzekł Trin, nie odrywając się od pracy. Był poza Dahlem jedyną osobą w laboratorium.

Andy chwycił swój komputer i wzbudził go ze stanu uśpienia. Na ekranie wirował trójwymiarowy model wieloatomowej molekuly organicznej, a poniżej przesuwały się długie rzędy liczb. Spróbował coś z nich wyczytać.

– To nonsens – powiedział po dłuższej chwili. – Czysty bełkot.

– Nie przejmuj się. – Ben wstał od biurka i podszedł do kolegi. – Posłuchaj mnie teraz uważnie. Oto co zrobisz: najpierw pójdziesz z tym tabletem na mostek, gdzie znajdziesz Q'eenga.

– Ale po co? – zdziwił się Dahl. – Przecież mogę mu przesłać dane w sieci.

Trin pokręcił głową.

– To tak nie działa.

– A czy... – zaczął Dahl, jednak Trin przerwał mu gestem.

– Zamknij się na chwilę i wysłuchaj mnie, dobrze? Wiem, że to nie ma sensu i brzmi głupio, lecz tak właśnie masz zrobić. Weź tablet i idź do Q'eenga. Pokaż mu dane. Kiedy rzuci na nie okiem, powiedz coś

w rodzaju: „Mamy już prawie wszystko, tylko płaszcz białkowy sprawia nam kłopoty”. I wskaż na dowolny rząd cyfr.

– Płaszcz białkowy? – powtórzył Dahl, nic nie rozumiejąc.

– To nie musi być konkretnie płaszcz białkowy – wyjaśnił Ben. – Możesz powiedzieć cokolwiek. „Błąd w transkrypcji struktury enzymatycznej. Rybonukleotydy nie zreplikowały się do końca”. Cokolwiek. Ja zwykle używam „płaszcz białkowy”, bo przynajmniej łatwo to wymówić. W każdym razie masz ogłosić, że wszystko jest niemal gotowe, lecz że wciąż brakuje jednego szczegółu. I wskazujesz na dane.

– Po co to wszystko?

– Żeby dać Q'eengowi szansę na zmarszczenie czoła w skupieniu, pogapienie się chwilę na liczby i oznajmienie, że zapomniałeś o jakimś kluczowym elemencie, który on ci wskaże – odparł kolega. – W tym momencie możesz zawołać: „Ależ to oczywiste!” albo „Niesamowite!”, albo też, jeżeli naprawdę chcesz mu się podlizać: „Nawet za milion lat byśmy na to nie wpadli, komandorze Q'eeng!”. To mu się spodoba. Oczywiście, nie przyzna się do tego, jednak tak będzie. – Dahl otworzył usta, a Trin ponownie uciszył go gestem. – Możesz też postąpić tak jak my wszyscy, czyli po prostu opuścić mostek najszybciej jak to możliwe – wyjaśniał dalej. – Pokaż mu dane, wymień brakujący element, pozwól mu znaleźć rozwiązanie, odbierz tablet i zniknij. Nie zwracaj na siebie niepotrzebnej uwagi. Nie mów ani nie rób nic zanadto bystrego. Pójdź tam, odwal swoje i spadaj. To najlepsza metoda. – Powiedziawszy to, Trin wrócił do swojego biurka.

– To przecież kompletna bzdura! – rzucił Dahl.

– Wiem o tym – zgodził się Ben. – Sam ci to mówiłem.

– Wyjaśnicie mi, o co w tym wszystkim chodzi?

– Może któregoś dnia – obiecał Ben, zabierając się do pracy. – Nie w tej chwili. Teraz musisz pędzić na mostek, żeby pokazać Q'eengowi dane. Twój sześciogodzinny termin właśnie dobiega końca.

\* \* \*

Dahl wybiegł z laboratorium tylko po to, żeby zderzyć się z kimś przechodzącym akurat korytarzem. Przewrócił się i upuścił tablet. Gdy się podniósł, stał nad nim Finn. Podał mu komputer, mówiąc:

– Hej, dokąd się tak spieszysz?!

Andy chwycił tablet.

– Jeżeli za dziesięć minut nie będę na mostku, ktoś zginie w męczarniach! – rzucił i już go nie było.

– To rzeczywiście brzmi dramatycznie! – Finn ruszył za nim.

– Nie masz nic do roboty? – zapytał Dahl, gdy kolega się z nim zrównał.

– Mam – odparł Finn. – Idę na mostek przekazać wiadomość od mojego szefa kapitanowi Abernathy’emu.

– Czy tu się w ogóle nie używa sieci wewnętrznej? – zdziwił się Dahl.

– Na „Nieustraszonym” pierwszeństwo zdają się mieć kontakty bezpośrednie.

– Myślisz, że naprawdę o to chodzi? – zapytał Andy, przeciskając się obok grupy szeregowców.

– Dlaczego pytasz?

– Nieważne. – Wzruszył ramionami.

– Podoba mi się tutaj – rzekł Finn. – To szósty statek, na którym służę. Na wszystkich poprzednich oficerowie byli cholernymi służbistami, sztywnymi, jakby kij połknęli. Tutaj wszyscy są tak wyluzowani, jakbyśmy byli na statku wycieczkowym. Mój szef chowa się przed kapitanem, kiedy tylko może.

Dahl zatrzymał się nagle, o mało nie zderzając się z kumplem ponownie.

– Chowa się przed kapitanem? – upewnił się.

– Zupełnie jakby ostrzegał go jakiś szósty zmysł – odparł Finn. –

W jednej chwili opowiada ci historię nocy spędzonej z gorduzjańskim wielopłciowcem, a w następnej znika po kawę. Sekundę później w drzwiach staje kapitan.

– Mówisz poważnie? – dopytał Dahl.

– A jak sądzisz, dlaczego robię za chłopca na posyłki?



Andy pokręcił głową i znów przyspieszył. Finn dotrzymywał mu kroku.

Mostek, lśniący chromem i dobrze wyposażony, przypominał hol eleganckiego hotelu.

\* \* \*

– Poruczniku Dahl. – Główny oficer naukowy Q'eeng obrócił się w fotelu. – Widzę, że lubi pan zostawiać sprawy na ostatnią chwilę.

– Pracowaliśmy tak szybko, jak się dało, sir. – Dahl podszedł do Q'eenga i podał mu tablet z kolumnami danych i wirującym modelem molekuly. Kapitan przez dłuższą chwilę studiował ekran, a potem podniósł wzrok na Andy'ego i odchrząknął.

– Przykro mi, sir. – Dahl przypomniał sobie rady Trina. – Udało nam się opracować dziewięćdziesiąt dziewięć procent struktury przeciwwirusa; potem natrafiliśmy na problem. Z tym, no... z płaszczem białkowym. – Wskazał na rzędy nic nieznaczących liczb przesuwających się po ekranie.

– Zawsze macie z tym problem, nieprawdaż? – mruknął Q'eeng, ponownie zerkając na ekran.

– Tak jest, sir.

– Następnym razem proszę pamiętać, żeby uważniej analizować relacje pomiędzy wiązaniami peptydowymi. – Komandor postukał palcem w ekran tabletu. – Przekona się pan, że odpowiedź ma pan przed nosem. – Pokazał ekran Dahlowi. Model molekuly przestał się obracać, a kilka wiązań było podświetlonych na czerwono. Poza tym wszystko było jak wcześniej.

– Zdumiewające, sir. Nie rozumiem, jak mogłem na to nie wpaść.

– No cóż. – Q'eeng ponownie dotknął ekranu. Dane przepłynęły z tabletu na komputer Q'eenga. – Na szczęście, jeżeli się pospieszymy, zdążymy jeszcze wprowadzić tę ulepszoną formułę do syntezy materii i uratować Kerensky'emu życie. – Oddał tablet Dahlowi. – Dziękuję, poruczniku. To wszystko.

Andy otworzył usta, chcąc coś dodać, a Q'eeng podniósł wzrok i spojrzał na niego pytająco. W tym momencie Dahl przypomniał sobie radę Trina. „Pójdź tam, zrób, co masz zrobić, i spadaj. To najlepsza metoda”. Skinął więc tylko głową i wyszedł.

Finn dołączył do niego na korytarzu chwilę później.

– To była kompletna strata czasu – stwierdził. – Ale miło.

– Z tym statkiem naprawdę jest coś nie tak – odrzekł ponuro Dahl.

– Wierz mi, wszystko jest w najlepszym porządku – odparł Finn. – To twój pierwszy przydział, brakuje ci szerszej perspektywy. Uwierz staremu wydze. Naprawdę nie jest tak źle.

– Jakoś nie jestem przekonany, że stanowisz wiarygodne... – zaczął Andy, lecz przerwał, bo przed nim i Finnem stało włochate widmo. Obrzuciło ich groźnym spojrzeniem, a potem dźgnęło Dahla w pierś.

– Ty – powiedziało, wbijając palec głębiej. – Miałeś przed chwilą szczęście. Naprawdę nie wiesz, jaki miałeś farta. Posłuchaj mnie, młody. Trzymaj się z dala od mostka. Unikaj Narracji. Następnym razem wciągnie cię jak nic. A wtedy będzie po tobie. – Widmo spojrzało na Finna. – To samo dotyczy ciebie, złociutki. Stanowisz pewny materiał na mięso armatnie.

– Kim jesteś i co bierzesz? – zapytał Finn.

Widmo uśmiechnęło się szyderczo.

– Nie myślcie, że ostrzegę was ponownie. Posłuchacie mnie lub nie. Ale jeżeli tego nie zrobicie, umrzecie. I gdzie wtedy będziecie? W grobie, oto gdzie. Wybór należy do was. – To rzekłszy, widmo odwróciło się i zniknęło w szybie towarowym.

– Co to, u diabła, było? – zapytał Finn. – Yeti?

Dahl spojrzał na kolegę, jednak nic nie powiedział. Podbiegł do szybu towarowego i otworzył drzwi. Szyb był zupełnie pusty.

Finn dołączył do kumpla.

– Przypomnij mi, co mówiłeś o tym statku...?

– Że z nim jest coś naprawdę nie tak.

– Cóż... Wygląda na to, że możesz mieć rację.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

– Naprzód! Jesteśmy już prawie przy promach! – zawołał porucznik Kerensky.

Dahl miał ułamek sekundy, żeby zaśmiać się w duchu na myśl, że gość całkiem nieźle wygląda – jak na niedoszłą ofiarę epidemii. Potem, razem z Hesterem i resztą grupy zwiadowczej, popędził korytarzem stacji kosmicznej, próbując umknąć goniącej ich mechanicznej śmierci.

Nie była to stacja Unii Galaktycznej, lecz niezależna stacja komercyjna (czy posiadająca ważną licencję, to już całkiem inna sprawa), która wysłała w przestrzeń sygnał SOS, a razem z nim zaszyfrowaną wiadomość. Dowództwo „Nieustraszonego” zareagowało na wezwanie pomocy i wysłało tam dwa promy kosmiczne z grupami zwiadowczymi. Zaszyfrowaną wiadomość odkodowano, kiedy promy zdążyły już wylądować. „Trzymajcie się z dala. Roboty oszalały” – brzmiała.

Grupa Dahla stwierdziła to na krótko przed odkodowaniem wiadomości, gdy jedna z maszyn posiekała szeregowiec Lopez na plasterki. Odległe krzyki, dochodzące z głębi stacji, świadczyły o tym, że również druga grupa przechodzi bolesny proces poznawczy. Druga grupa z Finnem, Hansonem i Duvall w składzie.

– Co za debil szyfruje wiadomość o śmiertelnych robotach?! – wrzasnął Hester, który zamykał kolumnę.

Głuchy łomot tuż za ich plecami sugerował, że jedna z maszyn – i to z tych większych – depta im po piętach.

– Cicho – syknął Andy.

Byli świadomi, że roboty mają świetny wzrok; było równie prawdopodobne, że słuch także. Dahl, Hester i dwaj pozostali członkowie grupy przykucnęli pod ścianą, czekając na instrukcje Kerensky’ego.

Porucznik sprawdził coś na ekranie komunikatora i zawołał Dahla do siebie. Gdy ten podczołgał się do niego, pokazał mu plan stacji.

– Jesteśmy tutaj. – Wskazał na jeden z korytarzy. – A promy zacumowane są tutaj. Widzę dwie drogi: jedną przez maszynownię, drugą przez mesę.

Mniej gadania, więcej decyzji proszę – pomyślał Dahl i skinął głową.

– Chyba lepiej będzie, jeżeli się rozdzielimy – ciągnął Kerensky. – Jeśli nawet roboty dopadłyby jedną grupę, druga może zdoła dotrzeć do promów. Masz licencję pilota?

– Hester ma – odpowiedział odruchowo Andy, zastanawiając się, skąd właściwie to wie. Nie przypominał sobie, żeby wcześniej o tym rozmawiali.

Kerensky skinął głową.

– Weź jego i szeregowca McGregora i próbujcie przedrzeć się przez mesę. Ja wezmę Williamsa i spróbujemy przez maszynownię. Spotkamy się przy promie, poczekamy na grupę porucznika Fischera. Jeżeli w ogóle będzie taka możliwość. Potem wiejemy stąd.

– Tak jest, sir – odrzekł Dahl.

– Powodzenia – rzucił Kerensky i dał znak Williamsowi, żeby ruszył za nim.

Wcale nie wygląda na kogoś, komu dzuma prawie zżarła ciało do kości – znowu pomyślał Andy, wracając do Hestera i McGregora.

– Porucznik chce, żebyśmy się rozdzielili. My trzej mamy przebijać się przez mesę, a oni będą próbować przez maszynownię. – Wskazał na Kerensky'ego i Williamsa, którzy oddalali się już korytarzem.

– Co takiego?! – zawołał McGregor, wyraźnie wkurzony. – Bzdura! Nie chcę iść z tobą. Chcę iść z Kerenskym.

– To rozkaz – warknął Andy.

– Pieprzyć to – powiedział McGregor. – Ty nic nie rozumiesz, prawda? Kerensky jest nietykalny. Ty nie. Jesteś tylko zwykłym podporucznikiem. Jesteśmy na pokładzie stacji kosmicznej pełnej śmiertelnych robotów. Naprawdę myślisz, że uda ci się ujść stąd z życiem?

– Uspokój się, McGregor. – Dahl wyciągnął ręce przed siebie. Głuchy łoskot wzmagął się. – Tracimy czas.

– Nie! – zawołał McGregor. – Nic nie rozumiesz! Lopez zginęła w obecności Kerensky’ego! To ona była ofiarą! Teraz każdy, kto jest z Kerenskim, jest bezpieczny! – Z tymi słowami rzucił się za oddalającymi się kolegami, wybiegając na środek korytarza. W tym samym momencie zza rogu wyłonił się goniący ich robot zabójca. Szeregowiec zdążył jeszcze rozdziawić usta, zanim harpun wystrzelony przez maszynę wbił mu się w brzuch.

Nastąpiła nieskończenie długa przerwa, podczas której wszystko znieruchomiało: Dahl i Hester przykucnęli pod ścianą, śmiercionośna maszyna na rogu, ociekający krwią McGregor z harpunem w brzuchu i wzrokiem wbitym w przerażonego Dahla.

– A nie mówiłem? – zdołał wykrztusić, choć krew wypełniała mu już usta. Potem maszyna go dopadła i pociągnęła do siebie. Nad głową mężczyzny zawirowały ostrza.

– McGregor! – wrzasnął Andy, podrywając się, po czym wyrwał miotacz z kabury i strzelił prosto w zakrwawioną blachę. Wiązka lasera odbiła się od korpusu maszyny, nie czyniąc jej żadnej krzywdy. Hester krzyknął i pociągnął kolegę w głąb korytarza, z dala od robota, który przygotowywał się do ponownego wystrzelenia harpuna. Skręcili za róg i pobiegli korytarzem prowadzącym do mesy. Wpadli do środka i zatrzasnęli za sobą drzwi.

– Te drzwi nie zatrzymają tego cholerstwa – powiedział Hester, z trudem łapiąc dech.

Dahl przyjrzał się ościeżnicy.

– Te drzwi są podwójne! – zauważył. – Przeciwpożarowe, a może hermetyczne. Poszukaj sterownika.

– Mam! – zawołał Hester. – Odsuń się. – Nacisnął duży czerwony guzik. Rozległo się głośne skrzypnięcie i syk. Ciężka metalowa przegroda zaczęła powoli się zasuwac, lecz w połowie znieruchomiała. – Co za szajs! – zawołał Hester.

Przez szybę pierwszych drzwi widać było zbliżającego się robota.

– Mam pomysł – powiedział Dahl.

– Wiejemy? – zapytał kolega.

– Odsuń się. – Hester postąpił do tyłu, marszcząc czoło. Andy wycelował w tablicę sterowniczą osłony i strzelił w tym samym momencie, w którym robot za pomocą harpuna wyrwał pierwsze drzwi z zawiasów.

Posypał się snop iskier, a przegroda zasunęła do końca, zatraskując z głośnym szczękiem.

– Strzelić do tablicy sterowniczej? – zapytał Hester z niedowierzaniem.  
– To był ten twój superpomysł?!

– Miałem przecucie. – Andy schował miotacz do kabury.

– Że elektryk odwalił fuchę? Że cała instalacja na tej stacji to jedna wielka prowizorka?

– Awaria robotów mi to podpowiedziała – potwierdził skromnie Dahl.

Rozległ się metaliczny huk, gdy harpun wystrzelony przez robota odbił się od przegrody przeciwpożarowej.

– Jeżeli ta przegroda jest zbudowana równie solidnie jak reszta tej stacji, to nie mamy wiele czasu – zauważył Hester.

– Więc go nie traćmy. – Andy wyciągnął telefon, żeby spojrzeć na plan stacji. – Chodźmy. W kuchni jest wyjście, przez które dostaniemy się bliżej doku cumowniczego. Jeżeli będziemy mieć szczęście, nie powinniśmy po drodze spotkać żadnych maszyn.

\* \* \*

Dwa korytarze przed dkiem cumowniczym natknęli się na pozostałych przy życiu członków grupy porucznika Fischera: Duvall, Hansona, Finna i samego Fischera.

– Ho, ho, ale z nas farciarze – rzucił Finn, widząc Dahla i Hestera. Miało to zabrzmieć sarkastycznie, ale ton jego głosu sugerował, że mężczyzna jest na skraju załamania nerwowego.

Hanson położył mu dłoń na ramieniu.

– Gdzie Kerensky i reszta waszego zespołu? – zapytał Fischer.

– Rozdzieliliśmy się – odparł Dahl. – Z tego, co wiem, Kerensky i Williams żyją. Straciliśmy Lopez i McGregora.

– My Paytona i Webba. – Fischer pokiwał głową.

- Harpuny i obrotowe ostrza? – zapytał Andy.
- Rój nanobotów – odparła Duvall.
- Tych nie mieliśmy przyjemności spotkać – odrzekł Dahl.
- To jakieś wariactwo! – oznajmił Fischer. – Dopiero co przydzielono mnie na „Nieustraszonego”. To moja pierwsza misja zwiadowcza. I od razu tracę dwóch ludzi!
- Nie sądzę, żeby chodziło o pana, sir – wtrącił Andy.
- Tego nie wiem – odpowiedział Fischer, po czym dał znak i ostrożnie ruszyli w stronę doku. – Ktoś jeszcze ma tu licencję pilota? – zapytał, gdy znaleźli się przy zacumowanych promach.
- Ja – odparł Hester.
- Świetnie. – Fischer wskazał na prom pilotowany wcześniej przez Kerensky’ego. – Rozgrzej silniki. Ja polecę tym drugim... Chcę, żebyście wszyscy wsiedli na pokład razem z nim – polecił, wskazując Hestera. – Jeżeli pojawią się wrogie roboty, nie czekajcie, startujcie. Ja będę miał dość miejsca, żeby zabrać Kerensky’ego i Williamsa. Jasne?
- Tak jest, sir.
- A zatem do roboty – rzucił Fischer, kierując się do promu.
- Cała ta misja to jedno wielkie nieporozumienie – powiedział Hester, wstukując sekwencję przedstartową na komputerze pokładowym. Finn, Duvall i Hanson zapinali pasy; Dahl pilnował wejścia, wyglądając Kerensky’ego i Williamsa.
- Hester, czy kiedykolwiek mówiłeś mi, że masz licencję pilota? – zapytał.
- Stary, nie zwracaj mi głowy! Jestem trochę zajęty – odparł kolega.
- Ja też nie wiedziałem, że on umie latać – zauważył Finn ze swego fotela. Ewidentnie potrzebował rozładować zdenerwowanie; rozmowa wydała mu się lepszym pomysłem niż siedzenie w milczeniu. – A znam go od ponad roku.
- Raczej nie jest to coś, co by ci umknęło – zauważył Dahl.
- Nie kumplowaliśmy się szczególnie blisko – odparł. – Głównie chodziło mi o jego szafkę na ubrania.

Nic nie mówiąc, Andy odwrócił się ku lukowi wejściowemu.

– Dobra – rzekł Hester i wcisnął guzik. Silniki zaskoczyły, a on zapiął pas. – Zamknij właz. Spadamy stąd.

– Jeszcze nie – powiedział Dahl.

– Do diabła z tym! – Hester wybrał guzik na panelu kontrolnym zamykający właz.

Andy wcisnął ręczną blokadę wejścia.

– Jeszcze nie! – krzyknął.

– Co się z tobą dzieje, człowieku?! – wrzasnął Hester. – Fischer ma dość miejsca, żeby zabrać Kerensky’ego i Williamsa. Ja mówię, że lecimy, a ponieważ ja tu jestem pilotem, ja decyduję!

– Czekamy! – nie zgodził się Dahl.

– Na co, do kurwy nędzy?!

– Idą! – rzucił Jimmy ze swojego fotela.

Dahl wyrzwał na zewnątrz. Kerensky i Williams, podtrzymując się nawzajem, kuśtykali ku promom. Za nimi słychać było dudnienie robotów.

Fischer wyrzwał przez właz. Zauważył wyczekującego Dahla.

– Za mną! – rozkazał i pobiegł ku kolegom.

Andy wyskoczył z promu i ruszył za nim.

– Gonia nas! – wykrztusił Kerensky. – Szybciej się nie dało. Nanoboty...  
– Upadłby, gdyby Dahl go nie podtrzymał.

– Masz go? – Andy skinął głową na pytanie Fischera. – Zabierz go na pokład. Każ Hesterowi startować. Ja zajmę się Williamsem. Pospiesz się. – Objął kolegę ramieniem i pociągnął ku promowi.

Williams odwrócił się, żeby spojrzeć na Kerensky’ego i Dahla. Na jego twarzy malowało się przerażenie. Pierwszy z miotających harpuny robotów pojawił się właśnie w zasięgu wzroku.

– Andy, ruchy! – krzyknęła Maia, wyłaniając się z włazu.

Dahl przyspieszył, podbiegając do promu i niemalże rzucając Kerensky’ego ku Duvall i Hansonowi, który również wypiął się z fotela. Chwycili go i wciągnęli do środka, a sekundę później pojawił się też Dahl.



– Możemy wreszcie startować?! – zapytał Hester retorycznie, zamykając włącz, bez czekania na odpowiedź. Prom począł się wysuwać z doku dokładnie w chwili, gdy coś z głośnym brzękiem odbiło się od metalowego poszycia.

– Harpun – rzekł Finn. Podniósł się z fotela i stał nad Hesterem, spoglądając we wsteczny monitor. – Nie wbił się.

Prom opuścił dok.

– I dobrze – mruknął Hester.

– Co z nim? – zapytał Dahl, kierując pytanie do Duvall, która mierzyła puls Kerensky’emu.

– Jest nieprzytomny. Nie wygląda dobrze – odparła i zwróciła się do Hansona: – Jimmy, przynieś mi apteczkę. Leży za fotelem pilota.

Syn jednego z najbogatszych ludzi na świecie podniósł się, żeby spełnić prośbę.

– Wiesz, co robisz? – zapytał Dahl.

Spojrzała na niego.

– Mówiłam ci, że służyłam w siłach naziemnych. Tam przeszłam szkolenie medyczne. Spędziłam masę czasu, opatrując rannych. – Uśmiechnęła się. – Nie tylko Hester ma ukryte umiejętności.

Hanson podał apteczkę; Maia otworzyła ją i wzięła się do roboty.

– O cholera – powiedział Finn, wciąż spoglądając we wsteczny monitor.

– Co jest? – zapytał Dahl, podchodząc do niego.

– Drugi prom – odparł Finn. – Mam tu obraz z ich kamer. Patrz.

Andy spojrział. Kamery pokazywały tłum robotów wlewających się do doku cumowniczego i strzelających do promu. Nad nimi unosiła się gęsta, zmieniająca kształt chmura.

– Nanoboty – mruknął Finn. W tym momencie obraz pociemniał i zgasł. Finn usiadł w fotelu drugiego pilota i wskazał na martwy ekran. – Już po nich – powiedział. – Silniki nie działają, a kadłub najprawdopodobniej się rozszczelił.

– Musimy po nich wrócić – oświadczył Andy.

– Nie – odparł Hester. Dahl zapłonął gniewem, lecz on obrócił się i spojrzał na kolegę. – Andy, nie. Jeżeli kadłub się rozszczelnił, to nanoboty są już w środku, a Fischer i Williams nie żyją.

– On ma rację – potwierdził Finn. – Za późno. Nie ma po kogo wracać. Już po wszystkim. W doku roi się od tych cholerstw. Prom jest nieuzbrojony. Dalibyśmy im tylko szansę dopaść także nas.

– Mieliśmy fart, że udało się nam zwiać – dodał Hester, skupiając się na odczytach instrumentów pokładowych.

Dahl spojrzał na Kerensky'ego, który pojękiwał cicho, opatrywany przez Duvall i Hansona.

– Nie sądzę, żeby fart miał z tym wiele wspólnego – zauważył.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

– Dobra, koniec z wciskaniem kitu – oznajmił Dahl swoim kolegom z laboratorium.

Pozostali popatrzyli na siebie w milczeniu.

– W porządku, nie musisz już nam przynosić kawy – powiedziała wreszcie Mbeke.

– Fiona, tu nie chodzi o kawę – rzekł Dahl.

– Wiem – rzekła. – Po prostu uznałam, że nie zaszkodzi spróbować.

– Chodzi o to, co wydarzyło się w trakcie misji zwiadowczej – powiedziała porucznik Collins.

– Nie – odparł Dahl. – Chodzi o to, co wydarzyło się na zwiadzie, i o to, że wszyscy znikacie, gdy tylko pojawi się Q'eeng, i o to, że ludzie rozstępują się przed nim, gdy idzie korytarzem, i o tę cholerną Maszynę, i o to, że coś z tym statkiem jest cholernie nie tak.

– W porządku – powiedziała szefowa. – Oto, jak to wygląda. Jakiś czas temu zauważono, że jeżeli zwiad prowadzony jest przez określonych oficerów, to ktoś z ich podwładnych prawie na pewno zginie. Ci oficerowie to między innymi kapitan Abernathy, komandor Q'eeng, główny inżynier West, lekarz naczelny Hartnell czy porucznik Kerensky.

– I nie chodzi tylko o to, że ktoś zwykle umiera – dodał Trin.

– Zgadza się – potwierdziła Collins. – O inne rzeczy też.

– Takie jak to, że wystarczy, żeby podczas misji zginęła przy nich jedna osoba, a pozostałe są bezpieczne; jak przy Kerenskym – powiedział Dahl, przypominając sobie słowa McGregora.

– W gruncie rzeczy Kerensky jest najmniej podatny na ten efekt – oznajmił Cassaway.

– Macie jakiś konkret? – zdziwił się Andy. – Choćby nazwę?

– „Efekt ofiary” – wyjaśnił Cassaway. – Najsilniej działa z Hartnellem i Q'eengiem. Słabiej z Abernathym i Kerenskym. Z Westem w ogóle. Ten

jest jak chodząca pułapka.

– Zawsze coś wokół niego wybucha – dodała Mbeke. – Kiepsko jak na głównego inżyniera.

– Wysoki wskaźnik śmiertelności, związany z tymi oficerami, jest powszechnie znany. Nic dziwnego, że ludzie ich unikają – powiedziała Collins. – Gdy idą korytarzem, ludzie udają, że akurat mają coś bardzo ważnego do załatwienia. Dlatego wokół nich panuje taki rozgardiasz, a praca wre.

– To nie wyjaśnia, dlaczego wy wszyscy idziecie po kawę albo znikacie na zapleczu na widok Q'eenga.

– Mamy system wczesnego ostrzegania – rzekł Trin.

– System wczesnego ostrzegania? – powtórzył z niedowierzaniem Dahl.

– No i co się dziwisz?! – fuknęła Collins. – Wszyscy mamy komunikatory, które przekazują nasze położenie do głównego komputera. Jako twoja przełożona mam prawo w każdej chwili wiedzieć, w którym miejscu na statku się znajdujesz.

– Q'eeng nie jest twoim podwładnym – zauważył Andy. – Ani Abernathy.

– System nie do końca jest legalny – przyznała Collins.

– Ale wszyscy macie do niego dostęp.

– Oni mają. – Cassaway wskazał na Collins i Trina.

– Ostrzegamy, kiedy Q'eeng się zbliża – rzekł Trin.

– I idziecie po kawę – powiedział Dahl.

Trin skinął głową.

– Szkoda, że to działa tylko wtedy, gdy oboje jesteście na miejscu – rzekł Cassaway. – W przeciwnym razie jesteśmy ugotowani.

– Nie możemy pilnować całego statku – powiedział Trin. – To byłoby zbyt oczywiste.

– Akurat by zauważyli – prychnął Cassaway.

– Że co? – zdziwił się Andy.

– Że to. Abernathy, Q'eeng i pozostali nie mają pojęcia, iż większość członków załogi ich unika – wyjaśniła Mbeke. – Ani tego, że ludzie przy nich giną.

– Jak mogą nie zdawać sobie z tego sprawy? – zapytał Dahl. – Nikt im nie powiedział? Nie czytają statystyk?

Pozostała czwórka wymieniła szybkie spojrzenia.

– Kapitanowi kiedyś zwrócono na to uwagę – rzekła Collins. – Nie podziałało.

– Co to znaczy „nie podziałało”?

– To znaczy, że rozmawianie z nim o stratach w ludziach jest jak rzucanie grochem o ścianę – wyjaśnił Cassaway.

– Więc powiedzcie komuś innemu – rzekł Dahl. – Powiedzcie admirałowi Comstockowi.

– Myślisz, że nie próbowaliśmy? – zapytał Cassaway. – Kontaktowaliśmy się z dowództwem floty. Z agencją bezpieczeństwa wewnętrznego Unii. Próbowaliśmy nawet zainteresować tematem prasę. Wszystko na próżno.

– Oficjalna odpowiedź jest zawsze taka sama. „Nie ma dowodów na nadużycie władzy czy nieudolność”.

– Aha, to ilu ludzi musi zginąć, żeby można było mówić o nieudolności?

– Powiedziano nam – odezwała się Collins – że „Nieustraszony”, jako statek flagowy Unii, prowadzi więcej delikatnych misji dyplomatycznych, wojskowych i badawczych niż jakakolwiek inna jednostka we flocie. Oznacza to zwiększone ryzyko, a tym samym statystycznie większe prawdopodobieństwo strat osobowych. Taki los jednostki flagowej: coś za coś.

– Innymi słowy: straty w ludziach nie są anomalią, a czymś wliczonym w koszt – rzekł sucho Cassaway.

– Teraz rozumiesz, dlaczego po prostu próbujemy ich unikać? – dodała Mbeke.

Dahl namyślał się przez chwilę.

– Ale to wciąż nie wyjaśnia działania Maszyny.

– Nie mamy dobrego wyjaśnienia jej obecności – przyznała Collins. – Nikt nie ma. Z oficjalnego punktu widzenia Maszyna nie istnieje.

– Wygląda jak mikrofalówka, brzęczy, gdy zakończy pracę, i wypluwa z siebie wyniki, które nie mają sensu – podsumował Dahl. – Wyniki te trzeba prezentować dowództwu osobiście i nieważne, co się przy tym powie, byle Q'eeng miał okazję wykazać się inteligencją. Chyba nie muszę nikomu tłumaczyć, jak bardzo jest to popieprzone, prawda?

– Tak się tutaj robi od samego początku – rzekł Trin. – Tak kazali nam robić ci, którzy pracowali tu przed nami. Stosujemy to, bo to działa.

Dahl podniósł ręce w bezradnym geście.

– To dlaczego nie używać Maszyny do wszystkiego? Zaoszczędziłoby nam to sporo czasu.

– Bo Maszyna nie rozwiązuje wszystkich problemów – odparł Trin. – Jedynie najtrudniejsze.

– Takie jak opracowanie składu przeciwwirusa w sześć godzin? – zapytał Dahl.

– Tak jest – potwierdził Trin.

– I nie denerwuje was, że w laboratorium naukowym korzysta się z usług magicznej mikrofalii?!

– Oczywiście, że denerwuje! – odparła ostro Collins. – Nie znoszę tego diabelstwa. Ale muszę wierzyć, że to nie magia. Że naprawdę w jakiś sposób w nasze ręce dostała się technologia tak cholernie zaawansowana, że wydaje nam się magią. To tak, jakby pokazać komórkę jaskiniowcowi. Nie miałby pojęcia, jak to działa, ale mimo to mógłby do kogoś zadzwonić.

– Gdyby telefon był jak Maszyna, pozwoliliby jaskiniowcowi zadzwonić tylko wtedy, gdyby ten przypadkowo się podpalił – rzekł Dahl.

– Maszyna jest tym, czym jest – powiedziała szefowa. – I z jakiegoś powodu musimy odprawiać ten głupi rytuał, żeby zadziałała. Robimy tak, ponieważ wtedy daje nam to, czego chcemy. My nie wiemy, co zrobić z danymi z Maszyny, lecz komputer „Nieustraszonego” tak. I jeżeli naprawdę sytuacja jest podbramkowa, to nam wystarczy. Nie jesteśmy zachwyceni całą tą sytuacją. Ale nie mamy innego wyjścia.

– Po przybyciu na „Nieustraszonego” powiedziałem Q’eengowi, że w Akademii mieliśmy kłopoty z powtórzeniem wyników niektórych badań, jakie tu prowadziliście – rzekł Dahl. – Teraz rozumiem dlaczego. Bo to nie wy je prowadziliście.

– Skończył pan, poruczniku? – zniecierpliwiła się Collins. Widać było, że ma dosyć jego pytań.

– Ostatnia rzecz: dlaczego nie powiedzieliście mi tego wszystkiego, kiedy zjawiłem się na pokładzie?

– A co mieliśmy ci powiedzieć, Andy? – mruknęła. – Cześć, witaj na „Nieustraszonym”, unikaj oficerów, bo jeżeli polecisz z nimi na zwiad, jest duża szansa, że będzie po tobie; aha, a tutaj mamy magiczną skrzynkę do rzeczy niemożliwych. Niezłe pierwsze wrażenie, nie uważasz?

– Nie uwierzyłybyś nam – dodał Cassaway. – Musiałeś spędzić tu trochę czasu i zobaczyć to na własne oczy.

– To szaleństwo – rzekł Dahl.

– Zgadza się – potwierdziła Collins.

– I nie macie na to żadnego racjonalnego wytłumaczenia? – zapytał Dahl. – Żadnej hipotezy?

– Racjonalną hipotezą jest to, co powiedziała nam Unia – rzekł Trin. – „Nieustraszony” realizuje zadania wysokiego ryzyka. Z tego powodu straty w ludziach są ponadprzeciętne. Żeby sobie z tym poradzić, załoga wymyśla rozmaite przesady i strategie unikowe. Używamy też zaawansowanych technologii, których nie rozumiemy, ale które umożliwiają nam osiągnięcie celów.

– Ale ty w to nie wierzysz – powiedział Dahl.

– Nie podoba mi się to – przyznał Trin. – Jednak nie mam powodu, żeby w to nie wierzyć.

– W każdym razie to rozsądniejsze niż teoria Jenkinsa – oznajmiła Mbeke.

– Wspominałaś mi już o nim – zwrócił się do niej Andy.

– Jenkins zajmuje się niezależnym projektem – wyjaśniła Collins.

– Dotyczącym właśnie tego, o czym rozmawiamy?

– Nie do końca – odparła. – To on zbudował system śledzący ruchy kapitana i pozostałych. Pokładowy komputer postrzega go jako coś obcego i próbuje unieruchomić. Więc Jenkins musi nieustannie wprowadzać poprawki, żeby system działał.

Dahl spojrział na Cassawaya.

– Mówiłeś, że wygląda jak yeti.

– To prawda – odparł zagadnięty. – Albo jak Rasputin. Słyszałem oba określenia. Oba pasują.

– W takim razie chyba go spotkałem – odparł Dahl. – Po tym, jak udałem się na mostek wręczyć Q’eengowi dane z Maszyny, mające uratować Kerensky’ego. Wpadłem na niego na korytarzu.

– Co ci powiedział? – chciała wiedzieć Collins.

– Żebym trzymał się z dala od mostka. I coś o unikaniu narracji. Co to ma niby znaczyć?

Mbeke otworzyła usta, lecz Collins była szybsza.

– Jenkins jest genialnym informatykiem, niestety, cokolwiek zagubionym w swoim własnym świecie, a specyfika życia na „Nieustraszonym” wpłynęła na niego silniej niż na innych.

– Co ma oznaczać, że jego żona zginęła na misji zwiadowczej – uzupełniła Mbeke.

– Co się wydarzyło?

– To było na Cirquerii. Zastrzelił ją cirqueriański zabójca – wyjaśniła Collins. – Celował do ambasadora Unii. Jenkins odepchnął ambasadora, a wtedy Margaret znalazła się na linii strzału. Dostała prosto w szyję. Była martwa, zanim jeszcze upadła. Po tym Jenkins postanowił przynajmniej częściowo oderwać się od rzeczywistości.

– Jaka jest jego teoria? – zapytał Dahl.

– Zostawmy to na następny raz, dobrze? – zaproponowała Collins. – Teraz już wiesz, co się dzieje i dlaczego. Przepraszam, że nie powiedzieliśmy ci o tym wcześniej. Teraz już wiesz. I wiesz, co robić, gdy Ben albo ja powiemy nagle, że idziemy po kawę.

– Zniknąć z widoku – odparł.



– To nie jest właściwe określenie – powiedział Cassaway. – Preferowane jest: „przejsć do alternatywnych zadań”.

– Byle nie na zapleczu – dodała Mbeke. – Tam my wykonujemy nasze alternatywne zadania.

– W takim razie ja będę wykonywał moje pod biurkiem – rzekł Dahl.

– Zuch chłopak – podsumowała Mbeke.

\* \* \*

Przy kolacji w mesie Dahl zapoznał czwórkę swoich przyjaciół z tym, czego dowiedział się w laboratorium, a potem zwrócił się do Finna:

– Zdobyłeś informacje, o które prosiłem?

– Uhm – odparł Finn.

– Świetnie.

– Chciałbym najpierw zauważyć, że zwykle nie wykonuję tego rodzaju robót za darmo – powiedział Finn, podając Andy’emu swój telefon. –

Normalnie coś takiego kosztowałoby mniej więcej równowartość tygodniowych zarobków. Jednak ta sprawa nie daje mi spokoju od początku misji. Sam byłem ciekaw.

– O czym wy rozmawiacie? – zdziwiła się Duvall.

– Poprosiłem Finna, żeby zdobył dla mnie pewne akta – wyjaśnił Dahl. – Głównie medyczne.

– Czyje? – zapytała.

– Twojego narzeczonego – rzekł Finn.

– Co takiego?! – Andy podniósł wzrok.

– Duvall chodzi z Kerenskym! – zaśmiał się Finn.

– Zamknij się, Finn, to nieprawda – zaprotestowała i zerknęła na Dahla.

– Wyzdrowiawszy, Kerensky odszukał mnie, żeby podziękować za uratowanie mu życia. Powiedział, że kiedy odzyskał przytomność na promie, myślał, że nie żyje, bo stoi nad nim anioł.

– O Boże! – prychnął Hester. – Powiedzcie mi, że taki tekst nie działa. W przeciwnym razie strzelę sobie w łeb.

– Nie działa – zapewniła go Duvall. – Ale zapytał także, czy przy następnym postoju na stałym lądzie może mi postawić drinka. Odpowiedziałam, że się zastanowię.

– Narzeczony – powtórzył Finn.

– Zaraz wbiję ci to prosto w oko – zagroziła, pokazując mu widelec.

– Po co ci były akta medyczne Kerensky’ego? – Hanson spytał przyjaciela, przerywając sprzeczkę.

– Zaledwie tydzień temu gość był chory na dżumę i umierający – odrzekł Andy. – Błyskawicznie wyzdrowiał i poprowadził zwiad, w trakcie którego stracił przytomność po ataku oszalałych robotów. I znowu wydobrzył na tyle szybko, że zdążył zaproponować Mai randkę.

– W gruncie rzeczy wcale nie wyglądał najlepiej – powiedziała Duvall.

– W gruncie rzeczy to już dawno powinien być martwy – odparł Dahl. – Merowiańska dżuma zżera ciało do gołej kości. Tymczasem Kerensky ma umrzeć za piętnaście minut, jeżeli nie dostanie odtrutki, a tydzień później prowadzi misję zwiadowczą! Dłużej trwa rekonwalescencja po zwykłym przeziębieniu, czyż nie?

– Może ma wyjątkowo silny układ odpornościowy – zasugerowała Maia.

Dahl spojrzał na nią, a potem pokazał jej telefon Finna.

– W ciągu ostatnich trzech lat Kerensky był trzy razy postrzelony, cztery razy chory na śmiertelną chorobę, przygnieciony odłamkiem skalnym, ranny w katastrofie promu, poparzony, gdy tablica sterownicza na mostku eksplodowała mu wprost przed twarzą, ucierpiał też w wyniku dekompresji, przeszedł chorobę psychiczną, został dwa razy ukąszony przez jadowitego węża i wreszcie podłapał pozaziemskiego pasożyta. To wszystko jeszcze przed merowiańską dżumą i ostatnim zwiadem.

– Widzę tu też trzy przypadki choroby wenerycznej – zauważyła Duvall, przeglądając listę.

– Miłego randkowania – rzekł Finn.

– Chyba zamówię penicylinę z lodem – oświadczyła Duvall. Oddała aparat Dahlowi. – Mówisz więc, że facet w ogóle nie powinien chodzić.

– Pomińmy fakt, że powinien nie żyć – rzekł Dahl. – Po tym wszystkim nie ma szans, żeby był normalny. Gość powinien być chodzącym przykładem zespołu stresu pourazowego.

– Zespół pourazowy zwykle się leczy – zauważyła Duvall.

– Zwykle tak, ale on ze dwadzieścia razy uciekał grabarzowi spod łopaty lub chirurgowi ze stołu operacyjnego! Średnio raz na dwa miesiące. Facet powinien leżeć na łóżku zwinięty w kłębek i pojękiwać. Tymczasem on zawsze ma dość czasu, żeby wydobrzeć, zanim znowu coś mu się przytrafi. To jakieś szaleństwo!

– Zmierzasz do czegoś czy po prostu jesteś zazdrosny o jego krzepę? – zapytała Maia.

– Chodzi o to, że na tym statku dzieje się coś dziwnego – odparł Dahl, przewijając dane. – Moja przełożona i współpracownicy z laboratorium naopowiadali mi dzisiaj masę bzdur: o misjach zwiadowczych, Kerenskym i całej reszcie. Czy ja to kupuję? Nie!

– Bo?

– Bo mam wrażenie, że oni też tego nie kupują. Bo to wcale nie wyjaśnia czegoś takiego jak przypadek Kerensky’ego. – Zmarszczył czoło i spojrzał na Finna. – Znalazłeś coś na temat Jenkinsa?

– Mówisz o tym yetim, którego wtedy spotkaliśmy?

– Tak.

– W ogóle nie figuruje w systemie.

– Nie przywidział się nam.

– Nie – zgodził się Finn. – Po prostu nie ma go w systemie. Jeżeli jest takim komputerowym geniuszem, jakim przedstawiają go twoi kumple z laboratorium, i do tego grzebie w systemie, to chyba system może go nie widzieć, nie?

– Uważam, że powinniśmy go znaleźć – rzekł Dahl.

– Dlaczego?

– Bo wydaje mi się, że on wie coś, o czym nikt inny nie chce rozmawiać.

– Twoi przyjaciele z laboratorium uważają go za świra – zauważył Hester.

– Nie sędę, żeby oni naprawdę byli czyimiś przyjaciółmi – odezwał się Hanson.

Wszyscy spojrzeli na niego.

– Co masz na myśli? – zapytał Hester.

Jimmy wzruszył ramionami.

– Powiedzieli mu, że nie mówili wcześniej, co tu się dzieje, bo nie uwierzyłyby, dopóki sam by tego nie doświadczył. Być może to prawda. Lecz prawdą jest również, że jeżeli nie wiedział, co się dzieje, to nie mógł robić tego, co oni: unikać Q'eenga i pozostałych oficerów, a w ten sposób wymigiwać się od misji zwiadowczych. Pomyślcie: wszyscy pięcioro byliśmy na tym zwiadzie, a ten statek ma załogę liczącą tysiące ludzi. Co mamy ze sobą wspólnego?

– Jesteśmy nowi...? – podsunęła Duvall.

Hanson skinął głową.

– I nikt nas wcześniej nie ostrzegł, dopiero teraz, kiedy już dłużej nie dało się tego ukrywać.

– A więc nie dlatego nam nie powiedzieli, że za mało wiedzieliśmy, żeby im uwierzyć – rzekł Dahl. – Uważasz, że nie powiedzieli nam, bo w ten sposób, jeżeli ktoś miałby zginąć, to bylibyśmy to my, a nie oni.

– To tylko teoria – zastrzegł Jimmy.

Hester spojrział na niego z podziwem.

– Nie przypuszczałem, że z ciebie taki cynik.

– Kiedy jesteś dziedzicem trzeciej co do wielkości fortuny w historii Wszechświata, uczysz się kwestionować ludzkie motywacje. – Henson ponownie wzruszył ramionami.

– Musimy znaleźć Jenkinsa – powtórzył Andy. – Dowiedzieć się, co wie.

– Jak według ciebie mamy go znaleźć? – zapytała Maia.

– Zacznijmy od szybów towarowych.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Gdzie idziesz, Andy? – zapytała Maia Duvall. Stali całą paczką na korytarzu stacji kosmicznej Angeles V, kiedy Dahl niespodziewanie się odłączył. – Człowieku, jesteśmy na przepustce. Czas się nawalić.

– I pobzykać – dodał Finn.

– Nawalić i pobzykać – powtórzyła Duvall. – Niekoniecznie w tej kolejności.

– Nie żeby z robieniem tego w tej kolejności było coś nie tak – rzekł Finn.

– Teraz już chyba rozumiem, dlaczego większość twoich znajomości kończy się na pierwszej randce. – Maia westchnęła.

– Nie rozmawiamy o mnie – przypomniał jej Finn. – Rozmawiamy o Andym. To on nas porzuca.

– To prawda. Andy! – zawołała. – Nie chcesz się z nami nawalić i sobie pobzykać?

– Jasne, że tak! – odparł. – Ale najpierw muszę do kogoś zadzwonić.

– Nie mogłeś tego zrobić na „Nieustraszonym”? – zapytał Hanson.

– Tego akurat nie – rzekł Dahl.

Duvall przewróciła oczami.

– A więc znowu chodzi o tę twoją obsesję, prawda? Przysięgam, że od kiedy wbiłeś sobie do głowy tego Jenkinsa, nie da się z tobą normalnie pogadać. Od dziesięciu dni chodzisz zamyślony. Wyluzuj, ty humorzasty skurczybyku.

– To naprawdę nie potrwa długo, obiecuję. – Andy uśmiechnął się na te słowa. – Gdzie będziecie?

– Wynająłem dla nas apartament w hotelu Hyatt – odrzekł Hanson. – Tam się spotkajmy. Poznasz nas łatwo: będziemy najweselszą gromadką.

Finn wskazał na Hestera.

- W jego przypadku: najszybciej tracącą dziewictwo.
- Ale śmieszne! – skwitował kwaśno Hester, po czym sam się roześmiał.
- Do zobaczenia niebawem – obiecał Dahl.
- No, ja myślę! – rzucił Hanson. Reszta grupy ruszyła za nim korytarzem, robiąc sobie psikusy i dowcipkując.

Dahl odprowadził ich wzrokiem, a potem skierował się do stacyjnego centrum handlowego w poszukiwaniu komunikatora międzyplanetarnego.

Znalazł go między kawiarnią i salonem tatuażu. Z trzech aparatów jeden był nieczynny, drugi okupował pijany szeregowiec, wyklócający się z kimś głośno. Dahl podszedł do trzeciego.

„Witaj w sieci międzyplanetarnej SurfPoint Hyperwave” – powitał go nagrany komunikat, po czym na ekranie pojawił się cennik. Koszt pięciominutowego połączenia był niewiele niższy od jego tygodniowych zarobków, lecz to nie było dziwne. Otwarcie kanału czasoprzestrzennego i połączenie się z terminalem na planecie odległej o lata świetlne wymagały dużej ilości energii. A energia to pieniądź.

Dahl wyciągnął anonimową kartę płatniczą, którą trzymał na takie właśnie okazje, i wsunął ją do aparatu. Urządzenie poprawnie odczytało dane i poprosiło o wprowadzenie numeru. Wystukał jeden ze służbowych numerów Akademii i poczekał na połączenie. Był pewny, że osoba, do której dzwoni, jest w pracy. Wszystkie statki i stacje kosmiczne Unii Galaktycznej działały według czasu uniwersalnego, w przeciwnym razie powstałby straszliwy galimatias. Akademia znajdowała się w Bostonie. Dahl nie mógł sobie przypomnieć, ile wynosi różnica czasu.

Na drugim końcu linii ktoś podniósł słuchawkę; połączenie było wyłącznie głosowe.

- Kimkolwiek jesteś, przeszkadzasz mi w porannej przebieżce.
- Cześć, Casey. – Dahl się uśmiechnął. – Jak się miewa moja ulubiona archiwistka?
- O kurczę, Andy! – Chwilę później włączył się obraz i na ekranie pojawiła się uśmiechnięta Casey Zane. W tle widać było kadłub fregaty USS „Constitution”.
- Widzę, że znowu biegasz „Szlakiem Wolności”[\[1\]](#) – rzekł Dahl.

– Dzięki czerwonej cegle trudno się na niej zgubić – odparła Casey. – Gdzie jesteście?

– Jakieś trzysta lat świetlnych od ciebie. Licznik bije za każdy centymetr tego dystansu.

– Jasne. Czego potrzebujesz?

– W archiwum Akademii znajdują się plany każdego statku należącego do floty, prawda?

– Pewnie. A w każdym razie tych, do których istnienia Unia się przyznaje.

– Czy jest szansa, że ktoś w nich grzebał lub coś zmieniał?

– Ktoś z zewnątrz? Nie. Archiwum nie jest podłączone do internetu, między innymi dla ochrony przed hakerami. Wszystkie dane obowiązkowo przechodzą przez archiwizatorów. Takie nasze BHP. – Puściła do niego oko.

– Bez dwóch zdań – powiedział Dahl. – Czy jest szansa, żebyś podesłała mi kopię planów „Nieustraszonego”?

– Raczej nie mają klauzuli poufności, więc nie powinno być problemu. Być może będę musiała wymazać niektóre dane dotyczące systemu komputerowego i uzbrojenia.

– Nie ma sprawy. To mnie i tak nie interesuje.

– Andy, sorry, że o to pytam, ale... przecież jesteś na „Nieustraszonego” – powiedziała Casey. – Powinieneś mieć dostęp do tych planów przez intranet.

– To prawda. Ale wprowadzono tu pewne zmiany i pomyślałem, że przydałyby mi się oryginalne plany dla porównania.

– Jasne. Podesłę ci wszystko, kiedy wrócę do archiwum. Czyli nie wcześniej niż za parę godzin.

– Super – powiedział Dahl. – Tylko prośba: wyślij na ten adres. – Podał jej adres, który utworzył anonimowo jeszcze w Akademii.

– Wiesz, że muszę zarejestrować twoją prośbę, prawda? W tym adres, na który wysyłam informacje.

– Jasne – odparł. – Nie próbuję niczego ukryć przed Unią. To nie szpiegostwo przemysłowe, przysięgam.

– Mówi gość, który zamiast zadzwonić z prywatnego połączenia, korzysta z publicznej sieci.

– Nie proszę cię o to w żadnych niecnym celach – zapewnił. – Słowo.

– W porządku – powiedziała Casey. – Jesteśmy przyjaciółmi i w ogóle, lecz szpiegostwo to nie moja bajka.

– A zatem wiszę ci przysługę.

– Stawiasz kolację – oświadczyła. – Następnym razem, gdy będziesz w mieście. Życie archiwistki nie jest aż tak ekscytujące. Muszę cieszyć się przyjemnościami innych.

– Wierz mi, w tej chwili sam poważnie rozważam zostanie bibliotekarzem.

– Teraz się podlizujesz. Wyślę ci te plany, gdy tylko będę w biurze. A teraz rozłącz się, zanim wyczyścisz sobie kartę do zera.

Dahl uśmiechnął się.

– Na razie, Casey.

– Pa, Andy – rzuciła i zakończyła połączenie.

\* \* \*

Gdy Dahl dotarł do apartamentu w Hyacie, zastał tam niespodziewanego gościa.

– Andy, znasz porucznika Kerensky’ego, prawda? – powiedziała Duvall dziwnie bezbarwnym tonem.

Kerensky stał pomiędzy nią i Hesterem. Obejmował ich za szyje. Wyglądało na to, że go podtrzymują.

– Sir – rzekł Dahl.

– Andy! – zawołał Kerensky. Puścił Duvall i Hestera, chwiejnie postąpił dwa kroki naprzód i poklepał go po ramieniu. W drugiej ręce trzymał drinka. – Jesteśmy na przepustce! Zostawmy szarżę. Dla ciebie ja jestem Anatolij. No już, powiedz to.

– Anatolij – powtórzył Dahl.



– Widzisz, wcale nie było tak trudno, nie? – Kerensky dopił drinka. – Zdaje się, że potrzebuję dolewki – rzekł bełkotliwie i oddalił się.

Dahl uniósł brew i spojrzał pytająco na Duvall i Hestera.

– Zauważył nas, gdy wchodziliśmy do hotelu, i uczeplił się jak rzep psiego ogona – wyjaśniła Maia.

– Pijany rzep – dodał Hester. – Był już napruty, gdy go spotkaliśmy.

– Pijany, nachalny rzep – prychnęła Duvall. – Obejmuje mnie tylko po to, żeby mnie pomacać. Porucznik nie porucznik, zamierzam skopać mu tyłek.

– Plan jest taki, żeby upić go do nieprzytomności, zanim zacznie na poważnie dobierać się do Mai – powiedział Hester. – Potem wrzucamy go do szybu pralniczego.

– O cholera, znowu tu idzie! – rzuciła Maia.

Kerensky zbliżał się chwiejnym krokiem. Szedł bardziej w bok niż do przodu. Staął, żeby zorientować się w sytuacji.

– Zostawcie go mnie – zaproponował Dahl.

– Poważnie? – podchwyciła Duvall.

– Poważnie. Zaopiekuję się nim, dopóki nie padnie.

– Człowieku, masz u mnie loda.

– Co takiego? – zdziwił się Andy.

– Co takiego? – powtórzył jak echo Hester.

– Sorry. – Maia się roześmiała. – W siłach naziemnych, jeżeli ktoś zrobi ci przysługę, to mówisz, że wisisz mu seks. Mała przysługa: robota ręczna. Średnia: oral. Duża przysługa: wisisz bzykanko. Siła przyzwyczajenia. Ale to tylko gadanie.

– Aha – rzekł wolno Dahl.

– Nie ma oznaczać, że naprawdę szykuje się lodzik. Żeby była jasność.

– Liczy się intencja, nie? – Dahl zwrócił się do Hestera. – A ty? Też chcesz mi wisieć loda?

– Zastanawiam się – odparł.

– Ktoś mówi o robieniu lodu? – zapytał Kerensky, podchodząc do nich chwiejnym krokiem.

– Dobra, w porządku, wiszę ci – rzucił Hester.

– Świetnie – podsumował Dahl. – Do zobaczenia później.

Duvall i Hester wycofali się pośpiesznie.

– Gdzie oni idą? – zapytał Kerensky, mrugając powoli.

– Planują przyjęcie urodzinowe – odrzekł Andy. – Proszę, niech pan usiądzie, sir. – Wskazał na jedną z kanap.

– Anatolij – powiedział z naciskiem Kerensky. – Boże, jak ja nie lubię, gdy ludzie zwracają się do mnie po wojskowemu, a ja jestem na przepustce. – Opadł ciężko na kanapę, jakimś cudem nie rozlewając drinka. – Na służbie wszyscy jesteśmy braćmi, wiesz? Poza tymi, którzy są siostrami, oczywiście. – Rozejrzał się w poszukiwaniu Duvall. – Podoba mi się twoja przyjaciółka.

– Wiem – rzekł Dahl, siadając.

– Uratowała mi życie – ciągnął Kerensky. – Jest aniołem. I chyba mnie lubi.

– Nie.

– Dlaczego nie? – zająknął się Kerensky, najwyraźniej urażony. – Woli kobiety, czy coś w tym guście?

– Kocha pracę ponad wszystko – odparł Andy.

– Oj tam, kocha. – Kerensky nawet nie wysłuchał Dahla do końca. Pociągnął tęgi łyk.

– Mogę zadać ci pytanie, Anatolij?

Kerensky dał mu znak, żeby pytał.

– Jak to robisz, że tak szybko dochodzisz do siebie?

– Co masz na myśli, Andy?

– Pamiętasz, kiedy zachorowałeś na dżumę merowiańską?

– Jasne – odparł. – O mało nie umarłem.

– No właśnie. A tydzień później poprowadziłeś zwiad, w którym uczestniczyłem.

– Cóż, po prostu wyzdrowiałem. Podali mi odtrutkę.

– Aha. To ja zaniósłem komandorowi Q'eengowi jej skład.

– Naprawdę? – Kerensky rzucił się na Dahla i serdecznie go uściskał, jednocześnie niechcący wylewając mu drinka za kołnierz. – A więc ty też uratowałeś mi życie! W tym pokoju jest pełno ludzi, którzy uratowali mi życie. Kocham was wszystkich – powiedział, łkając.

– Nie ma sprawy. – Dahl, możliwie najdelikatniej, odsunął porucznika od siebie. Był świadom, że pozostałe osoby w pomieszczeniu starannie udają, że nie zwracają uwagi na to, co się dzieje na kanapie. – Chodzi mi o to, Anatolij, że wyzdrowiałeś niesamowicie szybko. Potem odniosłeś ciężkie obrażenia na zwiadzie, a już parę dni później czułeś się świetnie.

– Ach, wiesz, współczesna medycyna potrafi zdziałać cuda – rzekł Kerensky. – Poza tym zawsze szybko dochodziłem do siebie po chorobie. To rodzinne. W domu opowiadali mi o pewnym przodku, który walczył w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej, wiesz? Był pod Stalingradem. Dostał ze dwadzieścia postrzałów od Niemców i wciąż nacierał. Był niesamowity, człowieku. Więc może mam to po nim. – Spojrzał na swoją szklanę. – Hej, tu było więcej!

– To dobrze, że tak szybko wracasz do zdrowia, biorąc pod uwagę, jak często coś niedobrego ci się przytrafia – odważył się powiedzieć Dahl.

– Wiem o tym! – rzekł Kerensky z naciskiem. – I dziękuję ci! Bo nikt inny tego nie zauważa! O co w tym chodzi? Nie jestem głupi, nieostrożny ani nic takiego. Mimo to na każdym zwiadzie ciężko mi się obrywa. Wiesz, ile razy byłem postrzelony?

– Trzy razy w ciągu ostatnich trzech lat – odparł Dahl.

– Tak! – potwierdził Kerensky. – Plus te wszystkie inne przypadki. Wiesz, o co chodzi. Pieprzony kapitan i Q'eeng mają laleczkę wudu z moją podobizną albo coś takiego. – Siedział w zamyśleniu i zdawało się, że zaraz zaśnie.

– Laleczka wudu – powiedział Andy, budząc Kerensky'ego z półsnu. – Naprawdę tak myślisz?

– Cóż, nie dosłownie – odparł Kerensky. – To byłoby głupie. Nic nie poradzę, że mam takie wrażenie. Za każdym razem, kiedy kapitan i Q'eeng

mają misję zwiadowczą, o której wiedzą, że pójdzie źle, mówią: „Hej, Kerensky, mamy tu dla ciebie idealne zadanie”, a ja lecę i przebijam sobie cholerną śledzionę, człowieku. I przez większość czasu chodzi o coś głupiego, o czym zwyczajnie nie mam pojęcia. Chłopie, ja jestem astronawigatorem. I to naprawdę dobrym. Chcę po prostu... astronawigować. Mam rację?

– Dlaczego nie powiesz o tym wprost kapitanowi i Q'eengowi?

Kerensky uśmiechnął się szyderczo, warga mu zadrżała.

– A co niby miałbym im powiedzieć? „Och, nie mogę lecieć na ten zwiad. Niech dla odmiany ktoś inny omal nie zginie pod odłamkiem skalnym”? – zapytał, strojąc głupie miny. Potem uspokoił się i przez chwilę milczał. – Poza tym z jakiegoś powodu wtedy zdaje się to mieć sens, wiesz?

– Nie, nie wiem.

– Kiedy kapitan mówi mi, że lecę na zwiad, jest tak, jakby jakaś część mojego mózgu przejmowała nade mną władzę. – Sprawiał wrażenie, jakby się nad czymś zastanawiał. – Czuję się nagle bardzo pewny siebie i wydaje mi się, że wysyłanie astronawigatora, żeby pobrał próbki medyczne albo walczył ze zbuntowanymi robotami, jest najlogiczniejszą rzeczą pod słońcem. Potem wracam na „Nieustraszonego” i myślę sobie: Po co mi to było? Bo nie ma w tym żadnego sensu, prawda?

– Nie wiem – powtórzył Dahl.

Kerensky na chwilę zatopił się w myślach, a potem machnął dłonią lekceważąco.

– A tam, pieprzyć to! – zawołał i rozpromienił się. – Przeżyłem kolejny dzień, jestem na przepustce i to z ludźmi, którzy uratowali mi życie. –

Jeszcze raz rzucił się na Dahla, żeby go uściskać. – Kocham cię, człowieku! Napijmy się jeszcze, a potem chodźmy poszukać pańienek. Chcę, żeby ktoś zrobił mi loda. Ty też chcesz?

– Ja już mam dwa zamówione – odparł Dahl. – Także spoko.

– W porządku – rzekł Kerensky. – To dobrze. – A potem zachrapał z głową opartą o ramię Dahla.

Andy podniósł wzrok i ujrzał, że czwórka jego przyjaciół wpatruje się w niego.

- Wszyscy wisicie mi loda – powiedział.
- Możemy w zamian postawić ci drinka? – zapytał Finn.
- Jasne – odparł Dahl. Zerknął na Kerensky’ego. – Co robimy z naszą Śpiącą Królewną?
- Na zewnątrz jest szyb pralniczy – powiedział Hester z nadzieją w głosie.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Oto plany „Nieustraszonego”, które ściągnąłem z pokładowej bazy danych. – Dahl położył przed Finnem i Duvall wydruki. Byli w mesie i jedli obiad. Potem pokazał im drugi wydruk. – A to plany z archiwum Akademii. Zauważacie coś?

– Nie – powiedział Finn po chwili.

– Też nie – dołączyła się Duvall.

Dahl westchnął i pokazał palcem.

– Chodzi o szyby towarowe. Używamy ich przez cały czas do transportowania towarów, lecz może tam też wejść człowiek. W gruncie rzeczy technicy nieustannie wchodzą do szybów, żeby naprawiać instalacje. Korzystają z szybów, dzięki czemu nie przeszkadzają w normalnym funkcjonowaniu statku.

– Myślisz, że Jenkins kryje się właśnie tam? – zapytała Maia.

– A gdzie indziej miałby być? Wychodzi tylko wtedy, gdy mu to pasuje; poza tym nikt go nie widuje. Pomyślcie, jak liczną załogę ma nasz statek. Jedyne sposobem, żeby pozostać niezauważonym, to przebywać tam, gdzie inni nie zagląдают.

– Błąd twojego rozumowania polega na tym, że szyby towarowe są... no cóż... szybami – odrzekł Finn. – Nawet jeżeli nie ma w nich ludzi, to wciąż jeżdżą tamtędy zautomatyzowane wózki towarowe. Gdyby Jenkins przebywał w jednym miejscu przez dłuższy czas, zablokowałby im drogę albo został rozjechany.

Dahl podniósł wzrok znad planów.

– To jest właśnie to, czego nie widzicie – powiedział i wskazał na jeden z pustych kwadratów pośród płataniny szybów. – Gdy wózki nie pracują, muszą się gdzieś gromadzić. Nie stoją chaotycznie w szybach, lecz kierują się do sortowni. A te są na tyle obszerne, że spokojnie może w nich zamieszkać człowiek.

– Pod warunkiem że całej przestrzeni nie zajmują wózki – zauważyła Duvall.

– No właśnie – zgodził się Andy. – Popatrzcie. Na planie, który mamy na statku, widać sześć sortowni. Ale na tym, który dostałem z archiwum, jest ich siedem. – Pokazał siódmą sortownię palcem. – Jest oddalona od głównych instalacji, więc technicy raczej nie mają okazji tam zaglądać. To najlepsze miejsce, żeby być na statku, a jednocześnie nie mieć kontaktu z załogą. Tam właśnie kryje się Jenkins. Duch w maszynie. Tam go znajdziemy.

– Nie rozumiem, dlaczego nie poprosisz swojej szefowej, żeby cię z nim poznała – rzekła Duvall. – Mówiłeś, że formalnie Jenkins jest jej podwładnym.

– Próbowałem, bez skutku. Collins powiedziała mi, że Jenkins pojawia się wtedy, kiedy chce, a poza tym nie mieszają się w jego sprawy. On pomaga im śledzić ruchy kapitana, Q'eenga i innych. Nie chcą, żeby się wkurzył i kazał im spadać.

– À propos. – Finn wskazał dyskretnie drzwi.

Dahl odwrócił się i ujrzał idącego ku nim Q'eenga. Zbierał się, żeby oddać mu honory, gdy starszy stopniem mężczyzna dał mu znak gestem, żeby siedział.

– Spocznij, poruczniku. – Zauważył leżące na stole plany. – Studiujecie pan schemat jednostki?

– Żeby jeszcze lepiej wykonywać swoją pracę, sir – odparł Dahl.

– Podziwiam pańską inicjatywę – rzekł Q'eeng. – Poruczniku, zbliżamy się do planety Eskridge; z tamtejszej osady kolonistów nadano wezwanie o pomoc. Meldunki nie są do końca jasne, lecz podejrzewam, że może chodzić o skażenie biologiczne, dlatego zebrałem grupę zwiadowczą, żeby zbadać sprawę. Jest pan w jej składzie. Proszę być w doku promowym za pół godziny.

– Tak jest, sir – powiedział Dahl. Q'eeng skinął głową i odszedł. Andy odwrócił się do Duvall i Finna. Patrzyli na niego dziwnie. – Co jest? – zapytał.

– Misja zwiadowcza z Q'eengiem – rzuciła Duvall.

– Nagła, dziwnym zbiegiem okoliczności właśnie objawiona misja zwiadowcza z Q'eengiem – dodał Finn.

– Nie popadajmy w paranoję – zaprotestował Dahl.

– A jednak to dziwne, biorąc pod uwagę okoliczności. – Finn nie odpuszczał.

Andy pchnął plany statku w jego stronę.

– Gdy mnie nie będzie, wysił się i znajdź sposób podejścia Jenkinsa, tak żeby się nie zorientował. Chcę z nim porozmawiać, jednak, jeżeli nie liczyć tamtego ostrzeżenia, nie sądzę, żeby on chciał rozmawiać z nami. Wolę nie dawać mu wyboru.

\* \* \*

– To wszystko twoja wina – syknął Cassaway do Dahla. Ich dwóch, Fiona Mbeke oraz Q'eeng i ubezpieczający ich żołnierz o nazwisku Taylor stanowili grupę zwiadowczą. Q'eeng pilotował prom, którym lecieli do osady kolonistów. Taylor siedział obok niego w fotelu drugiego pilota. Ksenobiolodzy zajmowali miejsca z tyłu. W trakcie odprawy i przez większość lotu Cassaway i Mbeke traktowali Dahla chłodno, zbywając go milczeniem. Dopiero teraz któreś z nich się do niego odezwało.

– Jak to moja wina? – zapytał Dahl. – Przecież nie ja kazałem kapitanowi tu lecieć.

– To przez twoje pytania o Jenkinsa! – rzucił Cassaway. – Wkurzyłeś Q'eenga!

– To nie mogę już nawet o niego pytać?

– Nie, jeżeli w efekcie Q'eeng się na nas mści – rzekła gniewnie Mbeke.

– Zamknij się, Fiona – warknął Cassaway. – To również twoja wina.

– Moja wina?! – wściekła się. – Niby z jakiej racji? To nie ja zadaję te wszystkie durne pytania!

Cassaway wycelował palcem w Dahla.

– To ty wspomniałaś przy nim o Jenkinsie! I to dwukrotnie!

– Wypsnęło mi się – odparła Mbeke. – Za pierwszym razem po prostu gawędziłam. A za drugim byłam przekonana, że to nie ma znaczenia, bo



i tak już wiedział.

– Fiona, zobacz, gdzie jesteśmy. – Cassaway wskazał na prom. – Powiedz mi, że to nie ma znaczenia. Sidowi Blackowi jakoś nie powiedziałaś o Jenkinsie.

– Sid Black był dupkiem. – Mbeke wzruszyła ramionami.

– A ten nie jest? – zapytał Cassaway, ponownie celując w Dahla palcem.

– Hej, ja tu jestem – zaprotestował Andy.

– Wal się! – burknął Cassaway i ponownie spojrzał na Mbeke. – I ty też, Fiona. Powinnaś była trzymać język za zębami.

– Gadaliśmy... – Mbeke łamał się głos, gdy to mówiła; wpatrywała się w czubki własnych butów.

Andy przyglądał im się przez dłuższą chwilę.

– Nie wiedzieliście, że Q'eeng do was idzie, prawda? – powiedział wreszcie. – Nie mieliście czasu pójść po kawę ani schować się na zapleczu. Q'eeng wparował do laboratorium i was zaskoczył. A kiedy poinformował Collins, że zbiera ekipę na zwiad, ona...

– ...wrobiła nas – dokończyła koleżanka.

– I ciebie – rzucił Cassaway Dahlowi przez zaciśnięte zęby. – Q'eeng chciał, żeby ona albo Ben też lecieli, wtedy sprzedała ciebie. Przypomniała staremu, że to ty opracowałeś antidotum na merowiańską dżumę. Powiedziała, że jesteś jednym z najlepszych ksenobiologów w zespole. To oczywiście kłamstwo, bo wcale nie jesteś. Ale podziało, bo to ty lecisz z nami, a nie ona albo Ben.

– Rozumiem – odparł Dahl. – I to chyba nic dziwnego, skoro jestem nowy. Zajmuję najniższy szczebel w hierarchii. Należę do tych, których za parę miesięcy i tak zastąpi się świeżym mięsem armatnim. Za to wy dwoje – skinął głową w ich stronę – wy dwoje myśleliście, że jesteście pod ochroną. Przetrwaliście tu już tyle czasu, że nie sądziliście, iż Collins rzuci was na pożarcie komukolwiek. Mieliście nadzieję, że wybierze Bena Trina, a nie któreś z was, prawda? – Cassaway odwrócił wzrok; Mbeke zaszlochała cicho. – A tu nagle niespodzianka: poznaliście swoje rzeczywiste miejsce w hierarchii.

– Zamknij się, Dahl – powiedział Cassaway, nie patrząc na niego.

Przez resztę lotu nie odzywali się do siebie.

\* \* \*

Nie znaleźli kolonistów, ale ich fragmenty tak. I dużo krwi.

– Miotacze nastawione na pełną moc – rzekł Q'eeng. – Cassaway, Mbeke, Dahl, idźcie po śladach krwi w kierunku lasu. Może ktoś przeżył, a może dowiemy się, kto, lub co, spowodował tę masakrę. Ja sprawdzę biuro. Taylor, idziesz ze mną. – To powiedziawszy, Q'eeng skierował się ku dużej, kanciastej przyczepie.

– Idziemy! – rzucił Cassaway i całą trójką ruszyli ku drzewom.

Kilkaset metrów dalej znaleźli zmasakrowane ciało.

– Daj mi sampler – zwrócił się Dahl do Mbeke, która niosła urządzenie. Potem ukląkł przy trupie i przyłożył je do tego, co pozostało z tułowia. – To potrwa parę chwil – powiedział. – Sampler musi porównać próbki DNA wszystkich kolonistów. Pilnujcie, żeby to, co załatwiło tego biedaka, nie dopadło mnie.

– Robi się – odparł Cassaway, a Dahl skupił się na odczycie danych.

– To niejaki Fouad Ali – powiedział po kilku minutach. – Wygląda na to, że był tu lekarzem. – Spojrzał ponad ciałem ku drzewom. – Ślady krwi ciągną się w tamtym kierunku. Idziemy sprawdzić?

– Co ty robisz? – Usłyszał głos Mbeke.

– Co...? – zapytał Dahl. Odwrócił się w chwili, w której Cassaway wycelował do niego z miotacza. Mbeke spoglądała na nich skonsternowana.

Cassaway skrzywił się.

– Fiona, do diabła, czy nigdy nie możesz utrzymać języka za zębami?

– Ja jestem z Fioną – rzekł Dahl. – Co robisz? – zwrócił się do kolegi, próbując jednocześnie wstać.

– Nie ruszaj się! – ostrzegł go tamten. – Nie ruszaj się albo cię zastrzelę.

– Wygląda na to, że i tak to zrobisz – zauważył Andy. – Szkoda, że nie wiem dlaczego.

– Bo jedno z nas musi umrzeć – odparł Cassaway. – Tak to jest na zwiadach. Jeżeli Q'eeng prowadzi zwiad, ktoś musi zginąć. Ktoś zawsze ginie. I jeżeli ktoś umrze, reszta jest bezpieczna. Tak to działa.

– Ten, kto mi o tym ostatnio opowiadał, zginął posiekany na plasterki przez robota zabójcę po tym, jak ktoś inny zdążył już stracić życie – powiedział Dahl. – Więc to chyba jednak tak nie działa.

– Zamknij się – syknął Cassaway. – Jeżeli ty umrzesz, ja i Fiona nie będziemy musieli zginąć. Ty będziesz ofiarą. Gdy ofiara zostanie złożona, pozostali są bezpieczni. Będziemy bezpieczni.

– To tak nie działa – rzekł Dahl. – Kiedy ostatni raz byłeś na zwiadzie, Jake? Ja parę tygodni temu. To tak nie działa. Umykają ci kluczowe detale. Zabicie mnie nie sprawi, że będziesz bezpieczny. Fiona... – Spojrzał na Mbeke, próbując znaleźć u niej zrozumienie. Ona jednak wyciągnęła właśnie miotacz z kabury. – Dajcie spokój – dodał. – Dwie rany postrzałowe wzbudzą podejrzenia.

– Ustaw na niską siłę rażenia – polecił Cassaway Mbeke. – Celuj w tułów. Potem potniemy go na kawałki. To nam da alibi. Powiemy, że próbowaliśmy... – Nie zdołał powiedzieć więcej, bo właśnie w tym momencie potwory skoczyły z drzewa, pod którym stali, prosto na niego i Mbeke.

Upadli oboje, wrzeszcząc przeraźliwie, próbując obronić się przed istotami, które zatopiły kły w ich ciałach. Dahl gapił się przez ułamek sekundy, a potem popędził ku osadzie, instynktownie wyczuwając, że ten nagły ruch ratuje mu życie.

Przedzierał się przez krzaki, nawołując, żeby Q'eeng i Taylor przyszli mu na pomoc. Jakaś część jego mózgu chciała wiedzieć, czy biegnie we właściwym kierunku; inna zastanawiała się, dlaczego nie skontaktuje się z Q'eengiem przez radio. Trzecia przypominała mu, że u pasa ma miotacz, który może się okazać skuteczny przeciwko istotom rozszarpującym właśnie jego kolegów na kawałki. Czwarta mówiła mu: „Teraz biegnij i drzyj się wniebogłosy”.

I to jej usłuchał.

Między drzewami otworzył się prześwit, w którym ujrzał odległe zabudowania osady kolonistów i sylwetki Q'eenga i Taylora. Wrzasnął

najgłośniej, jak potrafił, i pobiegł prosto ku nim, machając rękami, żeby zwrócić ich uwagę. Mężczyźni poruszyli się tak, jakby go zauważyli.

Wtedy coś go popchnęło i upadł na ziemię.

Potwór skoczył na niego w ułamku sekundy, gryząc i szarpiąc pazurami. Dahl krzyknął i ujrawszy coś, co przypominało oko, w panice wbił w nie kciuk. Potwór zawył i odskoczył, Andy odepchnął się od niego. Po sekundzie istota znowu zaatakowała; poczuł, jak jej kły wbijają mu się w ramię, a po silnym pieczeniu poznał, że jest jadowita. Poszukał oka i ponownie wbił w nie kciuk, istota znowu odskoczyła, niestety, tym razem był już zbyt osłabiony, żeby próbować ucieczki.

Jedna ofiara, a potem reszta jest bezpieczna. Akurat – pomyślał, a ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, były imponujące szczęki potwora rozwierające się nad jego głową.

\* \* \*

Gdy się obudził, otaczali go przyjaciele.

– Boli – jęknął.

– Finn, daj mu wody – powiedziała Duvall.

Kolega wyciągnął manierkę z plastikową rurką ze schowka przy łóżku ambulatoryjnym i podsunął mu do ust. Pacjent chciwie pociągnął łyk.

– Nie umarłem – wychrypiał wreszcie.

– Nie – rzekła Maia. – Chociaż próbowałeś. To, co z ciebie zostało, powinno być martwe, gdy przywieźli cię z powrotem na statek. Doktor Hartnell mówi, że Q'eeng i Taylor dopadli do ciebie w ostatniej chwili, w przeciwnym razie to coś pożarłoby cię żywcem.

Ostatnie zdanie uruchomiło jakąś zapadkę w umyśle Dahla.

– Cassaway – wyjęczał. – Mbeke.

– Nie żyją – odrzekł Hanson. – Niewiele z nich zostało.

– Jesteś jedynym z całego zwiadu, który przeżył – powiedział Hester. – Z wyjątkiem Q'eenga.

– A Taylor? – zachrypiał Dahl.

– Ukąszony. Te potwory są jadowite. Jad nie zabija, lecz powoduje reakcję psychotyczną. Taylor dostał szału i otworzył ogień na pokładzie. Zabił trzech członków załogi, zanim go unieszkodliwili.

– Ten sam scenariusz miał zapewne miejsce w osadzie kolonistów – wyjaśnił Finn. – Z akt medycznych wynika, że grupa myśliwych została pokąsana, a gdy wrócili, wywołali strzelaninę. Potem zjawiły się stwory, zabrały martwych i wykończyły tych, którzy jeszcze żyli.

– Q'eeng też został pokąsany. Kapitan Abernathy umieścił go w izolatce do czasu opracowania antidotum – powiedział Hanson.

– Z twojej krwi – dodał Hester. – Byłeś nieprzytomny, więc nie mogłeś wpaść w szal. Dzięki temu twój organizm miał czas, żeby zmetabolizować jad i wytworzyć przeciwciała.

– Q'eeng miał szczęście, że przeżyłeś – powiedziała Duvall.

– Nie – poprawił ją Andy, wskazując na siebie palcem. – Miał szczęście, że zabrał mnie na ten zwiad.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

– Co to? – zapytał Dahl, biorąc z ręki Finna jeden z przypominających guzik przedmiotów.

– Nasz sposób na znalezienie Jenkinsa – odparł zapytany, podając mu resztę. – To identyfikatory wózków towarowych. Zdjąłem je z nieczynnych transporterów w przedziale złomowym. Wejścia do szybów rejestrują każde otwarcie i zamknięcie, i proszą o potwierdzenie tożsamości. Jeżeli jesteś członkiem załogi, identyfikujesz się przez telefon. Jeżeli jesteś wózkiem, twoją tożsamość potwierdzają właśnie te ustrojstwa.

– Dlaczego nie zostawimy naszych telefonów i po prostu nie wejdziemy do środka? – zapytał Hanson, przyglądając się urządzonej pod światło.

– Bo wtedy system zarejestruje otwarcie drzwi przez nieznaną osobę. A jeżeli Jenkins jest tak podejrzliwy i ostrożny, jak sądzi Andy, to nie ujdzie to jego uwadze.

– Więc zostawiamy telefony, bierzemy w zamian te cudenka i idziemy go szukać – podsumował Dahl.

– Taki właśnie jest plan – potwierdził Finn. – Chyba że masz lepszy.

– Przez ostatnie dwa tygodnie zajmowałem się wyłącznie rekonwalescencją – odparł Andy. – Nie mam lepszego planu.

– Więc kiedy ruszamy? – zapytała Duvall.

– Jeżeli Jenkins śledzi ruchy kapitana i wyższych oficerów, to będzie aktywny wtedy kiedy i oni – odrzekł Dahl. – Co oznacza pierwszą wachtę. Jeżeli wyruszymy na samym początku trzeciej, mamy szansę zaskoczyć go we śnie.

– Więc facet obudzi się i zobaczy wgapioną w siebie piątkę ludzi – zauważył Hester. – Żeby tylko nie dostał od tego jeszcze większego świra, niż ma.

– Wcale nie musi spać; a jeżeli nas zauważy, prawdopodobnie spróbuje uciekać – odparł Dahl. – Jednemu z nas może się wymknąć; pięciu osób nadchodzących z różnych stron tak łatwo nie wyprowadzi w pole.

– Uważajcie, idziemy zapolować na yeti! – zawołał Finn. – Facet jest wielki i owłosiony.

– Poza tym, bez względu na to, co się dzieje na tym statku, chcemy poznać prawdę raczej wcześniej niż później – zauważył Andy.

– Czyli początek trzeciej wachty – podsumowała Duvall. – Dzisiaj?

– Nie, dzisiaj nie – odparł Dahl. – Dajcie mi dzień lub dwa, żebym na nowo przyzwyczaiał się do chodzenia. – Przeciągnął się i skrzywił.

– Kiedy lekarze cię wypuszczą? – zapytał Hanson, przyglądając się mu uważnie.

– To mój ostatni dzień. Za chwilę mam ostatnie badania. Już wydobrzałem, tylko cały jestem sztywny od leżenia plackiem. Jutro, najdalej pojutrze będę gotowy do akcji. Ale przedtem czeka mnie jeszcze wycieczka do laboratorium ksenobiologii; bardzo chciałbym wiedzieć, dlaczego żadne z dwojga moich przełożonych nie pofatygowało się do mnie z wizytą.

– Być może ma to związek z tym, że Cassaway i Mbeke zostali pożarci – rzekł Hester. – Tylko zgaduję.

– Z pewnością – przyznał Andy. – Ale jest coś jeszcze i muszę to rozgryźć.

\* \* \*

– Możesz sobie darować – powitał go chłodny głos porucznik Collins, gdy przekroczył próg laboratorium. – Już tu nie pracujesz. Załatwiłam ci przeniesienie.

Dahl stanął jak wryty. Rozejrzał się. Szefowa stała przed nim z zaciętą miną. Trin wpatrywał się intensywnie w ekran swojego komputera. Zza pozostałych dwóch biurk spoglądały na niego dwie nowe twarze.

– Nowi Cassaway i Mbeke? – zapytał Collins.

– Jake’a i Fiony nie da się zastąpić – odparła.

– Za to da się ich spisać na straty – zauważył. – Zwłaszcza gdy chodzi o to, kto poleci na zwiad. – Wskazał gestem na nieznaną dwójkę. –

Powiedziałaś im już o Q'eengu? I o kapitanie? Wyjaśniłaś, dlaczego znikasz, kiedy mają się tu pojawić? Zaprezentowałaś Maszynę?

Collins z trudem się opanowała.

– To nie twoja sprawa, poruczniku – wycedziła wreszcie przez zaciśnięte zęby. – Nie pracuje pan już w tym laboratorium. Porucznik Dee, podoficer naukowy na mostku, w zeszłym tygodniu miała śmiertelny wypadek na misji zwiadowczej. Poleciłam pana Q'eengowi na zastępstwo. Zgodził się. Zaczyna pan jutro. Formalnie rzecz biorąc, oznacza to awans. Gratulacje.

– Ktoś mi kiedyś powiedział, żebym trzymał się z dala od mostka – rzekł Dahl, a potem skinął głową w stronę Trina. – W gruncie rzeczy powiedziały mi to dwie osoby. Tyle że jedna z większym naciskiem.

– Nonsens – rzuciła Collins. – Mostek to idealne miejsce dla kogoś takiego jak pan. Będzie pan miał styczność z oficerami wysokiej rangi. Będą mieli możliwość poznać pana zalety. No i nie zabraknie wam okazji do przygód: co tydzień będziecie latać na misje zwiadowcze. Czasami nawet częściej. – Uśmiechnęła się blado.

– Cóż – zauważył Dahl. – To, że poleciła mnie pani na to stanowisko, świadczy o tym, że pani dobrze o mnie myśli, porucznik Collins.

– Proszę nie zaprzętać sobie tym głowy – odparła. – Nie jest to nic, na co by pan nie zasługiwał. A teraz żegnam, poruczniku. Przed pierwszym dniem na mostku musi pan dobrze wypocząć.

Dahl wyprężył się i zasalutował. Collins odwróciła się bez słowa.

Andy skierował się ku drzwiom, jednak po drodze zmienił zdanie i cichcem podszedł do dwójki nowych.

– Od jak dawna tu jesteście? – zapytał.

Dziewczyna spojrzała na swojego towarzysza, a potem na Dahla.

– Od czterech dni – odpowiedziała. – Przenieśli nas z „Honsiu”.

– Nie byliście jeszcze na żadnych misjach zwiadowczych?

– Nie, sir.

– Coś wam poradzę. – Andy skinął głową, wskazując Collins i Trina. – Następnym razem, gdy ci dwoje ni stąd, ni zowąd stwierdzą, że idą po kawę, udajcie się na zaplecze robić remanent. Chyba nie mieli zamiaru



wam tego powiedzieć. Ani nikomu, kto kiedykolwiek będzie pracował w tym laboratorium. Więc ja wam to mówię. Uważajcie na nich. Nie dajcie się zrobić. – Po czym odwrócił się i wyszedł, zostawiając za plecami dwójkę skonsternowanych członków załogi i parę wściekłych oficerów.

\* \* \*

– Zwolnij, Andy – powiedziała Duvall, przyspieszając kroku, żeby nadążyć za kolegą. – Dopiero co wypuścili cię z ambulatorium.

Dahl prychnął i parł naprzód. Maia zrównała się z nim.

– Myślisz, że załatwiła ci przydział na mostku, żeby się zemścić za kumpli z laboratorium, prawda?

– Nie. Załatwiła mi ten przydział, bo kiedy musiała posłać Jake’a i Fionę na ten zwiad, wtedy to do niej dotarło.

– Co? – zapytała Maia, nie rozumiejąc. – Co do niej dotarło?

Dahl zmierzył ją wzrokiem.

– Że się boi – odpowiedział. – Maia, wszyscy na tym statku się boją. Kryją się za plecami innych, chowają po kątach i cały czas szukają sposobów, żeby nie myśleć o tym, ile czasu im to zajmuje. A potem nadchodzi moment, kiedy nie mogą już dłużej tego przed sobą ukrywać. Muszą stawić czoło prawdzie. To wyjątkowo paskudny moment. I to dlatego Collins załatwiła mi przeniesienie na mostek. Bo mój widok ciągle by jej przypominał, że jest tchórzem. – Przyspieszył kroku.

– Dokąd tak pędzisz? – zapytała.

– Maia, zostaw mnie w spokoju! – rzucił.

Stała jak wryta, a Dahl nawet się nie obejrzał. W gruncie rzeczy nie wiedział, dokąd idzie. Kipiały w nim frustracja i gniew, a na pełnym ludzi „Nieustraszonym” najłatwiej było znaleźć samotność, pozostając w ruchu.

Wokół niego stopniowo zrobiło się pusto. Wkrótce odzwyczajone od wysiłku mięśnie przypomniały o sobie. Dahl z zaskoczeniem stwierdził, że znajduje się przed wejściem do szybu towarowego, i to tego położonego najbliższej kryjówki Jenkinsa.

Stał przed śluzą przez dłuższą chwilę, przypominając sobie plan, wedle którego mieli zaskoczyć pokładowego ducha całą grupą i wyciągnąć od niego, co wie.

– A niech tam, raz kozie śmierć! – mruknął w końcu i nacisnął przycisk otwierający przejście.

Na wprost niego stał potwór przypominający yeti. Chwycił Dahla i pociągnął ku sobie. Andy krzyknął, lecz był zbyt słaby, żeby się opierać. Zachwiał się i przestąpił przez próg. Yeti, w którym rozpoznał teraz Jenkinsa, zamknął za nimi śluzę.

– Przestań wrzeszczeć – powiedział, zatykając sobie ucho palcem. – Jezu, to cholernie denerwujące!

Dahl spojrzał na zamknięte drzwi i z powrotem na Jenkinsa.

– Jak to zrobiłeś? – zapytał. – Skąd wiedziałeś?

– Bo jestem badaczem natury ludzkiej – odparł Jenkins. – A ty, jak na człowieka, jesteś dość przewidywalny. Poza tym twój telefon mówi mi, co robisz i gdzie jesteś.

– A więc wiesz...

– O waszym nazbyt skomplikowanym planie zaskoczenia mnie? Tak – potwierdził. – Twojemu przyjacielowi, Finnowi, należą się słowa uznania za pomysł z identyfikatorami. Nie wie jednak, że gdy ktoś skanuje identyfikator wyłączony z użytkowania, ja natychmiast mam powiadomienie. Nie on pierwszy wpadł na pomysł użycia ich, żeby dostać się niepostrzeżenie do szybów towarowych. A ty nie jesteś pierwszą osobą, która próbuje mnie znaleźć.

– Ależ nie... – zająknął się Dahl.

Jenkins pstryknął mu palcami przed twarzą.

– Hej, co ja właśnie powiedziałem? Gadka szmatka donikąd nas nie zaprowadzi.

– Przepraszam – zreflektował się Andy. – Spróbuję jeszcze raz: inni próbowali cię znaleźć przede mną, ale bezskutecznie.

– Zgadza się. Nie chcę być znaleziony. I ci, którzy korzystają z moich usług, też tego nie chcą. Wspólnie udaje nam się temu zapobiegać.

- To oznacza, że chciałeś mnie zobaczyć – rzekł Dahl powściągliwie.
- Powiedzmy raczej, że to ty chciałeś zobaczyć mnie, a ja jestem gotów ci na to pozwolić.
- Dlaczego akurat mnie?
- Właśnie dostałeś przydział na mostek.
- To prawda – potwierdził Andy. – A pamiętam, że wyraźnie mnie przed tym przestrzegałeś.
- I dlatego poszedłeś mnie szukać – burknął Jenkins. – Mimo że oznaczało to zburzenie planu, który ukułeś z przyjaciółmi.
- To prawda – przyznał Dahl.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Nie myślałem zbyt jasno.
- Bzdura! – rzucił Jenkins. – Myślałeś jasno, lecz nieświadomie. Teraz pomyśl świadomie i powiedz mi dlaczego. I pospiesz się. Nie czuję się tutaj zbyt bezpiecznie.
- Bo ty wiesz – odparł Dahl. – Wszyscy na „Nieustraszonym” wiedzą, że z tym statkiem jest coś nie tak. Mają swoje sposoby, żeby nie dać się w to wciągnąć. Nie wiedzą jednak, o co tak naprawdę w tym chodzi. Ty wiesz.
- Być może – powiedział Jenkins. – Ale jakie to ma znaczenie?
- Takie, że jeżeli nie wiesz, dlaczego coś jest takie, jakie jest, to w ogóle nic o tym nie wiesz – odparł Dahl. – Wszystkie sztuczki i przesady na nic się nie zdadzą, jeżeli nie rozumiesz, co leży u ich podstawy. Okoliczności się zmieniają, a ty będziesz ugotowany.
- Dość słaba logika – zauważył Jenkins. – Całe to rozumowanie wciąż nie wyjaśnia, dlaczego postanowiłeś mnie znaleźć.
- Bo ktoś próbuje mnie zabić. – Dahl popatrzył mu prosto w oczy. – Collins załatwiła mi przeniesienie na mostek, bo chce, żebym zginął.
- Tak, śmierć na zwiadzie – zgodził się Jenkins. – Prosta i skuteczna metoda rozwiązywania problemów na tym statku.
- Jutro zaczynam służbę. Potem to już nie będzie kwestia tego, czy zginę, a wyłącznie tego, kiedy to się stanie. Ścigam się ze śmiercią. Muszę

wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Żeby uniknąć śmierci.

– Cóż, byłoby miło.

– Collins chciała uniknąć śmierci i nazwałeś ją tchórzem.

– Nie dlatego ją tak nazwałem – odparł Andy.

– Nie, domyślam się, że nie.

– Jeżeli zrozumiem, co się za tym wszystkim kryje, być może zdołam uniknąć śmierci i być może zdołam uratować też innych – ciągnął Dahl. – Mam tu przyjaciół, ludzi, na których mi zależy. Nie chciałbym, żeby stracili życie.

– No dobrze – rzekł Jenkins. – Pozwól, że zadam ci ostatnie pytanie. Co będzie, jeżeli powiem ci, co myślę, a tobie wyda się to szaleństwem?

– Czy tak właśnie było? – zapytał Dahl. – Z Collins i Trinem? Pracowałeś dla nich. Powiedziałeś im, że masz pewną teorię. Wysłuchali cię, lecz nie uwierzyli.

Jenkins zachichotał.

– Powiedziałem, że może ci się to wydać szaleństwem, a nie czymś nie do wiary. Zresztą akurat Collins mi wierzy.

– Skąd wiesz?

– Bo właśnie dlatego jest tchórzem. – Otaksował Dahla wzrokiem. – Być może ty nie; może ty wcale nie jesteś tchórzem. Być może twoi przyjaciele też nie. Dlatego zbierz ich, poruczniku. Spotkamy się dziś wieczorem w mojej kryjówce. O tej samej porze, o której planowaliście mnie zaskoczyć. – Odwrócił się, żeby odejść.

– Mogę zadać ci jeszcze jedno pytanie?

– Oprócz tego, które właśnie zadałeś?

– Dwa – poprawił się Dahl. – Cassaway powiedział, że poleciał na tamten zwiad, bo nie ostrzegłeś ich, że Q'eeng do nich idzie. Powiedział, że to z zemsty za to, że pytałem o ciebie. Czy to prawda?

– Nie – odparł Jenkins. – Nie powiedziałem im, że Q'eeng się zbliża, bo byłem akurat w kiblu. Nie mogę mieć każdego na oku przez cały czas. A drugie pytanie?

– Powiedziałaś, żebym trzymał się z dala od mostka. Mnie i Finnowi. Dlaczego?

– Cóż, twojemu przyjacielowi, Finnowi, powiedziałem, bo akurat tam był i pomyślałem, że mu to nie zaszkodzi, nawet jeżeli jest trochę dupkiem. A co się tyczy ciebie, cóż... Powiedzmy, że z pewnych względów mam szczególny sentyment do laboratorium ksenobiologicznego. Przewidywałem też, że twoja reakcja na to, co dzieje się na „Nieustraszonym”, wykroczy poza zwykły lęk. Dlatego uznałem, że dobrze będzie, jeżeli osobiście udzielę ci rady i ostrzeżenia. – Uniósł palec wskazujący. – No i spójrz, dokąd nas to zaprowadziło. Przynajmniej żyjesz. Na razie. – Nacisnął guzik, żeby otworzyć śluzę i wypuścić Dahla. Potem odwrócił się i znikł.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– No już! – zawołał Jenkins i walnął otwartą dłonią w stół projekcyjny. Nad stołem pojawił się hologram, jednak zaraz zgasł. Jenkins ponownie walnął w blat dotykowy.

Dahl spojrział na Duvall, Hansona, Finna i Hestera, którzy siedzieli razem, ściśnięci w klitce Jenkinsa. Kobieta przewróciła oczami.

– Przepraszam – mruknął Yeti, niby do ich piątki, lecz głównie do siebie.  
– To sprzęt wycofany z użytku. Wózki zwożą złom, ja go naprawiam. Czasem nie wszystko działa tak, jak powinno.

– Nie ma sprawy – rzekł Dahl, rozglądając się dokoła.

Cała przestrzeń sortowni zastawiona była po sufit rzeczami gospodarza. Oprócz stołu projekcyjnego były tu: wąska prycza, niewielka szafka wypełniona rolkami ręczników papierowych, paleta racji żywnościowych i przenośna toaleta. Andy zastanawiał się, jak Yeti ją opróżnia. Choć tak naprawdę chyba wcale nie chciał wiedzieć.

– Czy to się wreszcie zacznie? – zapytał zniecierpliwiony Hester. – Myślałem, że to krócej potrwa. Łać mi się chce!

Gospodarz wskazał mu toaletę.

– Zapraszam – powiedział.

– Wolałbym nie – odparł żołnierz.

– Może po prostu powiedz nam to, co chcesz nam przekazać – zasugerował Dahl. – Nie potrzebujemy pokazu slajdów.

– Potrzebujecie – odparł Jenkins. – Gdybym wam po prostu powiedział, zabrzmiałoby to idiotycznie. Obrazy mówią same za siebie... A w każdym razie wydają się mniej szalone niż słowa.

– Super! – mruknął Finn i spojrział na Andy'ego z wyrzutem, jakby chciał powiedzieć: „Dzięki, że nas w to wpakowałeś”.

Dahl wzruszył ramionami.

Jenkins raz jeszcze uderzył otwartą dłońią w blat i tym razem hologram zaskoczył.

– Ha! – zawołał. – W porządku, jestem gotowy.

– Bogu niech będą dzięki – skwitował Hester.

Jenkins wybrał jeden z płaskich, poziomo ułożonych obrazów i obrócił go do pionu, żeby wszyscy mogli zobaczyć.

– To jest „Nieustraszony” – powiedział, wskazując na grafikę obracającą się teraz nad stołem. – Statek flagowy Unii Galaktycznej. Jedna z największych jednostek we flocie. Jeden z wielu tysięcy statków floty. Przez pierwsze dziewięć lat, od kiedy zaczął służbę, niczym szczególnym się nie wyróżniał, poza tym, że jest statkiem flagowym. – Obraz „Nieustraszonego” zniknął, zastąpiony przez wykres: dwie linie na osi czasu, z których jedna przeznaczona była dla „Nieustraszonego”, a druga dla reszty floty. – Ogólnie jego misją była eksploracja kosmosu. Od czasu do czasu statek wykonywał zadania wojskowe, jednak zawsze straty osobowe były porównywalne ze średnią dla całej floty, a nawet nieco niższe, bo, jako jednostka flagowa i symbol Unii, „Nieustraszony” nie był przeznaczany do wykonywania zadań najbardziej ryzykownych. A potem, pięć lat temu, nastąpiło to – rzekł Jenkins i wywołał odpowiedni fragment wykresu. Krzywa strat dla „Nieustraszonego” skoczyła ostro w górę i ustabilizowała się na poziomie o wiele wyższym niż średnia dla całej reszty floty.

– O rany! – jęknął Hanson.

– No właśnie – powiedział Jenkins.

– Co jest? – zapytał Dahl.

– Kapitan Abernathy, ot co – odparła Duvall. – Objął dowodzenie dokładnie pięć lat temu.

– Ciepło, ale to wciąż jeszcze nie to – odrzekł Jenkins. Przesunął dłońią nad stołem, żeby wybrać odpowiedni plik. – Abernathy istotnie objął komendę nad „Nieustraszonym” pięć lat temu. Przedtem przez cztery lata był dowódcą „Gryfa”, gdzie zyskał reputację oficera skutecznego, choć stosującego niekonwencjonalne i ryzykowne metody.

– „Ryzykowne metody” mogą być w tym przypadku eufemizmem oznaczającym wysokie straty – zauważył Hester.

– To prawda, jednak tak nie jest – odparł gospodarz i wywołał obraz krążownika kosmicznego. – Oto „Gryf”. – Obok rozwinął się wykres taki jak dla „Nieustraszonego”. – Jak widzicie, mimo że Abernathy miał opinię ryzykanta, odsetek strat w ludziach jest zbliżony do średniej. To dobry wynik, gdy weźmiemy pod uwagę, że „Gryf” to jednostka bojowa. Dopiero gdy Abernathy obejmuje dowództwo „Nieustraszonego”, odsetek poległych zaczyna gwałtownie rosnać.

– Może sfiksował? – zaproponował wyjaśnienie Finn.

– Opinie psychologów z ostatnich pięciu lat niczego takiego nie sugerują – odparł Jenkins.

– Skąd znasz jego... – Finn urwał i podniósł dłoń w pojedynczym geście. – Dobra, nieważne. Głupie pytanie.

– Twierdzisz zatem, że nie jest szaleńcem i nie naraża rozmyślnie załogi na niebezpieczeństwo – podsumował Dahl. – Pamiętam jednak, jak porucznik Collins tłumaczyła mi, że żołnierzom narzekającym na ponadprzeciętną śmiertelność na „Nieustraszonego” wyjaśnia się, że jako jednostka flagowa wykonuje on bardziej ryzykowne zadania. – Wskazał na ekran. – Według ciebie to nieprawda.

– To prawda, że obecnie misje zwiadowcze cechują się wyższą śmiertelnością – odrzekł Jenkins. – Lecz nie dlatego, że są bardziej ryzykowne. – Wywołał obrazy kilku różnych statków. – Oto jednostki bojowe i zwiadowcze Unii. Rutynowo wykonują one zadania wysokiego ryzyka. A oto ich wskaźniki strat w ludziach. – Tu rozwinął wykresy. – Widać, że są one wyższe od przeciętnej dla całej floty, lecz... – ponownie wywołał wykres dla „Nieustraszonego” – ...wciąż są znacząco niższe od naszych, mimo że nasze są ogólnie mniej ryzykowne.

– Więc dlaczego ludzie wciąż umierają? – zapytała Duvall.

– Same misje nie są szczególnie niebezpieczne – rzekł Jenkins. – Tak się jednak składa, że zawsze w ich trakcie coś idzie nie tak.

– Chodzi więc o niekompetencję – zasugerował Andy.



Gospodarz wywołał listę oficerów służących na „Nieustraszonym”, z ich różnymi odznaczeniami i osiągnięciami zawodowymi.

– To jest jednostka flagowa Unii – powiedział. – Niekompetentnych zwyczajnie tu nie przydzielają.

– A więc niefart – zasugerował Finn. – „Nieustraszony” ma najgorszą karmę w całym znanym Wszechświecie.

– To ostatnie może być prawdą – zgodził się Jenkins. – Jednak nie sądzę, żeby to miało cokolwiek wspólnego z pechem.

Dahl zamrugnął, przypominając sobie, że wypowiedział te same słowa, gdy wciągał rannego Kerensky’ego do promu na pamiętnym zwiadzie.

– Chodzi o oficerów – rzekł powoli.

– A konkretnie o pięciu z nich – potwierdził Jenkins. – Abernathy, Q’eeng, Kerensky, West i Hartnell. Ze statystycznego punktu widzenia coś jest z nimi nie tak. Gdy prowadzą zwiad, prawdopodobieństwo, że ktoś zginie, gwałtownie rośnie. Gdy dwóch z nich wchodzi w skład grupy zwiadowczej, prawdopodobieństwo to rośnie proporcjonalnie. Jeżeli trzech lub więcej: graniczy nieomal z pewnością.

– Ale nigdy żaden z nich – rzekł Hanson.

– Zgadza się – potwierdził Yeti. – To prawda, że Kerensky nieustannie wpada w tarapaty. Nawet pozostali czterej ulegają czasem różnym wypadkom. Ale wszyscy oni wciąż żyją, w odróżnieniu od niezliczonych członków załogi, którzy polecili z nimi na misję.

– To nie jest normalne – mruknął Dahl.

– Oczywiście, że nie! – Jenkins wywołał wizerunki piętki oficerów i podświetlił towarzyszące im wykresy. – Misje zwiadowcze, prowadzone przez tych pięciu, mają wyższy wskaźnik śmiertelności niż misje prowadzone przez jakichkolwiek innych oficerów w całej flocie, i to od początku powstania Unii Galaktycznej dwieście lat temu. Trzeba się cofnąć do czasów floty morskiej, żeby natrafić na podobne wskaźniki zgonów, a i wtedy oficerowie nie byli nieśmiertelni. Kapitanowie i wyżsi oficerowie ginęli tak samo jak zwykłe zuczki...

– Wtedy szkorbut i dżuma robiły swoje – zauważył Hester.

– Nie chodzi tylko o choroby. – Jenkins wskazał na podobizny oficerów.  
– Dzisiaj oficerowie też giną, chociaż oczywiście rzadziej niż szeregowcy. Jednak ze statystycznego punktu widzenia każdy z tej piątki powinien już dawno nie żyć. Być może dwóch na pięciu mogło się jakoś uchować, ale wszyscy? To mniej prawdopodobne niż to, że jednego z nich trafi piorun.

– Co i tak zapewne by przeżyli – rzekł Finn.

– Lecz nie stojący obok nich szeregowiec – dodała Duvall.

– Zaczynacie łapać – powiedział Jenkins.

– Mówisz więc, że cudów nie ma i... – podsumował Dahl.

– Cudów nie ma – pokręcił głową Jenkins – ale niektóre rzeczy są bardzo mało prawdopodobne. To jest jedna z nich.

– Jak bardzo nieprawdopodobne? – zapytał Andy.

– Tylko jeden statek ze wszystkich, jakie zbadałem, ma zbliżone wskaźniki strat w ludziach podczas misji zwiadowczych – odparł gospodarz. Wyszukał odpowiedni plik i wyświetlił hologram. Wszyscy wbili weń wzrok.

Duvall zmarszczyła czoło.

– Nie rozpoznaję tego statku. A byłam przekonana, że znam wszystkie typy jednostek służących we flocie. Czy to jest statek Unii Galaktycznej?

– Niezupełnie. Należy do Zjednoczonej Federacji Planet.

Maia zamrugła szybko, po czym spojrzała na Jenkinsa wyczekująco.

– Kim oni są?

– Oni nie istnieją – odparł Jenkins. – Podobnie jak ten statek. „Enterprise”. Jest fikcyjny. Grał w serialu science fiction. My robimy to samo.

\* \* \*

– Dobra – powiedział Finn po dłuższej chwili. – Nie wiem jak wy, ale ja zamierzam oficjalnie uznać tego gościa za kompletnie porąbanego.

Jenkins spojrzał na Dahla.

– Uprzedzałem, że to zabrzmie idiotycznie. – Wskazał na hologram. – Lecz sami widzieliście statystyki.

– Które pokazują, że z tym statkiem jest coś poważnie nie tak – rzucił Finn. – A nie, że jesteśmy gwiazdami w cholernym serialu fantastycznonaukowym.

– Nie powiedziałem, że jesteście gwiazdami – odparł Jenkins. Wskazał na wizerunki oficerów. – Oni są gwiazdami. Wy jesteście statystami.

– Jasne! – Finn wstał. – Dziękuję za zmarnowanie mojego czasu. Idę się przespać.

– Zaczekaj – powiedział Dahl.

– Zaczekać? Poważnie, Andy? Wiem, że od jakiegoś czasu masz obsesję na punkcie tego wszystkiego, ale jechać po bandzie to jedno, a wyjechać poza bandę to zupełnie co innego. Twój włochaty kumpel wyjechał poza bandę tak daleko, że w ogóle stracił ją z oczu.

– Wiecie, jak bardzo nie lubię zgadzać się z Finnem – wtrącił Hester. – A tym razem się zgadzam. To nie jest prawda. To nawet nie jest nieprawda.

Dahl spojrzał na Duvall.

– Wybacz, Andy, lecz dla mnie ten przypadek też kwalifikuje się do leczenia – stwierdziła. – Przykro mi.

– Jimmy? – Dahl spojrzał na Hansona.

– Cóż, facet bez wątpienia jest wariatem. Ale wydaje mu się, że mówi prawdę.

– Oczywiście, że tak! – zawołał Finn. – Dlatego właśnie jest wariatem.

– Nie to mam na myśli – odparł Hanson. – Kiedy jesteś szalony, rozumiesz zgodnie z własną logiką wewnętrzną, która nie ma sensu poza twoją głową. W jego przypadku – tu wskazał na Jenkinsa – jest to logika zewnętrzna i brzmiąca wystarczająco rozsądnie.

– Z wyjątkiem fragmentu o tym, że wszyscy jesteśmy fikcyjni – prychnął Finn.

– Nigdy tak nie twierdziłem – zaprotestował Jenkins.

– Taa, jasne – Finn wskazał hologramowy obraz „Enterprise” – ty niepoohamowany dupku!

– Statek jest fikcyjny – rzekł Jenkins. – Wy jesteście realni. Fikcyjny program telewizyjny ingeruje w naszą rzeczywistość i deformuje ją.

– Czekaj – powiedział Finn z niedowierzaniem. – Powiedziałaś: „telewizyjny”? Robisz sobie jaja?! Telewizja nie istnieje od setek lat!

– Pierwsza transmisja miała miejsce na początku XX wieku, w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym roku – odparł Jenkins. – Ostatni raz użyto tej technologii do celów rozrywkowych w roku dwa tysiące sto piątym. Pomiędzy tymi dwiema datami rozgrywa się serial o przygodach statku kosmicznego „Nieustraszony”.

– Naprawdę chciałbym wiedzieć, co palisz – warknął Finn. – Cokolwiek to jest, idę o zakład, że zarobię na tym kupę szmalu.

Yeti znów spojrzał na Dahla.

– Nie mogę pracować w tych warunkach.

– Zamknijcie się wszyscy na moment – nakazał Andy. Finn i Jenkins zastygli zdumieni. – Posłuchajcie, zgadzam się, że to brzmi jak wariactwo. Nawet on to przyznaje. Ale pomyślcie o tym, co sami zaobserwowaliśmy na statku. O tym, jak ludzie się tutaj zachowują. Problem nie polega na tym, że ten facet jest przekonany, iż gramy w serialu. Polega na tym, że w tym momencie i w świetle tego, co wiemy, wydaje się to najbardziej racjonalnym wytłumaczeniem sytuacji. Poprawcie mnie, jeżeli się mylę. – Powiódł wzrokiem po pozostałych.

Milczeli. Finn wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, jednak powstrzymał się.

– W porządku – dodał Dahl. – Wysłuchajmy przynajmniej do końca, co facet chce nam powiedzieć. Może dalszy ciąg jest jeszcze bardziej zwariowany. A może potem robi się sensowniej. Tak czy owak, lepsze to niż nic, które mamy teraz.

– Zgoda – powiedział Finn. – Ale wisisz nam wszystkim ręczną robotę.

– Ręczną robotę? – zdziwił się Jenkins.

– Za długo by wyjaśniać – odparł Dahl.

– Cóż – rzekł Jenkins – w takim razie powiem wam, że co do jednego macie rację. To naprawdę popieprzone, że najbardziej logicznym

wytłumaczeniem jest to, że program telewizyjny ingeruje w naszą rzeczywistość i ją zaburza. Jednak nie to jest w tym wszystkim najgorsze.

- Jezu Chryste! – jęknął Finn. – Jeżeli to nie jest najgorsze, to co jest?
- Że wygląda na to, że to wcale nie jest najlepszy serial.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Czerwony alert! – krzyknął kapitan Abernathy, gdy statek kalendriańskich rebeliantów wystrzelił salwę torped w kierunku „Nieustraszonego”. – Manewr unikowy! Już!

Dahl, na swoim stanowisku podoficera naukowego na mostku, szerzej rozstawił stopy, łapiąc równowagę, podczas gdy statek skręcił gwałtownie, żeby uniknąć smukłych pocisków, lecących w jego stronę. „Zauważycie, że w sytuacjach kryzysowych stabilizatory inercji nie działają zbyt dobrze – tak powiedział im Jenkins. – Normalnie statek może kręcić beczki i ósemki i nikt się nie wywraca. Lecz gdy tylko coś się dzieje, wszyscy lecą z nóg”.

– Wciąż lecą prosto na nas! – wrzasnął podporucznik Jacobs ze stanowiska dowodzenia systemami uzbrojenia.

Abernathy wcisnął guzik w podłokietniku fotela, uruchamiając komunikator pokładowy:

– Załoga! Przygotować się na uderzenie!

Andy i wszyscy pozostali na mostku chwycili się relingów i zaparli nogami. W takich chwilach po prostu tęsknią za stabilizatorami... – pomyślał.

Rozległo się głucho dudnienie, gdy torpedy trafiły w cel. Podłoga mostka zatrzęsała się.

– Raport o uszkodzeniach! – rzucił Abernathy.

„W razie ataku niemal zawsze ucierpią pokłady od szóstego do dwunastego – powiedział też Jenkins. – To dlatego, że tam są pełne dekoracje. Filmowcy mogą zrobić przebitkę z mostka na ujęcia eksplozji i wylatujących w powietrze członków załogi”.

– Poważne uszkodzenia pokładów szóstego, siódmego i dziewiątego – wyrecytował Q’eng. – Niewielkie uszkodzenia na ósmym i dziesiątym.

– Kolejne torpedy! – zawołał Jacobs. – Cztery!

– Pociski przeciwuderzeniowe! – krzyknął Abernathy. – Ognia!

Dlaczego nie kontratakował od razu? – pomyślał Dahl. I przypomniał sobie słowa Jenkinsa: „W każdym starciu chodzi o maksimum dramatyzmu. Tak się dzieje, gdy Narracja przejmuje władzę. Dzieją się rzeczy bezsensowne. Prawa fizyki zostają zawieszane. Ludzie przestają myśleć logicznie, a zaczynają dramatycznie”.

„Narracją” Jenkins określał momenty, gdy program telewizyjny wkraczał w ich życie; to ona zaburzała logikę obowiązującą w rzeczywistości, każąc ludziom mówić i robić rzeczy, których normalnie nigdy by nie zrobili. „Na pewno już tego doświadczyliście – mówił. – Nagle coś wiecie, choć nie macie pojęcia skąd. Robicie coś, ale nie wiecie dlaczego. To jest jak niepowstrzymana chęć, bo wasza wola nie należy wtedy do was: jesteście pionkiem kierowanym przez wyobraźnię scenarzysty”.

Na ekranie rozkwitły trzy pomarańczowe wybuchy, znacząc miejsca, gdzie przeciwwuderzenie „Nieustraszonego” zlikwidowało wrogie torpedy. Trzy, nie cztery – pomyślał Dahl. – Dzięki temu będziemy mieli więcej dramatyzmu.

– Jedna torpeda się przedarła! – krzyknął Jacobs. – Leci prosto na nas!

Nastąpiło głuchoe tąpnięcie, gdy pocisk trafił w kadłub kilka pokładów poniżej mostka. Jacobs wrzasnął, kiedy stanowisko dowodzenia eksplodowało w deszczu iskier, a podmuch zwałił go na podłogę.

„Coś wybuchnie na mostku – powiedział Jenkins. – Tam kamera spędza większość czasu. Muszą być jakieś zniszczenia, czy to ma sens, czy nie”.

– Przekierować systemy bojowe! – krzyknął Abernathy.

– Przekierowane! – potwierdził Kerensky. – Mam je.

– Ognia! – polecił Abernathy. – Ze wszystkich luf!

Kerensky wbił palce w przyciski.

Ekran rozbłysnął, gdy wiązki laserowe i rakiety uzbrojone w głowice neutrinowe wystrzeliły ku kalendriańskiemu rebeliantowi, eksplodując chwilę później.

– Trafiony! – rzucił Kerensky, odczytując dane. – Wygląda na to, że rozwaliliśmy im rdzeń napędowy, kapitanie. Mniej więcej za minutę statek wybuchnie.

– Zabierajmy się stąd, Kerensky – polecił Abernathy, a potem zwrócił się do Q'eenga: – Inne nasze uszkodzenia?

– Pokład dwunasty mocno oberwał.

Drzwi na mostek otworzyły się i do środka wszedł główny inżynier West.

– Silnikom też zdrowo się dostało – powiedział, tak jakby mógł słyszeć rozmowę Abernathy'ego z Q'eengiem przez zamknięte drzwi i przy wyciu syren alarmowych. – Mamy szczęście, że osłony rdzenia wytrzymały, kapitanie.

– Ile czasu zajmie naprawa? – zapytał dowódca.

Tyle, ile trzeba, żeby dodać nowe komplikacje – pomyślał Dahl.

– Co najmniej dziesięć godzin, sir – odparł West.

– Do diabła! – Abernathy walnął pięścią w oparcie fotela. – Za dziesięć godzin mamy eskortować kalendriańskiego pontyfika na rozmowy pokojowe.

– Zdaje się, że część rebeliantów wciąż jest im przeciwna – zauważył Q'eeng, spoglądając na ekran. W tym momencie wrogi statek rozpadł się na kawałki.

– Na to wygląda – potwierdził Abernathy. – Jednak sami o nie prosili. Po co teraz próbować nie dopuścić do ich rozpoczęcia? I po co atakować nas? – Spojrzał w przestrzeń ponurym wzrokiem.

„Raz na jakiś czas Abernathy albo któryś z oficerów powie coś dramatycznego, retorycznego albo podprowadzającego, a potem wszyscy na parę sekund milkną. To jest wstęp do przerwy na reklamy – powiedział Jenkins. – Wtedy też Narracja się wyłącza. Obserwuj, co zrobią potem”.

Po kilku sekundach Abernathy zamrugał, rozluźnił się i spojrzał na Westa.

– Cóż, myślę, że pańscy ludzie powinni zacząć naprawiać te silniki – powiedział. W jego głosie było o wiele mniej napięcia i dramatyzmu niż zaledwie parę chwil wcześniej.

– Tak jest – odparł West. Wychodząc, rozejrzał się z niejakim zdziwieniem, jakby zastanawiając się, czemu uznał za stosowne



pofatygować się aż na mostek, żeby przekazać informację, którą równie dobrze mógł zakomunikować przez interkom.

Abernathy zwrócił się do Q'eenga.

– Zaczniemy też naprawiać uszkodzone pokłady.

– Robi się – odpowiedział Q'eeng.

– I niech ktoś naprawi stanowisko dowodzenia – dodał kapitan. – Poza tym chciałbym wiedzieć, czemu nie zostały tu zainstalowane dławiki antyprzebieciowe. Nie ma powodu, żeby instalacja miała zwarcie za każdym razem, gdy toczymy bitwę.

W tym momencie Dahl pozwolił sobie na lekkie chrząknięcie.

– Jakiś problem, poruczniku? – zapytał Abernathy, patrząc na niego, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z jego obecności.

– Nie, sir – odparł Andy. – Przepraszam, sir. Jestem tylko odrobinę zdenerwowany po tym, co przeżyliśmy.

– Pan nazywa się Dill – rzekł kapitan. – Z ksenobiologii.

– Dahl, sir. Tak, stamtąd mnie tu przeniesiono.

– A zatem to pański pierwszy dzień na mostku.

– Tak jest.

– Cóż, proszę się nie martwić, nie zawsze tak tu jest – rzekł Abernathy. – Czasami jest gorzej.

– Tak jest, sir – odpowiedział Andy służbistym tonem.

– W porządku. – Abernathy wskazał leżącego na brzuchu i pojękującego cicho Jacobsa. – W takim razie niech pan się na coś przyda i zabierze Jacksona do ambulatorium. Chyba potrzebuje pomocy.

– Tak jest, sir – odparł Dahl i podszedł do kolegi.

– Co z nim? – zapytał kapitan, gdy Andy podźwignął rannego.

– Potłuczony, sir. Myślę, że przeżyje.

– Świetnie – rzekł Abernathy. – Poprzedni ogniomistrz nie miał tyle szczęścia. Ani ten przed nim. Czasami, Dill, zastanawiam się, co, u diabła, dzieje się z tym statkiem. Jakby ciążyła na nim jakaś cholerna klątwa.

\* \* \*

– To niczego nie dowodzi – powiedział Finn, gdy Dahl opisał mu wydarzenia na mostku. Siedzieli całą piątką w świetlicy, popijając drinki.

– Jakich dowodów jeszcze ci trzeba? To było jak odfajkowanie listy. Kiepsko działające tłumiki inercji? Zgadza się. Eksplozje na mostku? Zgadza się. Uszkodzone pokłady od szóstego do dwunastego? Zgadza się. Znaczące zawieszenie głosu przed przerwą na reklamy? Zgadza się.

– Nikt nie zginął – zauważył Hanson.

– Nie zawsze ktoś musi ginąć – odparł Andy. – Myślę, że ta bitwa to była dopiero przygrywka. To, co się dzieje przed pierwszą przerwą na reklamy. Wstęp do tego, co ma nastąpić później.

– Czego na przykład? – zapytała Duvall.

– Nie mam pojęcia – odrzekł Dahl. – To nie ja piszę scenariusz.

– Jenkins by wiedział – zauważył Hester. – Ma ten swój zbiór „odcinków”.

Andy skinął głową. Jenkins pokazał im oś czasu „Nieustraszonego”. W niemal regularnych odstępach były na niej zaznaczone podświetlone krzyżyki. „To są momenty, gdy włącza się Narracja – powiedział, powiększając jeden z krzyżyków, który rozwinął się w rozgałęziony graf. –

Jak widzicie, Narracja włącza się i wyłącza. Każde z tych pomniejszych wydarzeń to jedna scena. Wszystkie razem składają się na fabułę filmu. –

Wrócił do ogólnej osi czasu. – Sześć lat. Średnio dwadzieścia cztery główne wydarzenia rocznie. Plus parę pomniejszych. Myślę, że to są powieści inspirowane serialem”.

– No nie, tylko nie to – rzucił Finn do Hestera, przerywając rozmyślenia Dahla. – Nie dość, że Andy w to uwierzył, teraz i ty zaczynasz świrować.

– Finn, jeżeli coś przypomina but i pasuje na moją stopę, to chyba nazwę to butem, nie? – odparł Hester. – Nie wierzę we wnioski Jenkinsa, ale jego znajomość detali robi wrażenie. Ta ostatnia akcja przebiegła dokładnie tak, jak przewidywał. Opisał wszystko, łącznie z eksplozją na mostku. Jasne, może być tak, że wcale nie jesteśmy częścią scenariusza, a Jenkinsowi

zwyczajnie skończyły się leki na głowę. Jednak myślę, że wie całkiem dobrze, dokąd zaprowadzi nas ta przygoda z rebelianckim statkiem.

– Więc będziesz biegał do niego za każdym razem, gdy coś się wydarzy, żeby dowiedzieć się, co dalej? – zapytał Finn. – Jeżeli naprawdę chcesz zostać czyimś wyznawcą, to są lepsi kandydaci niż facet, który od czterech lat żyje na racjach żywnościowych i sra do przenośnej toalety.

– Więc jakie jest twoje wyjaśnienie, mądralo? – zapytał Hester.

– Nie mam żadnego – odparł Finn. – Posłuchaj, to jest bardzo dziwny statek. Wszyscy się co do tego zgadzamy. Tylko że ty, tak jak niektórzy, próbujesz wtłoczyć przypadkowe zdarzenia w ciąg przyczynowo-skutkowy.

– Zawieszenie praw fizyki to nie przypadkowe zdarzenie – rzekł Hester.

– Aha, a ty właśnie zostałeś fizykiem i na tym się znasz? – Finn rozejrzał się po obecnych. – Ludzie, jesteśmy na statku kosmicznym, nie na karuzeli! Czy naprawdę rozumiemy mechanizm jego działania? Napotykamy nowe formy życia na planetach, które odkrywamy. Czy powinniśmy być zaskoczeni, że ich nie rozumiemy? Jesteśmy częścią cywilizacji, która rozciąga się na przestrzeni wielu lat świetlnych. Jest to naprawdę dziwne, jeżeli dobrze się zastanowić. Wszystko to jest nieprawdopodobne u samych swoich podstaw.

– Nie mówiłeś tego wszystkiego, kiedy byliśmy u Jenkinsa – zauważył Dahl.

– Zamierzałem – odparł Finn. – Ale wszyscy chcieliście słuchać jego, więc nie było sensu.

Dahl, zirytowany, zmarszczył brwi.

– Posłuchaj, nie przeczę, że coś tu jest nie tak – dodał Finn. – Bo jest. Wszyscy o tym wiemy. Może dlatego, że cały ten statek znajduje się w jakiejś wariackiej pętli, w jakimś informacyjnym sprzężeniu zwrotnym. Od lat żywi się własnymi historiami. Jeśli to założymy i zaczniemy szukać prawidłowości łączących nietypowe zdarzenia, znajdziemy je. Do tego jest jeszcze ktoś taki jak Jenkins: szalony, lecz wysławiający się na tyle rozsądnie, żebyśmy uwierzyli w wyjaśnienie, które z perspektywy czasu wydaje się w jakiś sposób sensowne. Potem mu odbija i zaczyna śledzić oficerów na potrzeby reszty załogi, co oczywiście dodatkowo napędza jego

szaleństwo. I w tym wszystkim pojawia się Andy, którego nauczono wierzyć w tego rodzaju czary-mary.

– Co masz na myśli? – zapytał Dahl, sztywniejąc.

– To, że spędziłeś całe lata w seminarium duchownym, po uszy zanurzony w mistycyzmie – odparł Finn. – I to nie zwykłym ludzkim mistycyzmie, ale mistycyzmie obcej rasy. Tam otworzyłeś sobie umysł, przyjacielu, na tyle szeroko, żeby przyjąć zwariowaną teorię Jenkinsa. –

Podniósł dłonie w pojednawczym geście, widząc irytację kolegi. – Nie zrozum mnie źle, Andy, lubię cię. Myślę, że w porządku z ciebie gość. Jednak sądzę, że akurat w tej sytuacji twoja przeszłość przemawia przeciwko tobie. I mam wrażenie, że, świadomie czy nie, prowadzisz nas prosto na manowce.

– Skoro mowa o osobistej przeszłości, to muszę przyznać, że ta część opowieści Jenkinsa najbardziej mnie wystraszyła – rzekła Maia.

– To, że ją zna? – zapytał Hanson.

– To, że tyle wie o każdym z nas – odparła. – I uważa, że to ma znaczenie.

„Wszyscy jesteście statystami, ale wyróżniającymi się statystami – powiedział im Jenkins. – Zwykły statysta istnieje tylko po to, żeby zginąć w odpowiednim momencie, nie posiada więc historii. Natomiast każde z was tak. – Wskazywał kolejno. – Ty uczyłeś się na kapłana obcej religii. Ty jesteś sukinsynem, który narobił sobie wrogów w całej flocie. Ty jesteś synem jednego z najbogatszych ludzi we Wszechświecie. A ty opuściłaś swój ostatni statek po kłótni z przełożonym, a teraz sypiasz z Kerenskym”.

– Po prostu jesteś wściekła, że powiedział nam, że bzykasz się z Kerenskym – rzekł Hester. – Zwłaszcza po tym, jak na naszych oczach dałaś mu kosza.

Duvall przewróciła oczami.

– Mam swoje potrzeby.

– Facet miał trzy razy trypra w ostatnich kilku latach – zauważył Finn.

– Nie bój się, kazałam mu wziąć kolejną serię zastrzyków – powiedziała Duvall, a potem spojrzała na Dahla. – Poza tym nie miejcie mi za złe, że troszczę się o siebie. Żaden z was nie był jakoś szczególnie wyrywny.

– Hej, ja byłem w ambulatorium, kiedy zaczęłaś z nim sypiać – odparł Dahl. – To nie moja wina.

Maia uśmiechnęła się.

– Nie o tę część wypowiedzi Jenkinsa mi chodzi – odparła. – Raczej o tę drugą.

„Nie zginiecie ot tak, po prostu – powiedział im Yeti. – Widzom nie wystarczy, że w każdym odcinku straci życie jakiś przypadkowy biedak. Raz na jakiś czas musi zginąć ktoś, z kim mogą się utożsamiać. Scenarzyści biorą więc pomniejszą postać, rozbudowują jej wątek na tyle długo, żeby widzowie zaczęli się o nią troszczyć, i dopiero wtedy ją wykańczają. Do tej kategorii należycie wy. Ponieważ macie swoje osobiste historie. Wasza śmierć będzie zapewne tematem całego odcinka”.

– Jeszcze więcej bzdur – prychnął Finn.

– Łatwo ci mówić – jęknął Hester. – Ja jestem tu jedyny bez ciekawej historii. Nie mam nic. Następny zwiad i będzie po mnie.

Finn wskazał na Hestera i zwrócił się do Dahla.

– Widzisz, o tym właśnie mówię. Namieszałeś w słabym i rozgorączkowanym umyśle.

Andy uśmiechnął się.

– A ty jesteś samotnym głosem rozsądku.

– Tak! – zawołał Finn. – I chcę, żebyś wreszcie się zastanowił, co to jest dla mnie być jedyną osobą w naszej grupie, która nawołuje do opamiętania! Jestem najmniej odpowiedzialnym gościem, jakiego znam. Nienawidzę być głosem rozsądku. Naprawdę nienawidzę.

– Słaby i rozgorączkowany – mruknął Hester.

– To ty chciałeś nazywać but butem – odparł Finn.

Telefon Duvall zadzwonił i na chwilę odeszła na bok. Gdy wróciła, była blada.

– Dobra – powiedziała. – To już jest naprawdę zbyt wyjątkowy zbieg okoliczności, jak na mój gust.

– Co takiego? – zapytał Dahl, marszcząc brwi.

– Dzwonił Kerensky – odparła. – Mam się zgłosić na odprawę oficerską.

– Po co? – Chciał wiedzieć Hester.

– Po ataku rebeliantów „Nieustraszony” ma uszkodzone silniki, tak? Trzeba więc było wysłać inną jednostkę, żeby eskortowała kalendriańskiego pontyfika na rozmowy pokojowe. I statek eskortujący właśnie zaatakował pojazd pontyfika i unieruchomił go.

– Co to za jednostka? – zapytał Dahl.

– „Nantes” – odpowiedziała Duvall. – Na którym poprzednio służyłam.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

– Zaufaj mi, Andy – powiedział Finn, gdy szli do Duvall. – Ona wcale nie chce cię zobaczyć.

– Tego nie wiesz – odparł Dahl.

– Wiem – rzekł Finn.

– Tak? Skąd?

– Po odprawie uprzedziła: „Jeżeli spotkam Andy’ego, to przysięgam, że rozkwaszę mu gębę”.

Dahl uśmiechnął się. Dotarli do kajuty i weszli do środka. Maia siedziała na koi.

– Maia – zaczął Dahl.

– Andy – odparła, po czym wstała i walnęła go pięścią w twarz.

Dahl upadł, trzymając się za nos.

– Mówiłem ci – zauważył Finn. Spojrzał na Duvall. – Mówiłem mu.

– Myślałem, że żartujesz! – zawołał Dahl z podłogi.

– Niespodzianka – rzucił jego kumpel.

Andy przyjrzał się swojej dłoni, żeby sprawdzić, czy jest zakrwawiona. Nie była.

– Za co? – spytał.

– Za te twoje teorie spiskowe – odparła, zagadnięta.

– To nie są moje teorie, tylko Jenkinsa – odparł.

– Rany boskie, nieważne, kto to wymyślił! – wybuchła. – Jestem na tej cholernej odprawie, mówię im, co wiem o „Nantes”, i przez cały czas myślę: To jest to, to jest ten odcinek, w którym ginę. Potem spoglądam na Kerensky’ego, a on robi maślane oczy, jakbyśmy byli po ślubie, a nie mieli zwyczajny romans. I w tym momencie wiem, że jestem zgubiona, bo jeżeli ten sukinsyn czuje do mnie miętę, to moja śmierć pasuje idealnie. Widzowie dostaną swoją porcję wzruszeń na końcu odcinka.

– Maia, to nie musi działać w ten sposób – rzekł Dahl, zbierając się z podłogi.

Popchnęła go z powrotem na ziemię.

– Zamknij się, Andy – powiedziała. – Po prostu się zamknij. Nie rozumiesz, co do ciebie mówię. Nieważne, czy to działa w ten sposób. Ważne, że udzieliła mi się twoja paranoja. Wciąż się zastanawiam, czy zginę na najbliższym zwiadzie. Nie mogę przestać o tym myśleć. To jak czekanie na przypadkową cegłę, która może ci spaść na głowę. Ty mi to załatwiłeś. Naprawdę wielkie dzięki. – Znów usiadła na koi, wzburzona.

– Przykro mi – rzekł Dahl po dłuższej chwili.

– Przykro ci – powtórzyła i zaśmiała się kwaśno. – Jezu, Andy.

– Co się wydarzyło na odprawie? – zapytał Finn.

– Opowiedziałam im, co wiem o „Nantes” i jego załodze – odparła Duvall. – Kalendriańscy rebelianci mają na pokładzie szpiega, kogoś, kto był w stanie włamać się do systemu uzbrojenia i zaatakować statek pontyfika, a potem odciąć łączność. Od ataku „Nantes” milczy.

– Po co mieliby umieszczać szpiega na „Nantes”? – zdziwił się Finn. – Przecież to „Nieustraszony” miał eskortować ważniaka.

– Musieli wiedzieć, że „Nantes” jest w tym wypadku statkiem rezerwowym – powiedziała Maia. – No i łatwiej jest umieścić szpiega na „Nantes” niż na jednostce flagowej Unii. Wysyłają więc statek, żeby nas zaatakował i wykluczył z misji, a „Nantes” atakuje statek pontyfika. Ale to nie wszystko. – Zawiesiła głos. – Gadamy o tym na odprawie, a mnie przez głowę przebiega pytanie: Z jak dużym wyprzedzeniem mieliby umieścić szpiega? Skąd mogli wiedzieć, która jednostka będzie statkiem rezerwowym na misji, którą ogłoszono zaledwie parę dni temu? A potem jeszcze: Scenariusz tego odcinka trzeba poprawić. – Spojrzała na Dahla. – I to właśnie wtedy postanowiłam, że przy następnym spotkaniu rozkwaseę ci gębę.

– Jenkins mówił, że serial nie należy do najlepszych – zauważył Andy.

Duvall podniosła zaciśniętą pięść.

– Stary, nie zmuszaj mnie, żebym znów cię walnęła.

– Czy wyznaczono skład grupy zwiadowczej?



– Aha – potwierdziła. – Jestem w jej składzie. „Nantes” nie przemieszcza się i milczy, więc „Nieustraszonemu” polecono zbadać sytuację i ochronić statek pontyfika przed ewentualnym kolejnym atakiem. Ja służyłam na „Nantes”, a także w siłach naziemnych, więc pójdę na szpicy. I pewnie wszyscy przeze mnie zginą, bo dzięki Andy’emu jestem przekonana, że moja śmierć ma sens z punktu widzenia scenariusza.

– Kiedy dotrzemy do „Nantes”? – zapytał Finn.

– Mniej więcej za dwie godziny. Czemu pytasz?

Finn sięgnął do kieszeni i wyciągnął małą niebieską pigułkę.

– Proszę, weź to.

– A co to? – zdziwiła się Maia.

– Antydepresant na bazie wyciągu z rośliny zwanej orynksem – wyjaśnił. – Bardzo łagodny.

– Nie potrzebuję ogłupiaczy! – warknęła. – Potrzebuję jeszcze raz przywalić Andy’emu.

– Możesz mieć jedno i drugie. – Finn się zaśmiał. – Maia, zaufaj mi. Jesteś roztrzęsiona i zdajesz sobie z tego sprawę. Sama wiesz, że w takim stanie narażasz cały zwiad.

– A jeżeli to wezmę, złapię luz?

– Nie – odparł Finn. – To bardzo łagodny środek. Prawie nie zauważysz efektu. Poczujesz ledwie wewnętrzne rozluźnienie. Akurat tyle, żeby móc się skupić na zadaniu, a nie na własnym stanie psychicznym. Poza tym nic się nie zmieni. Będiesz bystra i w pełni świadoma. – Podał jej pigułkę.

– Jest na niej kłaczek – powiedziała.

Finn zdmuchnął go.

– Proszę.

– No dobrze, niech będzie – odrzekła i wzięła antydepresant. – Ale jeżeli zacznę widzieć gadające jaszczurki, tym razem dostanie się tobie.

– Zgoda. Chcesz coś do popicia?

– Nie trzeba – odparła i połknęła pigułkę. Potem nachyliła się i spoliczkowała Dahla.

- Za co znowu?! – zdziwił się Andy.
- Finn powiedział, że mogę łyknąć pigułkę i ci przywalić – wyjaśniła, a potem zmarszczyła czoło. – Mówiłeś, że co zawiera to чудо?
- Wyciąg z orynksa.
- I że ma łagodne działanie...?
- Zazwyczaj – odparł Finn.
- Bo muszę ci się przyznać, że chyba dziwnie się czuję... – powiedziała i zwiotczała.
- Dahl chwycił ją, zanim zdążyła upaść na podłogę.
- Coś ty zrobił?! – zapytał Finna, podtrzymując nieprzytomną koleżankę.
- Jak widać, pozbawiłem ją świadomości – odparł, pomagając Andy’emu.
- Mówiłeś, że ta pigułka ma bardzo łagodne działanie.
- Kłamałem – odrzekł i chwycił Duvall za nogi. Wspólnie umieścili ją na koi.
- Jak długo będzie nieprzytomna?
- Taka dawka załatwia dorosłego faceta na jakieś osiem godzin. W jej przypadku będzie to pewnie co najmniej dziesięć.
- Nie poleci na zwiad.
- I o to właśnie chodziło – powiedział Finn, a potem wskazał Duvall. – Andy, twoje bzdury o serialu telewizyjnym zdrowo namieszały jej i pozostałym w głowie. Jeżeli dalej chcesz iść tą ścieżką, proszę. Nie zamierzam cię powstrzymywać. Ale przynajmniej postaram się udowodnić, że to gówno prawda.
- Podając Mai pigułkę, od której urwał się jej film?
- To tylko środek do celu. Celem jest udowodnienie, że grupa zwiadowcza poleci na „Nantes” i wykona zadanie choćby i bez niej. Życie toczy się dalej nawet wtedy, gdy teoretycznie powinno włączyć się to, co Jenkins nazywa „Narracją”. Gdy Duvall, Hester i Jimmy to zobaczą, może przestaną svirować. I kto wie, może ty też pójdziesz po rozum do głowy?

Dahl wskazał na Duvall.

– Będzie miała kłopoty, jeśli nie poleci na zwiad. Postawią ją za to przed sądem. Chyba jej się to nie spodoba.

Finn uśmiechnął się.

– Myślisz, że o tym nie pomyślałem?

– I niby jaki masz plan?

– Zaraz się przekonasz – odparł. – Bo jesteś jego częścią.

\* \* \*

– Gdzie jest Maia? – zapytał Kerensky.

– Kto? – odparł niewinnym tonem Finn.

– Duvall. – Kerensky się zniecierpliwił. – Ma lecieć na zwiad.

– Ach, ona – powiedział Finn. – Cóż, zapadła na orynksańską puchlinę wodną. Przez parę dni będzie się kurować. Dahl i ja zastąpimy ją na zwiadzie. Proszę sprawdzić rozkazy, sir.

Kerensky otaksował Finna wzrokiem, a potem wyciągnął komunikator i sprawdził przekazaną mu listę członków zwiadu. Po chwili chrząknął i pokazał gestem, żeby wsiadali na prom, co Dahl i Finn uczynili bez słowa. Andy nie wiedział, jak kumpłowi udało się sfalszować listę, i nie miał potrzeby, żeby dopytywać.

W promie znajdowali się już kapitan Abernathy, komandor Q'eeng oraz wyjątkowo zdenerwowany młody podporucznik, którego Dahl nigdy wcześniej nie widział. Podporucznik bez wątpienia zarejestrował obecność w składzie zwiadu trzech wyższych rangą oficerów i obliczył swoje szanse przeżycia. Wynik go nie ucieszył.

Dahl uśmiechnął się do niego, siadając; młody podoficer odwrócił wzrok.

Kilka minut później prom, pilotowany przez Kerensky'ego, opuścił dok i wziął kurs na „Nantes”.

– Ponieważ niektórzy dołączyli do naszej wycieczki w ostatniej chwili – rzekł kapitan Abernathy, spoglądając na Finna i Dahla – raz jeszcze omówię sytuację i plan ataku. „Nantes” zamilkł niedługo przed otwarciem

ognia do statku pontyfika i milczy do tego czasu. Przypuszczamy, że kalendriański szpieg zdołał w jakiś sposób przejąć kontrolę nad jednostką, odciąć łączność i zaatakować statek pontyfika. Potem załoga najwyraźniej odzyskała kontrolę, bo w przeciwnym razie ta jednostka już by nie istniała. Nasze zadanie polega na tym, żeby wejść na pokład „Nantes”, ocenić sytuację i w razie konieczności pomóc w schwytaniu szpiega.

– Czy mamy jakieś informacje co do jego tożsamości, sir? – Dahl był zaskoczony, słysząc własne słowa. O cholera – pomyślał.

– Doskonale pytanie, poruczniku – rzekł Q’eeng. – Wkrótce przed startem poprosiłem o listę członków załogi „Nantes”. Jej skład nie zmieniał się od paru miesięcy, jednak niedawno dołączył ktoś nowy, niejaki szeregowiec Jer Weston. To on nas głównie interesuje.

– Chwileczkę – wtrącił Finn. – Powiedział pan: Jer Weston?

– Tak – potwierdził Q’eeng, zirytowany, że mu przerwano.

– Wcześniej służył na „Springfieldzie”?

– Tak, zgadza się, to był jego poprzedni przydział – rzekł Q’eeng. – Dlaczego pan pyta?

– Bo znam tego gościa – odpowiedział Finn. – Służyliśmy razem na „Springfieldzie”.

– Mój Boże, człowieku! – zawołał Abernathy, nachylając się ku Finnowi. – Proszę nam o nim opowiedzieć.

– Nie ma zbyt wiele do gadania. – Finn spojrzał na kapitana, a potem na Q’eenga. – Pracowaliśmy razem w ładowni.

– Byliście kumplami? – zapytał Q’eeng.

– To za dużo powiedziane, sir – odparł Finn. – Jer to palant. W jego słowniku nie ma hasła „kumpel”. Ale pracowałem z nim ponad rok. Nie wyglądał mi na kogoś, kto mógłby zdradzić.

– Gdyby szpiegzy wyglądali jak zdrajcy, byłiby z nich kiepscy szpiegzy – zauważył Q’eeng.

– Finn, proszę powiedzieć wszystko, co pan wie o tym Westonie – rzekł Abernathy z naciskiem. – Cokolwiek, co moglibyśmy wykorzystać. Cokolwiek, co pozwoli nam przejąć kontrolę nad „Nantes”, zanim ci

rebelianci zgromadzą większe siły. Jeżeli do tego czasu „Nantes” nie będzie w gotowości bojowej, nie zdołamy ochronić pontyfika. A wtedy to już nie będzie konflikt jedynie między Kalendrianami. Wojna rozgorzeje w całej galaktyce.

Nastąpiła dłuższa chwila napiętego milczenia.

– Hm, tak jest, sir – powiedział wreszcie Finn.

– Świetnie, dziękuję – rzekł Abernathy i wyraźnie się rozluźnił. – Coś takiego. W ostatniej chwili dołączacie do tej misji i okazuje się, że znacie człowieka, którego podejrzewamy o szpiegowanie. Zdumiewające. Niezły zbieg okoliczności, nieprawdaż?

– Zgadza się – potwierdził Finn.

– Prawdziwy fart, niech mnie kule biją! – zawołał Abernathy.

– Kapitanie, zanim szeregowy Finn opowie nam o Westonie, chciałbym omówić z panem plan „Nantes” – powiedział Q’eeng i obaj oficerowie pograżyli się w dyskusji.

Dahl zwrócił się do Finna.

– W porządku? – zapytał.

– Jasne – odparł kumpel.

– Na pewno?

– Andy, daj spokój – zniecierpliwiał się Finn. – Zbieg okoliczności i tyle. Dam sobie radę. Ty też dasz sobie radę. Wrócimy na „Nieustraszonego”, napijemy się, a potem pójdziemy do ambulatorium, gdzie Maia Duvall da mi kopniaka w tyłek. Tak przewiduję. Mogę się założyć, jeśli chcesz.

– W porządku. – Dahl uśmiechnął się. Rzucił okiem na Abernathy’ego i Q’eenga, wciąż pograżonych w rozmowie. Potem spojrzął na nowego podporucznika. Ten obserwował Finna z wyrazem twarzy, którego w pierwszej chwili Andy nie mógł odczytać. Dopiero po sekundzie dotarło do niego: na twarzy młodzika malowała się ulga. I poczucie winy.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Dok „Nantes” był pusty, jeżeli nie liczyć kilku automatycznych wózków towarowych.

– Finn i Dahl, idziecie ze mną – polecił kapitan Abernathy, a potem skinął na młodego podporucznika. – Grover, idziecie z Kerenskym i Q’eengiem.

– Tak jest, sir – odpowiedział Grover i w tym samym momencie trafiła go wiązka laserowa wystrzelona z jednego z wózków. Cisnęło nim o kadłub promu. Gdy osuwał się na ziemię, Dahl dostrzegł konsternację w jego oczach.

Potem Andy puścił się biegiem za Abernathym i Finnem, szukając schronienia. Znalazł je kilka metrów dalej, za kontenerami na śmieci. Kilka uzbrojonych wózków zbliżało się ku nim, podczas gdy pozostałe potoczyły się tam, gdzie ukryli się Kerenski i Q’eeng.

– Jakież pomysły? – zapytał zdyszczanym głosem kapitan.

– Te wózki są zdalnie sterowane – rzekł Finn. – Jeżeli zdołamy dostać się do sterowni, wyłączymy je.

– Tak – potwierdził Abernathy i wskazał przeciwległą ścianę. – Jeżeli układ doku jest taki sam jak na „Nieustraszonym”, sterownia jest tam.

– Mogę to zrobić – zaoferował się Finn.

Abernathy podniósł dłoń.

– Nie. Straciliśmy już dzisiaj jednego członka załogi. Nie chcę ryzykować życia następnego.

W odróżnieniu od ryzykowania życia kapitana? – pomyślał Dahl, ale nic nie powiedział.

Abernathy uniósł miotacz.

– Kryjcie mnie. Ruszam na trzy. – Zaczął odliczać.

Dahl zerknął na Finna, który wzruszył ramionami i odbezpieczył miotacz.

Na trzy Abernathy wypadł zza śmietnika niczym wystraszona przepiórka i popędził zakosami przed siebie. Wózki porzuciły poprzednie cele i zaczęły strzelać do niego, za każdym razem lekko chybiając. Dahl i Finn wycelowali i unieruchomili każdy po jednym.

Abernathy dobiegł do sterowni. Żeby nie tracić czasu, rozbił strzałem okno i wskoczył przez nie do środka. Kilka sekund później wózki znieruchomiały z głośnym chrzęstem.

– Czysto! – zawołał Abernathy, gramoląc się przez rozbite okno. Członkowie grupy zwiadowczej zebrali się przy ciele Grovera, na którego twarzy wciąż widniał wyraz niedowierzania.

– Finn, wygląda na to, że pański kumpel Weston jest teraz także mordercą – rzekł Abernathy ponuro.

– On nie jest moim kumplem, sir – odparł Finn.

– Ale znacie się – stwierdził kapitan. – Jeżeli się spotkacie, czy będzie pan w stanie go obezwładnić? Nie zabijając go?

– Tak jest, sir – odrzekł Finn.

– Świetnie.

– Kapitanie, musimy ruszać – wtrącił się Q'eeng. – Tych wózków może być więcej. Idę o zakład, że Weston używa ich jako armii robotów, żeby trzymać w szachu resztę załogi.

– Dokładnie tak – zgodził się Abernathy, po czym skinął na Q'eenga. – My dwaj udamy się na mostek, żeby znaleźć kapitan Bullington i pomóc jej odzyskać kontrolę nad statkiem. Kerensky, niech pan weźmie Finna i Dahla i znajdźcie Westona. Chcę go mieć żywego!

– Tak jest, sir – potwierdził Kerensky.

– Świetnie – rzekł Abernathy. – Ruszajmy więc.

On i Q'eeng odbiegli truchtem w stronę wejścia do doku, żeby zagłębić się w korytarze, gdzie z pewnością czekały ich kolejne starcia z uzbrojonymi wózkami.

– Jaki mamy plan? – spytał Finn Kerensky'ego.

– Plan? – Kerensky bezradnie zamrugął.

– Jeżeli Narracja istnieje naprawdę, to w tej chwili z pewnością na niego nie działa – mruknął Andy do Finna.

– Okej – Finn zwrócił się do Dahla. – A ty co proponujesz?

– Wiesz, co myślę – odparł Andy i wskazał na wózki towarowe.

– Myślisz, że Jer bawi się w Jenkinsa. Kryje się w ścianach.

– Bingo! – zawołał Dahl.

– Bawi się w co? – Kerensky nic nie rozumiał. – O czym wy dwaj rozmawiacie?

Zamiast odpowiedzi Dahl i Finn zajęli się dwiema różnymi rzeczami: Dahl analizowaniem planów statku, a Finn manipulowaniem przy martwych wózkach.

– Proszę. – Po kilku chwilach Finn wyciągnął dłoń przed siebie. – Trzy identyfikatory. Tylko musimy zostawić telefony, żeby sprawne wózki nas nie rozpoznały i nie zaczęły strzelać.

– Sztuczka Jenkinsa – zauważył Dahl.

– Tak, tylko że nasze identyfikatory pochodzą z wózków, które jeszcze chwilę temu były aktywne – odparł Finn. – Więc ich numery identyfikacyjne wciąż figurują w systemie. Jer chyba na to nie wpadnie...

– Niby na co? – zapytał Kerensky.

– Myślę, że masz rację – Andy zlekceważył jego pytanie; wywołał na komunikatorze mapę szybów towarowych. – Chyba nie miał też czasu wymazać z planów statku swojej kryjówki, bo wszystkie sortownie wciąż tu są.

– Łącznie jest ich siedem – przeliczył Finn. – Od której zaczynamy?

Dahl wywołał dane Westona.

– Pracował przy doku cumowniczym, więc zacznijmy od położonego najbliżej – powiedział i powiększył odpowiedni fragment. – Czyli tutaj. – Pokazał palcem.

– Wygląda obiecująco – rzekł Finn.

– Rozkazuję wam wyjaśnić, co planujecie – rzekł błagalnym tonem Kerensky.



– Pomożemy panu schwytać Jera Westona, sir – odparł Finn. – Pewnie dostanie pan za to awans.

– Och! – Kerensky wyprostował się. – A zatem na co czekamy?

– Pomścimy też śmierć Grovera – dodał Dahl, wskazując martwe ciało na podłodze.

– Tak, to też – rzekł Kerensky i spojrzał na trupa. – Biedak. To był jego ostatni zwiad.

– Nie da się ukryć – zgodził się Finn.

– Nie to mam na myśli. Za parę dni miał odejść do cywila – wyjaśnił Kerensky. – Przydzieliłem go do tej misji, żeby odniósł jeszcze jeden sukces na ukoronowanie służby. Ostatnie zwycięstwo. Błagał, żebym go nie brał, ale nalegałem.

– To było dość paskudne z pańskiej strony – ocenił Andy.

Kerensky skinął głową, chyba nie dosłyszawszy. Pograżony był w rozmyślaniach.

– Naprawdę szkoda. Miał się niedługo żenić...

– Och, dość już! – zniecierpliwził się Finn. – Bo będę musiał pana wychłostać, sir.

– Co takiego? – zapytał Kerensky, spoglądając na niego.

– Chyba chce powiedzieć, że powinniśmy ruszać, sir – rzekł gładko Dahl.

– Słusznie – zgodził się Kerensky. – Dokąd idziemy?

\* \* \*

– Zaczekajcie tutaj – szepnął Kerensky, gdy dotarli do zakrętu, za którym znajdowała się sortownia. – Podejdę i obezwładnię go, a potem skontaktujemy się z kapitanem.

– Kontakt będzie niemożliwy, bo zostawiliśmy telefony – przypomniał mu Finn.

– I chyba najpierw trzeba unieszkodliwić uzbrojone wózki – dodał Dahl.

– Tak, tak – rzucił Kerensky poirytowanym tonem. – Ale najpierw go podejdę.

– Świetny plan – zgodził się Dahl.

– Jesteśmy zaraz za panem, sir – zapewnił Finn.

Kerensky skinął głową, odbezpieczył broń i wyskoczył zza zakrętu, wołając Westona po nazwisku. Nastąpiła wymiana ognia, jednak wszystkie strzały były niecelne. Z sufitu posypały się iskry, gdy wiązka laserowa rykoszetem trafiła w przewód wentylacyjny, którego fragment urwał się, spadając prosto na Kerensky'ego. Ten jęknął i stracił przytomność.

– Niewielki z niego pożytek, naprawdę – rzekł Finn.

– Co chcesz teraz zrobić? – zapytał Dahl.

– Mam plan – powiedział Finn. – Chodź. – Wstał i ruszył naprzód, trzymając miotacz za plecami.

Andy pobiegł za nim.

Po kilku krokach ujrzeli rozczochranego Jera Westona, stojącego na środku sortowni z miotaczem w dłoniach. Pochylał się nad nieprzytomnym Kerenskim i najwyraźniej zastanawiał, czy go dobić.

– Hej, Jer! – zawołał Finn, podchodząc bliżej. – To ja, Finn.

Weston zmrużył oczy.

– Finn? Poważnie? Tutaj? – Uśmiechnął się. – Jezu, stary. Co za zbieg okoliczności!

– Wiem! – zgodził się Finn i wystrzelił do Westona wiązką obezwładniającą.

Jer padł na ziemię.

– To był twój plan? – zapytał Dahl sekundę później. – Miałeś nadzieję, że na chwilę się zawaha, zanim do ciebie strzeli?

– Cóż, z perspektywy czasu myślę, że mój plan miał pewne wady – przyznał Finn. – Z drugiej strony, zadziałał. Z sukcesem się nie dyskutuje.

– Ależ tak – odparł Andy. – Jeżeli jest oparty na głupocie.

– W każdym razie sam widzisz. – Finn zaśmiał się. – Gdybym miał umrzeć na tym zwiadzie, stałoby się to teraz, prawda? Pojedynek z dawnym

kumplem, idealnie. Jednak jestem żywy, a on nieprzytomny i w niewoli. Tyle na temat Narracji i umierania w najbardziej dramatycznych momentach. Mam nadzieję, że zapamiętasz tę lekcję.

– Świetnie – rzekł Dahl. – Być może coś sobie wmówiłem. Ale i tak nie idę za tobą w ogień.

– Pewnie słusznie – powiedział Finn i zerknął na komputer sortowni, którego Weston prawdopodobnie używał do sterowania wózkami. – Załatw wózki, a ja zastanowię się, jak przetransportujemy Jera.

– Moglibyśmy użyć wózka – zasugerował Dahl, podchodząc do komputera.

– Super! – zawołał Finn.

Andy zresetował wózki na całym statku i wtedy usłyszał jęknięcie Kerensky'ego.

– Chyba ktoś się budzi – powiedział do Finna.

– Zmagam się tu z Jerem – odparł kolega. – Załatw to sam, z łaski swojej.

Dahl podszedł do Kerensky'ego, który wciąż leżał przygnieciony fragmentem przewodu wentylacyjnego.

– Dzień dobry, sir – rzekł.

– Dopadłem go? – zapytał Kerensky.

– Gratulacje, sir. Pański plan zadziałał znakomicie.

– Doskonale. – Kerensky nieco chrypiał.

– Czy pomóc panu z tym żelastwem, sir?

– Proszę – powiedział porucznik.

\* \* \*

– W aktach Westona nie ma nic, co sugerowałoby, że sympatyzuje z kalendriańskimi rebeliantami – wyjaśniła Sandra Bullington, kapitan „Nantes”. – Poprosiłam nasz kontrwywiad o raport. Chłopak nie ma przekonań politycznych ani religijnych. Nawet nie głosuje.

Bullington, Abernathy, Q'eeng, Finn i Dahl stali w areszcie przed przeszkloną klatką, pośrodku której, przywiązany do będącego tu jedynym meblem krzesła, siedział Jer Weston. Wyglądał na oszołomionego, lecz się uśmiechał. Kerensky, z obitymi zębami, został odtransportowany do ambulatorium.

– A krewni i znajomi? – zapytał Q'eeng.

– Też nic – odparła Bullington. – To metodyści od wielu pokoleń, mieszkający na drugim krańcu Unii. Żaden z jego znajomych nie ma nic wspólnego z Kalendrią lub jej politycznymi czy religijnymi konfliktami.

Abernathy spojrział na Westona.

– Czy on w ogóle podał jakieś wyjaśnienie?

– Nie – odrzekła Bullington. – Sukinsyn załatwił osiemnaścioro członków załogi i nie chce powiedzieć dlaczego. Jak dotąd powołał się tylko na swoje prawo do milczenia. Mówi jednak, że wyzna wszystko pod jednym warunkiem.

– A mianowicie? – zapytał Abernathy.

– Że to pan go wysłucha.

– Dlaczego ja?

Bullington wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Lecz gdybym miała zgadywać, to powiedziałabym, że dlatego, że jest pan kapitanem statku flagowego floty i pańskie czyny znane są w całej Unii. Może po prostu chce się popławić w blasku pańskiej sławy.

– Sir, odradzałbym to – wtrącił Q'eeng.

– Zrobiliśmy mu rewizję osobistą – uzupełniła Bullington. – Jest czysty, a nawet gdyby przemycił jakąś broń, jest unieruchomiony od szyi w dół. Jeżeli nie znajdzie się pan w zasięgu jego zębów, wszystko będzie w porządku.

– Wciąż odradzam... – nie ustępował Q'eeng.

– Warto zaryzykować, żeby dowiedzieć się, co się za tym wszystkim kryje – rzekł Abernathy, a potem spojrział na Dahla i Finna. – Na wszelki

wypadek wezmę ze sobą tych dwóch. Z bronią. Jeżeli coś się stanie, zawsze jeden z nich zdąży sprzątnąć Westona.

Q'eeng nie wyglądała na uszczęśliwionego, jednak nic nie powiedział.

Dwie minuty później Abernathy, Dahl i Finn weszli do szklanej klatki. Weston uśmiechnął się i zwrócił do Finna:

– Hej, chłopie, strzeliłeś do mnie.

– Sorry – rzekł Finn.

– Nie ma sprawy. Przeczynałem, że tak będzie. Nie wiedziałem tylko, kto mnie puknie.

– Kapitan Bullington powiedziała, że jesteś gotów wyznać prawdę, ale tylko mnie – odezwał się Abernathy. – Jestem więc.

– No tak – zgodził się Weston.

– Powiedz nam, co cię łączy z kalendriańskimi rebeliantami.

– Że z kim? – zapytał Jer.

– Z kalendriańskimi rebeliantami – powtórzył Abernathy.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– Otworzyłeś ogień do statku pontyfika po tym, jak „Nieustraszony” został zaatakowany przez rebeliantów. Chyba nie każesz nam wierzyć, że te dwa wydarzenia nie były ze sobą powiązane.

– Są powiązane – odparł Weston. – Ale nie tak, jak pan myśli.

– Marnujesz mój czas – zniecierpliwził się kapitan i odwrócił w stronę wyjścia.

– Nie chce pan wiedzieć, o co tu chodzi? – zapytał Weston.

– O kalendriańskich rebeliantów – odparł kapitan.

– Nie – rzekł Weston. – O pana.

– Co takiego? – zapytał Abernathy, mrużąc oczy.

Weston zwrócił się do Finna.

– Przykro mi, że padło na ciebie – powiedział, a potem zaczął mrugać, najpierw dwa razy lewym okiem, potem trzy razy prawym, raz lewym i ponownie trzy razy prawym.

– Bomba! – wrzasnął Finn, a Dahl rzucił się na kapitana, gdy głowa Westona eksplodowała.

Andy poczuł, jak mundur i skóra na plecach palą mu się od gorąca, a podmuch cisnął nim i Abernathym o ścianę. Jakiś czas potem usłyszał, że ktoś woła go po imieniu, podniósł wzrok i ujrzał potrząsającego nim Abernathy’ego. Kapitan miał poparzone ręce i ramiona, lecz poza tym nic mu nie było. Andy wziął na siebie główną siłę uderzenia. Gdy zdał sobie z tego sprawę, nagle plecy zapiekły go żywym ogniem. Odsunął się od Abernathy’ego i zaczął czołgać do Finna, który leżał na podłodze ze spaloną twarzą i tułowiem. To on znajdował się najbliżej Westona w momencie wybuchu. Gdy zbliżył się do przyjaciela, ujrzał, że ten spogląda nań jedynym okiem, jakie mu pozostało. Dłoń rannego drgnęła i Andy ujął ją, przez co Finnem wstrząsnął dreszcz. Próbował cofnąć rękę, ale Finn chwycił go mocniej. Jego usta poruszyły się. Dahl przysunął się bliżej.

– To jest po prostu śmieszne – wyszeptał Finn.

– Przykro mi – wyszeptał Andy.

– Nie twoja wina.

– I tak mi przykro.

Finn chwycił go kurczowo.

– Znajdź sposób, żeby to zatrzymać.

– Zrobię to – obiecał Andy.

– Dobrze – powiedział Finn i wyzionął ducha.

Abernathy podszedł do Dahla, żeby odciągnąć go od Finna. Pomimo bólu Dahl zamachnął się, ale trafił w próżnię. Stracił przytomność, jeszcze zanim jego pięść zatoczyła pełne koło.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– Powiedz mi, jak to zatrzymać – rzekł Dahl do Jenkinsa.

Jenkins, który oczywiście wiedział, że Andy do niego idzie, podniósł wzrok.

– Wygląda na to, że wydobrzałeś – zauważył. – Cieszę się. Przykro mi z powodu twojego przyjaciela, Finna.

– Wiedziałeś, że to się stanie?

– Nie – odparł Yeti. – Nie jest tak, że ten, kto pisze tę szmirę, wysyła mi streszczenia nadchodzących odcinków. A ten był wyjątkowo kiepsko wymyślony. Jer Weston chodzący latami z bombą biologiczną w głowie, czekający na spotkanie z Abernathym, którego wini za śmierć własnego ojca podczas misji zwiadowczej dwadzieścia lat wcześniej, i wykorzystujący incydent z kalendriańskim pontyfikiem, żeby dokonać swej zemsty? Wybacz, ale to chała.

– Więc powiedz mi, jak to zatrzymać – powtórzył Dahl.

– Nie da się tego zatrzymać. To jest nie do powstrzymania. Można się tylko przed tym kryć.

– Chowanie się nie wchodzi w rachubę.

– No co ty?! – rzekł Jenkins i rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: „Spójrz na mnie”.

– To jest wyjście tylko dla ciebie – stwierdził Andy. – Wszyscy nie mogą się kryć w zakamarkach statku.

– Są inne sposoby. Zapytaj swoją byłą szefową, porucznik Collins.

– Ona jest bezpieczna tylko wtedy, gdy ty jesteś na posterunku. I nie siedzisz akurat na kiblu.

– A zatem znajdź sposób, żeby przenieśli cię na inny statek. Ciebie i twoich przyjaciół.

– To też nie pomoże – rzekł Dahl. – Jer Weston zabił osiemnaścioro członków załogi „Nantes” za pomocą swoich uzbrojonych wózków. Jak

widać, śmierć dopadła ich, mimo że nie służyli na „Nieustraszonym”. Żebyśmy mogli w ostatniej chwili opracować antidotum dla Kerensky’ego, zarażono dżumą całą planetę. Jej mieszkańcy też nie byli bezpieczni. Nawet ty nie jesteś bezpieczny, Jenkins.

– Jestem, jestem.

– Dlatego że twoja żona zginęła, a ty byłeś jedynie częścią jej historii...? A co będzie, gdy pewnego pięknego dnia któryś ze scenarzystów pomyśli o tobie...?

– Nie ma takiej opcji – powiedział Jenkins.

– Na pewno? Na „Nantes” Jer Weston też ukrywał się w szybach towarowych. Tam go znaleźliśmy. Pisarczyk, który wymyślił ostatni odcinek, wie już, że szyby towarowe można wykorzystać jako kryjówkę. Ile czasu minie, zanim zaczniesz myśleć o tobie?

Jenkins nie skomentował tych słów, choć Andy nie wiedział, czy dlatego, że rozważa ewentualność trafienia na celownik scenarzysty, czy dlatego, że wspomnieli wcześniej o jego żonie.

– Nikt z nas nie jest bezpieczny – rzekł Dahl. – Ty straciłeś żonę. Ja właśnie straciłem przyjaciela. Ty mówisz, że ja i moi przyjaciele zginiemy wszyscy dla efektu dramatycznego. Ja mówię, że cokolwiek przydarzy się nam, przydarzy się też i tobie. Chowanie się nic nie zmieni, Jenkins. Tylko opóźni to, co nieuniknione. A tymczasem żyjesz jak jakiś szczur w ścianach.

Yeti rozejrzał się.

– Nie nazwałbym siebie szczurem – powiedział.

– Jesteś szczęśliwy, żyjąc w ten sposób?

– Nie jestem szczęśliwy od śmierci żony. Zresztą to jej śmierć mnie na to wszystko naprowadziła. Zacząłem przeglądać statystyki zgonów i elementy układanki połączyły się w całość. Uświadomiłem sobie, że najbardziej logicznym rozwiązaniem jest to, że jesteśmy częścią serialu. Zdałem sobie sprawę, że jej śmierć miała na celu wyłącznie zbudowanie napięcia przed przerwą na reklamy. Że w serialu była tylko mało znaczącą postacią. Statystką. Na ekranie miała swoich dziesięć sekund. Nikt z widzów zapewne już o niej nie pamięta; ani tego, że miała na imię Margaret. Albo



że wolała białe wino od czerwonego. Albo że oświadczyłem się jej przed domem jej rodziców w trakcie rodzinnego zjazdu. Albo że byliśmy małżeństwem od siedmiu lat, zanim jakiś gnojek postanowił ją zabić. Tylko ja zachowałem ją w pamięci.

– Myślisz, że byłaby szczęśliwa, wiedząc, jak żyjesz?

– Myślę, że zrozumiałaby, dlaczego to robię – odparł Jenkins. – W ten sposób ratuję ludziom życie.

– Niektórym – zauważył Dahl. – To gra o sumie zerowej. Ktoś zawsze umrze. Dzięki twojemu systemowi wczesnego ostrzegania stare wygi są bezpieczniejsze, za to nowi ryzykują bardziej.

– Jest taka możliwość – zgodził się Jenkins.

– Jak długo służyliście na „Nieustraszonym”, zanim twoja żona zginęła?  
– zmienił temat Dahl.

Yeti otworzył usta, po czym je zamknął.

– Niedługo, prawda?

Jenkins skinął głową na potwierdzenie i odwrócił wzrok.

– Ludzie na tym statku wpadli na to, że coś tu jest nie tak już wcześniej – rzekł Dahl. – Nie doszli do tych samych wniosków co ty, lecz zorientowali się, że coś tu jest grane, i obliczyli swoje szanse przetrwania. Teraz ty dajesz im lepsze narzędzia, żeby wykorzystywali nowych członków załogi tak jak filmowcy wykorzystali twoją żonę.

– Myślę, że powinieneś już iść – powiedział Jenkins, wciąż nie patrząc Dahlowi w oczy.

– Posłuchaj mnie – odparł Andy z naciskiem. – Nie uciekniesz od tego. Nie ma opcji. Nie da się uniknąć przeznaczenia. Jeżeli Narracja istnieje, a ty i ja wiemy, że tak jest, to znaczy, że nie posiadamy wolnej woli. Prędzej czy później Narracja zgłosi się i po nas. Wykorzysta nas tak, jak będzie jej pasowało. I wtedy umrzemy. Tak jak Finn. Tak jak Margaret. Chyba że to powstrzymamy.

Jenkins spojrzał na Dahla oczami pełnymi łez.

– Jesteś człowiekiem wierzącym, prawda?

– Znasz moją przeszłość. Wiesz, że tak.

- I jak udaje ci się zachować wiarę?
- Co masz na myśli?
- To, że obaj wiemy, że w tym świecie Bogiem jest pisarczyk. Scenarzysta kiepskiego serialu fantastycznonaukowego. Jak możesz dalej wierzyć, wiedząc to?
- Bo nie sądzę, żeby on naprawdę był Bogiem – powiedział Dahl.
- A zatem jest nim producent serialu – podsumował Jenkins. – Albo prezes stacji telewizyjnej, która serial nadaje.
- Myślę, że nasze definicje tego, kim jest Bóg, różnią się – odparł Andy.
- Nie uważam, żeby to wszystko było dziełem Boga bogów. Jeżeli to jest serial telewizyjny, jego autorami są ludzie. Cokolwiek i jakkolwiek nam robią, są tacy sami jak my. A to oznacza, że możemy ich powstrzymać. Musimy tylko wymyślić jak. Ty musisz wymyślić, Jenkins.
- Dlaczego ja?
- Bo znasz ten gówniany serial lepiej niż ktokolwiek inny. Jeżeli istnieje jakieś wyjście, jakaś luka, tylko ty możesz je znaleźć. I to jak najprędzej. Bo nie chcę, żeby jakiś chałturzący scenarzysta wykończył mi kolejnego przyjaciela. W tym ciebie.

\* \* \*

- Moglibyśmy wysadzić „Nieustraszonego” w powietrze – zasugerował Hester.
- To by nic nie dało – powiedział Jimmy Hanson.
- Oczywiście, że tak – nie ustępował Hester. – Bum! „Nieustraszony” wylatuje w powietrze i koniec przedstawienia.
- Serial nie jest o „Nieustraszonym” – zauważył Hanson. – Jest o służących na nim ludziach. O kapitanie Abernathym i jego załodze.
- W każdym razie o części z nich – wtrąciła Duvall.
- O pięciu pierwszoplanowych bohaterach – poprawił się Jimmy. – Jeżeli wysadzisz statek w powietrze, dostaną nowy. Lepszy. Nazwą go „Nieustraszony 2” albo coś w tym guście. To już się zdarzało w innych filmach.

- Sprawdziłeś? – zapytał prześmiewczo Hester.
- Tak, sprawdzałem – odparł Hanson poważnie. – Po tym, co się stało z Finnem, poszedłem do biblioteki i sprawdziłem informacje na temat wszelkich możliwych seriali science fiction.
- I czego się dowiedziałeś? – zapytał Dahl. Zdążył już przekazać przyjacielom treść swojej rozmowy z Jenkinsem.
- Tego, że według mnie Yeti ma rację – rzekł Jimmy.
- Że gramy w serialu? – zapytała Maia.
- Nie, że to kiepski tasiemiec. Z tego, co zrozumiałem, jest w dużym stopniu zrzywką innego serialu, o którym opowiadał nam Jenkins.
- *Gwiezdne wojny* – powiedział Hester.
- Nie, *Star Trek*. *Gwiezdne wojny* to było co innego.
- Jak chcesz – rzekł Hester. – Więc serial jest nie tylko kiepski, ale na dodatek wtórny. Moje życie stało się jeszcze bardziej pozbawione znaczenia niż wcześniej.
- Po co ktoś miałby robić serial będący plagiatem innego serialu? – zapytała Duvall.
- *Star Trek* był bardzo popularny w swoim czasie – odparł Hanson. – Więc ktoś postanowił wykorzystać jego główne motywy. Zdziałało wtedy, może załapie i teraz. Znasz to powiedzenie: ludziom podobają się te piosenki, które już kiedyś słyszeli.
- Znalazłeś jakieś informacje o naszej produkcji? – zapytał Andy.
- Nie. I nie spodziewałem się, że znajdę. Gdy piszesz serial fantastycznonaukowy, tworzysz też fikcyjną oś czasu, która zaczyna się zaraz przed pierwszym dniem produkcji. Przeszłość serialu nie zawiera samego serialu.
- Bo byłoby to autotematyczne i metaliterackie – dodała Maia.
- Zgadza się, lecz nie sądzę, żeby poświęcili temu aż tyle uwagi – rzekł Hanson. – Chcieli po prostu, żeby serial był realistyczny, a to byłoby niemożliwe, gdyby w jego przeszłości istniała jego wcześniejsza wersja.
- Cholernie mi się nie podoba, że prowadzimy takie rozmowy – powiedział Hester.

- Chyba nikomu z nas się to nie podoba – potwierdził Dahl.
- No nie wiem. Mnie wydaje się interesujące – zaproponowała Duvall.
- Interesujące byłoby, gdybyśmy rozmawiali sobie w akademiku, popalając trawkę – zauważył Hester. – Po tym, jak zginął nasz przyjaciel, taka rozmowa wydaje mi się mało zabawna.
- Wciąż jesteś wściekły, że tak się stało – rzekł Jimmy.
- Oczywiście, że tak – warknął Hester. – A ty nie?
- Przypominam sobie, że gdy pierwszy raz was zobaczyłem, nie przepadaliście za sobą – zauważył Dahl.
- Nie powiedziałem, że zawsze go lubiłem – rzekł Hester. – Ale z czasem zaprzyjaźniliśmy się. Był jednym z nas. Wkurza mnie to, co się stało.
- A ja wciąż jestem na niego wściekła, że podał mi tę pigułkę – dodała Maia. – Mam też z tego powodu poczucie winy. Gdyby nie to, może by żył.
- Aha, ale wtedy trafiłoby pewnie na ciebie – zauważył Andy.
- Nie, jeżeli scenariusz tego nie przewidywał – stwierdziła.
- Finn był częścią tamtego odcinka – wyjaśnił Hanson. – Od początku miał tam być. Od początku miał się znaleźć w tamtym pomieszczeniu podczas wybuchu bomby.
- Właśnie o tym mówiłem: nienawidzę takich rozmów – rzucił Hester.
- Przepraszam – powiedziała Duvall.
- Jimmy, wspomniałeś, że gdy zaczyna się nowy serial, powstaje też nowa oś czasu. – Dahl zignorował Hestera, który podniósł ręce w bezradnym geście. – Czy wiemy, kiedy się to stało?
- Myślisz, że taka wiedza nam się przyda?
- Po prostu jestem ciekaw. Jesteśmy na osi czasu alternatywnej wobec rzeczywistości, czymkolwiek ta jest. Chciałbym wiedzieć, kiedy się od niej odłączyliśmy.
- Nie sądzę, żebyśmy mogli się tego dowiedzieć – powiedział Jimmy. – Nie da się stwierdzić, kiedy nastąpiło rozgałęzienie osi czasowych, bo z naszego punktu widzenia nigdy do niego nie doszło. Nie ma żadnej

alternatywnej osi czasowej, którą moglibyśmy porównać z naszą. Ta ostatnia jest jedyną, jaka jest nam dana.

– Moglibyśmy sprawdzić, kiedy w naszym wszechświecie zaczęły się dziać dziwne rzeczy – zasugerował Hester.

– Tylko jak zdefiniujesz „dziwne rzeczy”? – zapytała Duvall. – Czy to obejmuje podróże kosmiczne? Kontakt z pozaziemskimi istotami? Fizykę kwantową? Bo tego akurat ani w ząb nie rozumiem. Dla mnie fizyka kwantowa może być dziełem marnego scenarzysty.

– Najwcześniejszy serial science fiction, o którym udało mi się znaleźć informacje, nazywał się *Captain Video* i powstał w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym – powiedział Hanson. – *Star Trek* był o dwadzieścia lat późniejszy. Więc nasz serial powstał zapewne pomiędzy końcem lat sześćdziesiątych XX wieku i schyłkiem epoki telewizyjnej w roku dwa tysiące sto piątym.

– To kawał czasu – zauważył Andy.

– Zakładając, że *Star Trek* istniał naprawdę – podsumował Hester – jest wiele programów rozrywkowych, które są faktem wyłącznie z naszej perspektywy czasowej. Oś, na której istniejemy, może sięgać czasów sprzed stworzenia *Star Treka*. Być może ten ostatni figuruje na niej tylko po to, żeby nas wkurzać.

– To już jest naprawdę autotematyczne i metaliterackie – powiedziała Duvall.

– Zapewne masz rację – zgodził się Hester. – Ustaliliśmy już, że ten, kto nas pisze, jest dupkiem. A to jest dokładnie tego rodzaju sztuczka, po jaką sięgnąłby dupny scenarzysta.

– Kurde, trudno się z tobą nie zgodzić. – Maia uśmiechnęła się.

– Nasza oś czasu śmierdzi – rzekł kwaśno Hester.

– Andy, spójrz – powiedział Hanson i wskazał na wózek towarowy, który zmierzał w ich stronę.

W środku była wiadomość. Dahl ją przeczytał; wózek odjechał.

– Liścik od Jenkinsa? – zapytała Duvall.

– Tak – odparł.

– Co pisze?

– Że być może wymyślił coś, co mogłoby zadziałać. Chce się z nami zobaczyć. Ze wszystkimi.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

– Na wstępie muszę was uprzedzić, że to, co powiem, nie zabrzmii sensownie – zaczął Jenkins.

– Doprawdy? Nigdy bym nie przypuszczał. – Hester mrugnął okiem.

Jenkins skinął głową, jakby na potwierdzenie trafności komentarza, a następnie powiedział:

– Podróże w czasie.

– Podróże w czasie? – powtórzył Dahl.

Yeti ponownie skinął głową i wywołał holograficzny obraz osi czasu „Nieustraszonego” z kreskami wyznaczającymi poszczególne odcinki.

– Tutaj. – Powiększył fragment, gdzie od kresek było aż gęsto. – Mniej więcej w połowie czwartego sezonu naszego tasiemca Abernathy, Q’eeng i Hartnell wsiedli na prom kosmiczny i skierowali go na czarną dziurę, żeby, wykorzystując jej właściwości zakrzywiania czasoprzestrzeni, cofnąć się w czasie.

– To w ogóle nie ma sensu – zauważył Andy.

– Oczywiście, że nie – zgodził się Jenkins. – Przecież Narracja nic sobie nie robi z praw fizyki! Jednak nie chodzi o to, że oni pogwałcili je w bezsensowny sposób. Tylko o to, że cofnęli się w czasie. I to do konkretnego punktu. Do konkretnego roku. Cofnęli się do roku dwa tysiące dziesiątego.

– Więc? – zapytał Hester.

– Myślę, że cofnęli się do tego roku, bo to był rok produkcji serialu.

– W serialach fantastycznonaukowych ludzie nieustannie podróżują w czasie – zauważył Hanson. – Spotykają sławne postaci albo biorą udział w ważnych wydarzeniach.

– No właśnie! – zawołał z podnieceniem Jenkins, celując w niego palcem. – Jeżeli serial cofa się do określonego momentu w przeszłości, to prawdopodobnie będzie to powiązane z jakimś realnym wydarzeniem

historycznym, żeby widz wiedział, o jaki moment chodzi. Lecz jeżeli serial cofa się do swojej terażniejszości, to czegoś takiego nie będzie. Pokażą tylko dany moment i reakcję postaci. To dramatyczna ironia.

– A więc jeżeli po cofnięciu się w przeszłość postaci spotykają kogoś sławnego, to faktycznie jest to przeszłość, a jeżeli nie, to jest to terażniejszość – podsumowała Duvall. – Ich terażniejszość.

– Mniej więcej – potwierdził Jenkins.

– Doceniam ciekawostki na temat sztuki tworzenia seriali telewizyjnych – zawołała Maia – tylko co to ma wspólnego z nami?!

– Jeżeli cofniemy się do serialowej terażniejszości, być może znajdziemy sposób, żeby powstrzymać Narrację – rzekł cicho Dahl.

Yeti uśmiechnął się i lekko uszczypnął w nos.

Duvall spojrzała na nich, nie rozumiejąc.

– Wytłumacz mi to, Andy, bo w tej chwili mam wrażenie, że ty i Jenkins po prostu złapaliście tę samą chorobę psychiczną.

– Nie, to ma sens – odparł. – Wiemy, kiedy terażniejszość istnieje tylko na potrzeby produkcji. Wiemy, jak cofnąć się w czasie do terażniejszości serialu jako takiego. Jeżeli wrócimy do tej terażniejszości, to być może zdołamy powstrzymać ludzi, którzy za tym wszystkim stoją.

– Czy jeżeli ich powstrzymamy, sami nie znikniemy? – zauważył Hester.

– Nie – odparł Dahl. – Gdy Narracja nas nie potrzebuje, my istniejemy nadal. A obecna oś czasu istniała, zanim Narracja zaczęła w nią ingerować.

– Urwał i spojrzał na Jenkinsa. – Mam rację?

– Być może.

– Być może? – powtórzył Hester, jeszcze mocniej zaniepokojony.

– W gruncie rzeczy jest to całkiem interesujący spór filozoficzny: czy nasza oś czasu istnieje niezależnie, a Narracja ma jedynie do niej dostęp, czy też stworzenie Narracji doprowadziło do stworzenia naszej osi czasu, a historia pojawiła się w tym samym momencie, nawet jeżeli nam, patrzącym niejako od wewnątrz, wydaje się, że nastąpił rzeczywisty upływ czasu – wytłumaczył Yeti. – Z zasady antropicznej wynika niezbicie...

– Jenkins – przerwał mu Dahl.



– Oczywiście, możemy porozmawiać o tym kiedy indziej. – Yeti wychwycił aluzję. – W każdym razie problem jest taki, że bez względu na to, czy nasza oś czasu istniała przed Narracją, czy też została przez nią stworzona, teraz istnieje i trwa nawet wtedy, kiedy Narracja na nią nie wpływa.

– Aha – rzekł Hester.

– Prawdopodobnie – powiedział Jenkins.

– Naprawdę mam ochotę czymś w niego rzucić – rzekł Hester do Duvall.

– Skłaniam się ku koncepcji, że istniejemy i będziemy dalej istnieć, nawet gdy serial się zakończy – dodał Yeti. – W przeciwnym razie wszyscy jesteśmy zgubieni. Chwytnie...?

Nikt nie zaprotestował.

– Wracając do tego, co mówiłem wcześniej, jeżeli cofniemy się w czasie i zatrzymamy serial, to „Nieustraszony” przestanie być ośrodkiem zainteresowania Narracji. – Dahl przejął pałeczkę. – Stanie się zwykłym statkiem kosmicznym. A my nie będziemy już statystami we własnym życiu.

– I nie umrzemy – powiedziała Maia.

– Każdy kiedyś umiera – odparł Jenkins.

– No co ty powiesz! – rzuciła Duvall z irytacją. – Chodzi mi o to, że nie umrzemy, żeby widzowie mieli frajdę.

– Zapewne masz rację – zgodził się Yeti.

– Jeżeli naprawdę jesteśmy częścią serialu telewizyjnego, zatrzymanie go nie będzie łatwe – ocenił Hanson i spojrzał na Dahla. – Andy, popularna produkcja telewizyjna mogła być sporo warta, tak jak dobry dramat dzisiaj. Nie chodzi tylko o sam serial, ale o wszystko, co jest z nim związane, w tym o promocję.

– Twój chłopak ma śliczną figurkę – zwrócił się Hester do Duvall.

– Tak, za to ty nie masz żadnej! – odpaliła. – Wiesz, co to może oznaczać...

– Chodziło mi o to – przerwał im Jimmy – że nawet jeżeli cofniemy się w czasie i znajdziemy ludzi odpowiedzialnych za serial, wcale nie musi się

nam udać go zatrzymać. W grę mogą wchodzić zbyt duże pieniądze.

– A mamy jakiś wybór? – zapytał Dahl. – Jeżeli nic nie zrobimy, pozostanie nam tylko czekać, aż Narracja nas wykończy. Być może nasze szanse są niewielkie, ale lepsze to niż perspektywa pewnej śmierci z powodów fabularnych.

– Hej, a właściwie po co mamy zatrzymywać serial? – chciał wiedzieć Hester. – Jeżeli naprawdę jesteśmy tylko statystami, nikomu na nas nie zależy. Możemy cofnąć się w czasie i zostać tam.

– Naprawdę chcesz żyć na początku dwudziestego pierwszego wieku? – zapytała Maia. – To nie była najprzyjemniejsza epoka. Nie potrafili jeszcze leczyć raka.

– Bez przesady! – zawołał Hester.

– Ani łysienia.

– To moje prawdziwe włosy.

– Nie można zostać w przeszłości – powiedział Jenkins. – Jeżeli to zrobisz, zwyczajnie znikniesz.

– Co takiego? – zdziwił się Hester.

– Wynika to z zasady zachowania masy i energii – wyjaśnił Yeti. – Atomy, z których jesteś teraz zbudowany, zostaną użyte w przeszłości. Jeżeli stamtąd nie wrócisz, znajdą się one w dwóch miejscach naraz. Co zaburzy równowagę i atomy będą się musiały zdecydować, gdzie są. W końcu wybiorą tamtą teraźniejszość, bo z technicznego punktu widzenia będziesz w niej kimś z przyszłości, a więc kimś, kto jeszcze nie istnieje.

– Co to znaczy „w końcu”? – zapytał Dahl.

– Około sześciu dni – odparł Jenkins.

– To kompletny idiotyzm! – zawołał Hester.

– Nie ja ustalam reguły – odrzekł Jenkins. – Tak to wyglądało ostatnim razem. W każdym razie ma to sens w ramach Narracji, ponieważ Abernathy, Q'eeng i Hartnell musieli wykonać zadanie w ściśle określonym czasie, powstał odpowiedni efekt dramatyczny.

– Nasza oś czasu śmierdzi – mruknął Hester.

– Gdybyś wybrał się w przyszłość, twoje atomy miałyby ten sam problem – ciągnął Jenkins. – W tym przypadku wybrałyby teraźniejszość, co oznacza, że zniknęłoby ciało z przeszłości. Przyznaję, że jest to całkiem ciekawe zagadnienie. Lecz na tym nie kończy się lista piętrzących się przed wami trudności.

– Co jeszcze musimy wziąć pod uwagę? – zapytał Dahl.

– Cóż, będziecie musieli zdobyć prom, a to nie bułka z masłem – rzekł Jenkins. – Nikt wam go nie pożyczy dlatego, że chcecie się przelecieć. A i tak nie w tym jest największy szkopuł.

– Powiesz nam wreszcie? – zniecierpliwiła się Duvall.

– Chodzi o to, że będziecie musieli wziąć ze sobą jedną z pięciu gwiazd serialu – wyjaśnił Jenkins. – Wybierajcie: Abernathy, Q'eeng, West, Hartnell albo Kerensky.

– Po co mamy brać któregoś z nich? – nie zrozumiał Hester.

– Sami to powiedzieliście: jesteście statystami. Wiecie, co się stanie, jeżeli spróbujecie spaść promem w czarną dziurę? Siły grawitacyjne rozerwą go na kawałki, a wy zamienicie się w strumień atomów i zostanieie wessani niczym spaghetti. Oczywiście na długo przed tym będziecie martwi. Tak to się dla was skończy. Jasne?

– Ale unikniemy tego, jeżeli będzie z nami któryś z głównych bohaterów serialu? – upewnił się Andy.

– Tak, bo oni są Narracji potrzebni przez cały czas – powiedział Jenkins. – Z nimi na pokładzie, gdy skierujecie prom na czarną dziurę, przejdziecie na fizykę Narracji.

– A wiemy na pewno, że główni bohaterowie nie umierają nigdy – zauważył Hester.

– Skąd, oni też mogą umrzeć – odrzekł Jenkins, a Hester mało nie zabił go wzrokiem. – Lecz nie w ten sposób. Gdy któraś z głównych postaci ma stracić życie, autorzy serialu zrobią z tego wielkie halo, żeby w pełni wykorzystać potencjał fabularny. Jeżeli spojrzeć na to z szerszej perspektywy, wydaje się mało prawdopodobne, żeby Narracja miała pozwolić któremuś z nich zginąć w trakcie misji mającej na celu cofnięcie się w czasie i zatrzymanie serialu, w którym grają.

– Miło, że na tym etapie przynajmniej jedna rzecz jest mało prawdopodobna – zauważył Hester.

– Może podsumuję – rzekł Dahl. – Musimy porwać jednego z wyższych oficerów, ukraść prom kosmiczny, podlecieć niebezpiecznie blisko czarnej dziury, cofnąć się w czasie, odnaleźć gości kręcących nasz serial, zmusić ich, żeby przestali go robić, a następnie wrócić do naszego czasu, zanim nasze własne atomy porzucą nas i zamienimy się w nicość.

– Tak to mniej więcej wygląda – potwierdził Jenkins.

– Odrobinę szalone – zauważył Andy.

– Mówiłem wam od początku.

– I nie zawiodłeś nas.

– Więc co teraz? – zapytała Maia.

– Myślę, że musimy działać krok po kroku – odparł Dahl. – Pierwsze pytanie brzmi: jak zdobędziemy prom?

W tym momencie zadzwonił jego telefon. Główny oficer naukowy Q'eeng wzywał go na naradę do mesy oficerskiej.

\* \* \*

– Wojna religijna na Forshanie rozgorzała na nowo – powiedział Q'eeng, a siedzący obok niego kapitan Abernathy pokiwał głową. – Unia próbuje wynegocjować zawieszenie broni, jednak brakuje nam tłumaczy. Nasi dyplomaci mają oczywiście translatory elektroniczne, ale one tłumaczą tylko pierwszy dialekt i słabo radzą sobie z idiomami. Rzykujemy, że mimowolnie obrazimy którąś ze stron w najgorszym możliwym momencie.

– Q'eeng mówi, że zna pan wszystkie cztery dialekty – rzekł Abernathy.

– Zgadza się, sir.

– Zatem nie ma chwili do stracenia. Musicie niezwłocznie udać się na Forshan i wesprzeć naszych dyplomatów w roli tłumacza.

– Tak jest, sir – powiedział Dahl i poczuł zimny dreszcz. Stało się – pomyślał. – Narracja w końcu po mnie przyszła. Akurat wtedy, gdy wymyśliliśmy, jak ją pokonać. – Kiedy „Nieustraszone” dotrze na Forshan, sir?

– W ogóle – odparł Q'eeng. – Mamy do wykonania niecierpiące zwłoki zadanie w systemie Ames. Poleci pan sam.

– Czym?

– Promem.

Andy wybuchnął śmiechem.

– Poruczniku Dahl, wszystko w porządku? – zaniepokoił się Q'eeng.

– Przepraszam, sir. Głupio mi było, że zadałem tak oczywiste pytanie. Kiedy wylatuję?

– Gdy tylko wyznaczymy panu pilota – rzucił Abernathy.

– Za pozwoleniem, sir – rzekł Dahl – ale wolałbym sam go wybrać. Chyba byłoby najlepiej, gdybym mógł osobiście ustalić skład całego zespołu.

Abernathy i Q'eeng zafrasowali się.

– Nie jestem pewien, czy w ogóle potrzebuje pan zespołu na tej misji – oznajmił Q'eeng.

– Z całym szacunkiem, sir – odparł Dahl. – Potrzebuję. Jak pan słusznie zauważył, to misja wysokiego ryzyka. Jestem jednym z niewielu ludzi znających wszystkie cztery dialekty forshańskie, więc przypuszczam, że czeka mnie praca od świtu do nocy. Będę potrzebował kurierów oraz łączników. A gdybym musiał przemieszczać się po samej planecie, żeby osobiście kontaktować się z poszczególnymi delegacjami, będzie mi stale potrzebny prom z pilotem.

– O jak dużym zespole pan myśli? – zapytał Q'eeng.

Dahl zawahał się; uniósł wzrok, jakby się zastanawiał.

– Pilot i dwójka pomocników powinna wystarczyć.

Q'eeng spojrzał na kapitana, który skinął głową.

– W porządku – wyraził zgodę. – Lecz możecie wybierać tylko z podoficerów.

– Tak zamierzałem – odparł Andy. – Chociaż zastanawiam się, czy nie przydałby nam się też któryś z wyższych oficerów.

– Na przykład?

– Myślałem o poruczniku Kerenskym.

– Nie widzę, w czym na takiej misji miałby wam się przydać astronom, poruczniku – rzekł Q'eeng. – Na misję dobieramy ludzi, biorąc pod uwagę ich kwalifikacje.

Dahl znów się zastanowił, po czym zwrócił się do Q'eenga:

– Więc może pan, sir? Język forshański nie jest panu obcy.

– Wiem, o co w tym chodzi – wtrącił się Abernathy.

Andy aż zamrugał.

– Sir?

– Wiem, o co w tym chodzi – powtórzył kapitan. – Był pan ze mną na „Nantes”, Dill.

– Dahl, sir.

– Dahl. Był pan tam, gdy tamten szaleniec próbował mnie zamordować i zginął pana przyjaciel. Na własnej skórze przekonał się pan, jak niebezpieczna może być misja zwiadowcza. Teraz ma pan sam poprowadzić zwiad i boi się pan odpowiedzialności, że ktoś zginie pod pana komendą.

– Jestem całkiem pewny, że nie o to chodzi, sir – rzekł Dahl.

– A ja mówię, żeby się pan nie martwił – powiedział Abernathy z naciskiem. – Jest pan oficerem, Dill. Dahl. Przepraszam. Jest pan oficerem, szkolonym na dowódcę. Nie potrzebuje pan mnie, Q'eenga czy Kerensky'ego, żebyśmy mówili panu to, co i tak już pan wie. Po prostu proszę wykonać zadanie. Wierzę w pana, do diaska.

– Dziękuję za zaufanie, sir – odparł Dahl po chwili.

– Myślę, że przed panem jest przyszłość, poruczniku – rzekł Abernathy.  
– Nie zdziwiłoby mnie, gdyby któregoś dnia został pan członkiem mojego sztabu.

– Chciałbym tego dożyć – odpowiedział Dahl.

– Więc załatwione. – Abernathy zamknął temat. – Proszę zebrać zespół i wyjaśnić załodze, na czym polega wasze zadanie. Bądźcie gotowi do wylotu w ciągu czterech godzin. Dacie radę?

– Tak jest, sir – potwierdził Andy. – Dziękuję, sir. – Wstał i zasalutował.

Abernathy oddał salut. Dahl skinął jeszcze głową Q'eengowi i nie zwlekając, wyszedł, po czym zawołał Hestera, który czekał pod mesą.

– Co się stało? – zapytał Hester.

– Nasz plan uległ właśnie znacznemu przyśpieszeniu – powiedział Dahl.

– Słuchaj, masz jeszcze zabawki Finna?

– Czy mówisz o tych zabawkach, o których myślę?

– Tak.

– Hm... mam – odparł Hester. – Jakoś niezręcznie było mi się ich pozbyć.

– Znajdź małą niebieską pigułkę – polecił Andy. – A potem spotkajmy się w kajucie Mai. Tak szybko, jak to możliwe.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Trzy i pół godziny później Dahl zapukał do drzwi kajuty porucznika Kerensky'ego. Byli z nim Hester i Hanson, wyposażeni w skrzynię transportową i wózek towarowy. Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Maia Duvall.

– Na miłość boską, wchodźcie szybciej – ponagliła ich.

Andy zajrzał do środka.

– Wszyscy się tu nie zmieścimy.

– Okej, wchodź sam – powiedziała Maia. – I weź skrzynię. – Spojrzała na Hestera i Hansona. – A wy dwaj próbujcie wyglądać jak ktoś, kto nie robi czegoś bardzo nielegalnego.

– Aha – odparł Hester.

Dahl wepchnął skrzynię do kajuty, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Na podłodze leżał porucznik Kerensky, nieprzytomny i bez spodni.

– Nie mogłaś go ubrać? – zapytał.

– Gdy ty będziesz chciał zamrozić osobę, z którą sypiasz, wybierzesz swój sposób – odparła. – Chciałabym też zauważyć, że w tym momencie zdecydowanie dotarliśmy do punktu, w którym wiesz mi bzykanko.

– Nie uważasz, że w tych okolicznościach brzmi to dość dziwnie? – zauważył Dahl, wskazując na Kerensky'ego.

– Bardzo śmieszne.

– Od jak dawna jest nieprzytomny?

– Nie minęło pięć minut. To było niewiarygodne. Najpierw próbowałam nakłonić go, żeby się ze mną napił. Wrzuciłam pigułkę do jego szklanki, lecz on chciał od razu przejść do rzeczy. Mogłabym ci powiedzieć, co musiałam zrobić, żeby w końcu to wypił, ale boję się, że już nigdy byś nie zasnął.

– Spróbuję sobie wyobrazić, o czym mówisz, wieczorem. – Dahl się zaśmiał.



– Próbuje. W każdym razie facet odpłynął, a sądząc po tym, jak to błękitne maleństwo podziało na mnie, będzie nieprzytomny co najmniej przez kilka godzin.

– Super. Bierzmy się do roboty.

Duvall skinęła głową, zdjęła pościel z koi Kerensky'ego i wysłała ją wewnątrz skrzyni.

– Nie udusi się? – zapytała.

– Skrzynia nie jest hermetyczna. Może tylko powinnaś go już ubrać.

– Jeszcze nie.

– Bo...? – zdziwił się Andy.

– Zamknij się i pomóż mi go tu wcisnąć.

Pięć minut później udało im się umieścić Kerensky'ego w skrzyni. Duvall schowała jego spodnie i górę od munduru do marynarskiego worka.

– Gdzie jego telefon? – zapytał Dahl, a Maia podała mu aparat leżący na biurku. Andy wystukał wiadomość. – Załatwione – powiedział. – Kerensky właśnie wysłał esemesa, że jest chory i nie będzie go na najbliższej wachcie. Minie co najmniej dwanaście godzin, zanim ktokolwiek zacznie go szukać.

– Biedny sukinsyn. – Maia spojrzała na skrzynię. – Mam poczucie winy. Facet jest głupkiem i egoistą, jednak w gruncie rzeczy nie jest zły. No i daje radę w łóżku.

– Tego akurat nie muszę wiedzieć.

– Świętoszek się znalazł.

– Później go przeprosisz. – Dahl otworzył drzwi, za którymi stał Hester.

– Myślałem już, że zaczęliście grać w kółko i krzyżyk – powiedział.

– Daj spokój – poprosiła Duvall. – Wrzućmy skrzynię na wózek.

Kilka minut później znaleźli się przed dokiem promowym.

– Przygotujcie prom – polecił Dahl Hesterowi, a potem zwrócił się do Hansona i Duvall: – Postarajcie się nie narobić hałasu przy załadunku.

– Proszę, proszę, cóż za autorytatywny ton – skomentowała Maia.

– Udawajmy przynajmniej przez chwilę, że wami dowodzę, co?

– A dokąd się wybierasz? – zapytał Hanson.

– Mam jeszcze pewną sprawę do załatwienia – odrzekł Dahl. – Dodatkowe zaopatrzenie.

Przyjaciel skinął głową i wjechał wózkiem do doku promowego; Duvall i Hester ruszyli za nim. Andy przeszedł korytarzem do najbliższego szybu towarowego i otworzył drzwi. W progu stał Jenkins.

– Można się ciebie przestraszyć – zauważył Dahl.

– Próbuję nie marnować twojego czasu – odparł Yeti i podał mu aktówkę. – Pozostałości z misji Abernathy’ego, Q’eenga i Hartnella. Telefony i pieniądze. Telefony będą działać w tamtych sieciach. Sieci będą powolne i prymitywne, więc uzbrojcie się w cierpliwość. Pieniądze są papierowe, z dwa tysiące dziesiątego roku.

– Nikt się nie pokapuje, że są fałszywe?

– Ostatnim razem się udało. – Jenkins się uśmiechnął.

– Ile tego jest?

– Około dziewięćdziesięciu trzech tysięcy dolarów.

– To dużo?

– Powinno wystarczyć na sześć dni.

Dahl wziął aktówkę i odwrócił się.

– Jest jeszcze coś. – Yeti wręczył mu niewielkie pudełko.

– Naprawdę chcesz, żebym to zrobił.

– Nie leczę z wami. Więc musisz zrobić to dla mnie.

– Mogę nie zdążyć.

– Wiem. Jeżeli zdążysz.

– To nie przetrwa – rzekł Dahl. – Wiesz, że nie.

– Nie musi – odparł Jenkins. – Byle w ogóle zadziałało.

– Okej.

– Dzięki. A teraz startujcie jak najprędzej. Sprytnie zrobiłeś, wysyłając tę wiadomość z telefonu Kerensky’ego, jednak lepiej nie kusić losu. I tak stąpacie po cienkim lodzie.

\* \* \*

– Nie możecie mi tego robić! – Z wnętrza skrzyni doszedł stłumiony głos Kerensky’ego. Jego właściciel obudził się pięć minut wcześniej, niż się spodziewali, przespawszy ponad dziesięć godzin. Hester droczył się z nim od tego czasu.

– Biorąc pod uwagę, że właśnie ci to robimy – powiedział – brzmi to dość śmiesznie.

– Wypuście mnie – zażądał Kerensky. – To rozkaz.

– Wciąż opowiadasz zabawne rzeczy – nie ustępował Hester. – I to z wnętrza skrzyni. Z której nie możesz się wydostać.

Kerensky umilkł na chwilę.

– Gdzie są moje spodnie? – zapytał po chwili błagalnym tonem.

Hester zerknął na Maię.

– Może ty mu odpowiesz? – spytał.

Duvall przewróciła oczami.

– Chce mi się łać! – wyjęczał Kerensky. – Zaraz się zsikam.

Maia westchnęła.

– Anatolij? To ja.

– Maia?! Też cię uwięzili? Nie bój się. Nie pozwolę tym bydlakom cię skrzywdzić. Słyszycie mnie, sukinsyny?!

Hester spojrzał na Dahla z niedowierzaniem, a ten wzruszył ramionami.

– Anatolij – powtórzyła Duvall z naciskiem. – Nikt mnie nie uwięził.

– Co takiego?! – zawołał Kerensky. – Och – powiedział po chwili.

– Och – zgodziła się Maia. – A teraz posłuchaj, otworzę tę skrzynię i wypuszczę cię, ale naprawdę zależy mi, żebyś nie wpadł w panikę ani nie zrobił nic głupiego. Możesz mi to obiecać?

– Tak – odparł Kerensky po chwili milczenia.

– Anatolij, wahanie w twoim głosie mówi mi, że jednak chcesz zrobić coś głupiego – powiedziała. – Dlatego na wszelki wypadek dwaj z moich

towarzyszy celują do ciebie z miotaczy. Wykręć jakiś numer, a bez wahania cię rozwałą. Rozumiesz?

– Tak – odparł nieco zrezygnowanym tonem.

– W porządku. – Podeszła do skrzyni.

– Miotacze...? – zapytał Dahl.

Nie mieli żadnych miotaczy. Tym razem to ona wzruszyła ramionami.

– Wiesz, że on kłamie – zauważył Hester.

– Dlatego mam jego spodnie – odparła Duvall i odsunęła rygle.

Kerensky wyskoczył ze skrzyni, przetoczył się po podłodze, podbiegł do drzwi, otworzył je szarpnięciem i wystrzelił na zewnątrz. Dahl, Duvall, Hester i Hanson przyglądali mu się z niewzruszonym spokojem.

– Co teraz? – zapytał Hester.

– Okno – zaproponował Andy.

Wstali i podeszli do okna, podnosząc żaluzje.

– To powinno być dobre – oznajmił Hester.

Pół minuty później pojawił się Kerensky: wybiegł na ulicę i zatrzymał się, kompletnie skonsternowany. Przejeżdżający samochód zatrąbił na niego. Kerensky cofnął się na chodnik.

– Anatolij, wracaj! – zawołała Maia przez okno. – Na miłość boską, nie masz na sobie spodni.

Kerensky odwrócił się w ich kierunku.

– Nie jesteśmy na statku – zauważył.

– Nie, jesteśmy w Best Western Media Center Inn and Suites – odparła Duvall. – W Burbank.

– Czy to planeta? – zawołał Kerensky. – W jakim układzie?

– Co za palant... – mruknął Hester. – Jesteś na Ziemi, głupku! – krzyknął do Kerensky'ego.

Kerensky rozejrzał się z niedowierzaniem.

– Czy nastąpiła apokalipsa?

Hester spojrzał na Duvall.

– Naprawdę bzykasz się z tym debilem?

– Daj spokój, facet miał ciężki dzień – odparła Maia i zwróciła się do Kerensky’ego. – Cofnęliśmy się w czasie, Anatolij. Jest rok dwa tysiące dwunasty. Tak to właśnie wygląda. A teraz wracaj do nas.

– Podawałeś mi narkotyki! – wrzasnął oskarżycielsko. – Porwałeś mnie!

– Wiem o tym i przykro mi. Spieszyłam się. Posłuchaj, musisz wrócić do środka. Jesteś goły! W dwa tysiące dwunastym roku wsadzą cię za to do ciupy jak nic! A wierz mi, to nie jest najlepsza epoka na siedzenie w pudle. Więc wracaj, dobrze? Jesteśmy w pokoju dwieście piętnaście. Idź schodami.

Kerensky rozejrzał się, zerknął na swoje gołe nogi, a potem wreszcie wbiegł do hotelu.

– Nie śpię z tym gościem w jednym pokoju – zaznaczył Hester. – Nawet mnie o to nie proście.

Minutę później rozległo się pukanie do drzwi. Hanson otworzył i Kerensky wpadł do środka.

– Po pierwsze, chcę moje spodnie – zażądał.

Dahl, Hanson i Hester spojrzeli na Duvall, która popatrzyła na nich, a jej wzrok mówił: „No co?”. Potem wyciągnęła spodnie z worka i rzuciła je Anatolijowi.

– Po drugie – powiedział, ubierając się – chcę wiedzieć, dlaczego tu jesteśmy.

– Bo po wylądowaniu ukryliśmy prom w Griffith Park, a to był najbliższy hotel – wyjaśnił Hester. – I dobrze, bo twoja dupa była ciężka do dźwigania – dodał.

– Nie o to mi chodzi – warknął Kerensky. – Chcę wiedzieć, dlaczego jesteśmy tutaj. Na Ziemi. W dwa tysiące dwunastym roku. W Burbank. Ktoś musi mi to natychmiast wyjaśnić.

Tym razem wszyscy spojrzeli na Dahla.

– Och – odpowiedział. – Cóż, to skomplikowane.

\* \* \*

– Anatolij, zjedz coś – powiedziała Duvall, przesuając w jego stronę talerz z resztką pizzy.

Siedzieli w pizzerii Numero Uno parę kroków od hotelu. Kerensky miał już na sobie spodnie.

– Nie chciałbym się pochorować – odparł, ledwie zerkając na talerz.

– Daj spokój – rzucił Hanson. – W dwudziestym pierwszym wieku też mieli przepisy dotyczące bezpieczeństwa żywności. W każdym razie w Stanach Zjednoczonych.

– Jednak spasuję.

– Niech głoduje. – Hester sięgnął po ostatni kawałek.

Kerensky uprzedził go błyskawicznym gestem.

– Mam – oznajmił Dahl i obrócił swój telefon, ten z roku dwa tysiące dwunastego, w ich stronę. – *Kroniki „Nieustraszonego”*. – Spojrzał ponownie na ekran. – Nadają to w piątek o dziewiątej wieczorem na podstawowym, jak tu piszą, kanale, zwanym Corwin Action Network. Serial leci od dwa tysiące siódmego roku, więc obecnie jest to szósty sezon.

– Co za bzdury – powiedział Kerensky znad pizzy.

Andy zerknął na niego, a potem kliknął link, żeby otworzyć inną stronę.

– Rolę porucznika Anatolija Kerensky’ego gra niejaki Marc Corey – powiedział i ponownie obrócił ekran, żeby pokazać Kerensky’emu podobiznę jego uśmiechniętego sobowtóra w stylowym blezerze i rozpiętej pod szyją koszuli. – Urodzony w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku w Chatsworth w Kalifornii. Ciekaw jestem, czy to gdzieś w okolicy.

Kerensky chwycił telefon i z ponurą miną przejrzał artykuł.

– To niczego nie dowodzi – stwierdził. – Nie wiemy, czy te informacje są precyzyjne. Z tego, co widzę, tę całą... – przewinął na górę, żeby sprawdzić nazwę strony – ... tę całą Wikipedię pisze banda idiotów. – Oddał telefon Dahlowi.

– Moglibyśmy spróbować namierzyć tego Coreya – zasugerował Hanson.

– Najpierw chciałbym znaleźć kogoś innego – odparł Andy i ponownie kliknął link do serialu. – Jeżeli ten Marc Corey jest postacią pierwszoplanową, to uzyskanie do niego dostępu może być trudne. Myślę, że powinniśmy zacząć trochę niżej.

– Co masz na myśli? – chciała wiedzieć Duvall.

– Uważam, że powinniśmy zacząć ode mnie. – Dahl raz jeszcze obrócił telefon. Na ekranie widniało zdjęcie twarzy, która do złudzenia przypominała jego własną. – Poznajcie Briana Abnetta.

Jego towarzysze przyjrzeni się fotografii.

– Cokolwiek niepokojące, nie uważacie? – zapytał Hanson po dłuższej chwili. – Patrząc na podobiznę kogoś, kto wygląda zupełnie jak ty, a nie jest tobą...

– No, nie da się ukryć – potwierdził Andy. – Oczywiście każde z was ma kogoś takiego.

W tym momencie pozostali zaczęli włączać swoje komórki.

– Co mówi o nim Wikipedia? – zapytał szyderczo Kerensky, który nie miał telefonu.

– Nic – odparł Dahl. – Najwyraźniej jest za mało znany. Kliknąłem za to link zamieszczony na stronie serialu, prowadzący do bazy danych zwanej IMDb, gdzie podają informacje o występujących w nim aktorach. Tam ma swoją stronę.

– Jak się z nim skontaktujemy? – zapytała Maia.

– Na stronie nie podają takich informacji. Spróbuję wrzucić jego nazwisko do wyszukiwarki.

– Właśnie znalazłem siebie – oznajmił Hanson. – Jestem gościem o imieniu Chad.

– Znałem kiedyś pewnego Chada – wspomniał Hester. – Lubił mi dołożyć.

– Przykro mi – powiedział Jimmy.

– Przecież to nie byłeś ty. – Hester się zaśmiał. – Ani nawet ten drugi ty.

– Ma swoją stronę – odezwał się Dahl.

– Kto, Chad?

– Nie, Brian Abnett. – Andy przewinął w dół do zakładki „Kontakt”. Kliknął i pojawiły się dane adresowe. – Namierzyłem reprezentującą go agencję – wyjaśnił.

– Coś takiego, już wtedy aktorzy mieli agentów? – zdziwiła się Duvall.

– Chciałaś powiedzieć „już teraz” – poprawił ją Dahl i ponownie kliknął na link. – To parę kilometrów stąd. Możemy się przejść.

– A gdy dotrzemy na miejsce, to co? – zapytała Maia.

– Poproszę o jego adres.

– Dadzą ci?

– Oczywiście, że tak – rzekł Dahl. – Przecież jestem nim.



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

– Dobra, widzę go – powiedziała Duvall, wskazując na postać w głębi Camarillo Street. – To ten na rowerze.

– Jesteś pewna? – zapytał Dahl.

– Zaufaj mi, wiem, jak wyglądasz, nawet w kasku rowerowym na głowie – odparła.

– Pamiętaj, postaraj się go nie wystraszyć. – Andy miał na głowie czapkę bejsbolową, którą kupił po drodze, a w ręce trzymał świeży egzemplarz „Los Angeles Times”. Stali we dwoje przed nowoczesnym budynkiem, w którym mieszkał Brian Abnett.

– Mówisz, żebym go nie wystraszyła, ale to ty jesteś jego sobowtórem.

– Nie chcę, żeby się zestresował, jeszcze zanim mnie zobaczy.

– Nie martw się, potrafię rozmawiać z facetami. A teraz stań tam i spróbuj nie wyglądać tak...

– Jak?

– Tak sobowtórowato. Przynajmniej przez następne parę minut.

Dahl wyszczerzył zęby, odsunął się i zasłonił twarz gazetą.

– Cześć – usłyszał głos Mai minutę później. Wyrzał ostrożnie zza gazety i zobaczył, jak ona podchodzi do Abnetta, który zsiadł właśnie z roweru i zdjął kask.

– Cześć – odpowiedział Brian, przyglądając się jej. – Czekał, nie mów mi – rzekł z uśmiechem. – Pracowaliśmy razem.

– Być może. – Uśmiechnęła się kokieteryjnie.

– Niedawno.

– Być może.

– Reklama maści na hemoroidy? – strzelił.

– Nie – odparła stanowczo.

– Czeka! – zawołał, celując w nią palcem. – *Kroniki „Nieustraszonego”*! Parę miesięcy temu. Graliśmy w tej scenie, gdzie gonią nas roboty-zabójcy. Powiedz, że mam rację.

– Jest to bardzo bliskie temu, co pamiętam – potwierdziła.

– Dziękuję ci. Nie znoszę zapominać twarzy ludzi, z którymi pracowałem. Wciąż grasz w tym serialu, prawda? Wydaje mi się, że widziałem cię na planie.

– Można tak powiedzieć – odrzekła. – A ty?

– Też mam niewielką rolę – przyznał Abnett. – Zaledwie parę dni zdjęciowych w całym sezonie i oczywiście moja postać ginie za kilka odcinków, jednak na razie jest miło. – Wskazał na budynek. – No i do końca roku mogę tu mieszkać.

– A więc twoja postać ginie? Jesteś pewien?

– Tak powiedziała mi agentka. Mówi, że scenariusz jeszcze się pisze, ale sprawa jest już praktycznie postanowiona. To zresztą dobrze, bo chce mi załatwić parę ról w filmie, a praca w serialu by z tym kolidowała.

– Z drugiej strony szkoda postaci.

– No cóż, tak to wygląda w tasiemcach fantastycznonaukowych. Ktoś musi być czerwoną koszulą.

– Kim? – nie zrozumiała Duvall.

– Czerwoną koszulą – powtórzył. – No wiesz, w oryginalnym *Star Treku*, w każdym odcinku pojawiali się Kirk, Bones i Spock, a oprócz nich jakiś biedak w czerwonej koszuli, który wyparowywał przed pierwszą przerwą na reklamy. Morał: nie noś czerwonej koszuli. I nie lataj na żadne misje zwiadowcze, jeżeli twojego nazwiska nie ma w napisach początkowych.

– Aha – przytaknęła.

– Nie oglądałaś nigdy *Star Treka*? – Uśmiechnął się.

– To było dla mnie trochę za wcześnie – przyznała.

– A więc co cię sprowadza w tę okolicę, panno...?

– Maia Duvall – przedstawiła się.

– Maia – powtórzył. – Nie chodzi przypadkiem o to mieszkanie na sprzedaż, co? Chyba nie powinienem tego mówić, ale lepiej zrobisz, szukając gdzie indziej. Ostatni lokator (jestem tego prawie pewny) produkował metadon w łazience. To cud, że cały budynek nie wyleciał w powietrze.

– Och, nie przyjechałam na długo – powiedziała Duvall. – Właściwie to z twojego powodu.

– Doprawdy? – zaniepokoił się Abnett, choć też wyraźnie pochlebiało mu, że nieznamna kobieta (która równie dobrze mogła być fanką wariatką) zna jego adres.

Maia trafnie odczytała uczucia malujące się na jego twarzy.

– Nie, nie zamierzam cię prześladować, jeżeli o tym myślisz – zapewniła go.

– Uff, to miło.

Wskazała na Dahla, wciąż na poły zasłoniętego płachtą gazety.

– Tak naprawdę mój przyjaciel jest twoim wielkim fanem i chciałby cię poznać. Jeżeli to nie problem. Byłby przeschęśliwy.

– Aha, jasne. – Brian znów spoglądał na Duvall. – Jak się nazywa?

– Andy Dahl.

– Naprawdę? Dziwne. Tak samo nazywa się postać, którą gram w *Kronikach „Nieustraszonego”*.

– Właśnie dlatego chce cię poznać.

– I nie jest to nasza jedyna wspólna cecha – dodał Dahl, podchodząc bliżej. Zdjął czapkę i odrzucił gazetę. – Cześć, Brian. Jestem tobą. W wersji czerwonoszulowej.

\* \* \*

– Wciąż tego nie ogarniam – powiedział Abnett. Siedzieli całą grupą w pokoju w hotelu Best Western. – Naprawdę mam z tym problem – podkreślił.

– Ty masz z tym problem? – powtórzył Hester. – Pomyśl o nas. Ty przynajmniej nie jesteś fikcyjny.

- Wiecie, jak to brzmi?
- Uhm, od jakiegoś czasu musimy z tym żyć – przyznał Dahl.
- Więc rozumiecie, jak trudno mi w to uwierzyć.
- Jeżeli chcesz, możemy powtórzyć test piegowy – przypomniał mu moment, gdy porównywali swoje piegi, pieprzyki i znamiona, żeby Abnett mógł się przekonać, że są identyczni.
- Nie, po prostu muszę to przetrwać – odrzekł.
- Hester spojrział na Andy’ego, potem na Abnetta, potem znowu na Andy’ego. „Co za dziwak” – mówił jego wzrok. Dahl wzruszył ramionami. Aktorzy to aktorzy.
- Wiecie, co mnie najbardziej przekonuje, że nie kłamiecie?
- Fakt, że siedzisz w jednym pokoju z wierną kopią samego siebie? – zapytał Hester.
- Nie... tak... To też. Jednak przekonuje mnie on. – Wskazał na Kerensky’ego.
- Ja? – zapytał Kerensky. – Dlaczego ja?
- Bo prawdziwy Marc Corey nigdy nie dałby się przyłapać w Best Western na próbie splątania figla statyście, którego nazwiska nawet nie pamięta – wyjaśnił Abnett. – Bez urazy, ale twój alter ego to straszny dupek.
- Ten tutaj też – rzucił Hester.
- Ej! – zaprotestował Kerensky.
- Siedzieć twarzą w twarz z własnym sobowtórem to rzecz trudna do przełknięcia – rzekł Abnett i ponownie wskazał na Kerensky’ego. – Lecz z sobowtórem Coreya? To już odrobinę łatwiejsze.
- A zatem wierzysz nam? – chciała się upewnić Duvall.
- Nie wiem, czy wam wierzę. Wiem, że jest to bez wątpienia najbardziej dziwaczna historia, jaka mi się w życiu przydarzyła, i chcę poznać jej dalszy ciąg.
- A więc pomożesz nam – stwierdził, bardziej niż zapytał, Andy.

– Chcę wam pomóc, tylko nie wiem, czy potrafię – odparł Brian. – Posłuchajcie, jestem zwykłym statystą, postacią trzecioplanową. Wpuszczają mnie na plan, gdy kręcimy, ale jestem za cienki, żeby kogokolwiek ze sobą przyprowadzić. Raz na jakiś czas podstawiam w scenie któregoś z głównych bohaterów, a poza tym każą nam nie zawracać im głowy. Nie rozmawiam też z reżyserem czy producentami. Nie mogę was umówić z żadnym z nich, nawet gdybym chciał. A nawet gdybym to zrobił, nie sądzę, żeby wam uwierzyli. To jest Hollywood. Tu się zmyśla dla pieniędzy. A historia, którą opowiadacie, jest kompletnie zwariowana. Jeżeli komukolwiek ją opowiem, wywalą mnie na zbity pysk.

– Być może dzięki temu unikniesz śmierci w którymś z następnych odcinków – zwrócił się Hanson do Dahla.

Abnett pokręcił głową.

– Nie, po prostu zaangażują kogoś podobnego do mnie, żeby dalej ciągnął rolę – powiedział. – Nie unikniesz w ten sposób śmierci. Chyba że zostaniesz tutaj.

Andy potrząsnął głową.

– Za pięć dni kończy nam się data ważności.

– Data ważności? – zdziwił się Brian.

– To skomplikowane – powiedział Dahl. – Fizyka atomowa.

– Pięć dni to nie za dużo – zauważył Abnett. – Zwłaszcza dla kogoś, kto chce wstrzymać serial telewizyjny.

– Powiedz nam coś, czego nie wiemy – prychnął Hester.

– Być może nie jesteś w stanie pomóc nam bezpośrednio – powiedziała Maia. – A może znasz kogoś, kto mógłby? Przecież jako statysta spotykasz ludzi postawionych wyżej w hierarchii.

– No właśnie mówię wam, że nie – odparł Abnett. – Nie znam nikogo z pracujących przy serialu, kto pomógłby wam trafić do kogoś wyżej. – Spojrzał na Kerensky'ego i nagle przekrzywił głowę. – Ale wiecie co? Być może znam kogoś spoza, kto mógłby wam pomóc.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – zaniepokoił się Kerensky.

– Czy to twoje jedyne ubranie? – zapytał Brian.

– Nie miałem okazji się spakować – odparł Kerensky. – A dlaczego? Coś jest nie tak z tym mundurem?

– Nic, jeżeli jesteś akurat na Comic-Conie, jednak w klubie, o którym myślę, nie przyda się na wiele.

– Jakim klubie? – zapytał Andy.

– Co to jest Comic-Con? – chciał wiedzieć Kerensky.

– Vine Club – odparł Abnett. – Jedno z tych sekretnych miejsc, do których zwykli śmiertelnicy nie mają wstępu. Ja nie mam tam wstępu. Ale Marc Corey tak, chociaż łapie się ledwo, ledwo.

– Czyli? – zapytał Dahl.

– Czyli że ma wstęp na parter, nie na piętro, i z pewnością nie do podziemi – wyjaśnił Brian. – Żeby wejść na piętro, musisz mieć własny program albo grać główną rolę w serialu. Do podziemi wpuszczają tych, którzy dostają dwadzieścia milionów za film i dodatkowo procent od zysków.

– Wciąż chcę wiedzieć, co to jest Comic-Con – powiedział Kerensky.

– Później, Anatolij – uciszył go Hester. – Jezu! – zwrócił się do Abnetta. – A więc? Wyślemy Kerensky’ego do tego klubu jako Marca Coreya? Po co?

Abnett pokręcił głową.

– Nie jako Coreya. Wyślemy go do klubu, żeby powtórzył z Coreym ten sam numer, który Andy zastosował na mnie. Wciągnął do rozmowy, zainteresował, być może nakłonił, żeby wam pomógł. Z tą różnicą, że jemu bym nie wspominał, że chcecie rozwalić serial, dla niego to oznacza utratę pracy. Być może uda się wam go przekonać, żeby skontaktował was z Charlesem Paulsonem, twórcą serialu i jego producentem wykonawczym. To z nim powinniście porozmawiać. To jego musicie przekonać.

– A więc pomożesz nam dostać się do tego klubu – podsumował Dahl.

– Ja nie – odparł Brian. – Jak mówiłem, ja się nie liczę. Mam przyjaciela, który jest tam barmanem, któremu zeszłego lata załatwiłem robotę przy pewnej reklamie. Dzięki temu komornik nie wyrzucił go z mieszkania. Wisi mi przysługę. On was wpuści. – Powiódł po nich

wzrokiem i wskazał na Kerensky'ego. – Cóż, jego w każdym razie. – Wycelował palcem w Duvall. – I może ją.

– Ratujesz przyjaciela przed wyrzuceniem na bruk, a on wpuszcza dwie osoby do klubu i jesteście kwita? – zapytał z niedowierzaniem Hester.

– Witajcie w Hollywood. – Abnett rozłożył ręce.

– Cóż, dobre i to – powiedział Dahl. – Dziękujemy ci, Brian.

– Cieszę się, że mogę pomóc – odparł. – W pewnym sensie przywiązałem się do ciebie. Gdy przekonałem się, że jesteś prawdziwy, i w ogóle...

– Miło mi to słyszeć.

– A mogę o coś zapytać?

– Jasne.

– Chodzi mi o przyszłość. Czy naprawdę jest taka jak w serialu?

– Naprawdę. Tylko nie wiemy, czy to jest prawdziwa przyszłość.

– Tymczasem to jest wasza przeszłość – powiedział Abnett. – My jesteśmy jej częścią. Mam na myśli rok dwa tysiące dwunasty.

– Rok dwa tysiące dwunasty istnieje w naszej przeszłości, ale nie ten rok dwa tysiące dwunasty – rzekł Dahl. – W naszej historii nie ma serialu telewizyjnego *Kroniki „Nieustraszonego”*. Nie istnieje na naszej osi czasu.

– Co oznacza, że ja w waszej przyszłości też mogę nie istnieć.

– To możliwe – potwierdził Dahl.

– A więc ty jesteś jedyną częścią mnie tam – zauważył Brian. – Jedyną częścią mnie, która tam kiedykolwiek istniała.

– Sądzę, że to możliwe. Tak jak ty jesteś jedyną częścią mnie, która kiedykolwiek istniała tutaj.

– Czy nie kręci ci się od tego w głowie? Od wiedzy, że jednocześnie istniejesz i nie istniejesz, jesteś i nie jesteś realny?

– Tak, ale ja akurat odbyłem studia przygotowujące mnie do rozważania głębokich pytań egzystencjalnych. I na tę chwilę radzę sobie z tym w następujący sposób: nieważne, czy naprawdę istnieję czy nie, czy jestem

realny czy fikcyjny. Chcę po prostu decydować o własnym losie. To jest kwestia, którą jestem w stanie rozważyć. I obecnie właśnie ją rozważam.

– Myślę, że możesz być ode mnie inteligentniejszy – rzekł Brian.

– Nie ma sprawy – odparł Dahl. – Ty za to lepiej wyglądasz.

Abnett uśmiechnął się.

– Niech będzie. A skoro o tym mowa, to czas przejść się na zakupy. W tych mundurach pewnie świetnie wyglądacie w przyszłości, niestety, tutaj ludzie będą wytykać was palcami jako dziwaków. Macie jakieś pieniądze?

– Mamy dziewięćdziesiąt trzy tysiące dolarów – odpowiedział Hanson. – Minus siedemdziesiąt osiem dolarów, które wydaliśmy na lunch.

– Powinno wystarczyć – rzekł Brian.



## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Nie podobają mi się te ciuchy – powiedział Kerensky.
- Wyglądasz naprawdę dobrze – zapewnił go Dahl.
- Wcale nie. Wyglądam, jakbym się ubierał po ciemku. Jak ludzie mogli to nosić?
- Przestań narzekać – włączyła się Duvall. – Przecież tam, skąd przybyliśmy, też czasem chodzisz po cywilnemu.
- Bielizna drapie. – Kerensky poprawił koszulę.
- Gdybym wiedziała, że taka z ciebie maruda, nigdy nie poszłabym z tobą do łóżka!
- A ja z tobą, gdybym wiedział, że podasz mi narkotyk, uwięzisz i przeniesiesz w czasie do cholernego średniowiecza, i to bez spodni – odparł.
- Dajcie spokój! – uciszył ich Andy, wskazując na taksówkarza, który uważnie przyglądał się w lusterku trójce dziwnie gadających postaci na tylnym siedzeniu. – I nie przesadzajcie z tymi komentarzami o średniowieczu.
- Taksówka skręciła z Sunset w Vine.
- Czy jesteśmy pewni, że ten cały Marc Corey wciąż tam jest? – dopytywał się Kerensky.
- Brian powiedział, że jego kumpel dał mu znać, gdy tylko facet się pojawił, i że zadzwoni, gdyby tamten miał wyjść – odparł Dahl. – Nie zadzwonił, więc możemy zakładać, że Corey wciąż jest w klubie.
- Jakoś trudno mi uwierzyć, że cały ten plan wypali – marudził Kerensky.
- Wypali na pewno. Spokojna głowa.
- Z twoim sobowtorem się udało, ale mój może być inny...
- Kochanie – odezwała się Maia – jeżeli jest choć trochę taki jak ty, będzie tobą zauroczony. Poczuj się jak przed lustrem, które może

przelecieć.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że twój narcyzm się przyda.

– Ty mnie wcale nie lubisz, prawda? – zauważył Kerensky po chwili milczenia.

Duvall uśmiechnęła się i poklepała go po policzku.

– Ależ lubię cię, Anatolij – powiedziała. – Naprawdę. A teraz skup się. Pomyśl o tym jak o kolejnej misji zwiadowczej.

– Na misjach zawsze przytrafia mi się coś złego.

– Być może. Ale też zawsze wychodzisz z nich cało.

– Vine Club – oznajmił taksówkarz, zatrzymując się.

Dahl zapłacił i wysiedli. Z klubu dobiegały dudniące dźwięki muzyki. Przed wejściem czekali w kolejce starannie wystylizowani młodzi ludzie.

– Chodźcie. – Dahl podszedł do bramkarza; Duvall i Kerensky ruszyli za nim.

– Kolejka jest tam. – Bramkarz wskazał im tłumek hipsterów.

– Jasne, ale polecono mi, żebym pogadał z tobą – powiedział Andy i wyciągnął na powitanie rękę z ukrytym banknotem studolarowym, zgodnie z instrukcją Abnetta. – Jesteś Mitch, prawda?

Bramkarz zerknął niemal niedostrzegalnie na dłoń Dahla, a potem uścisnął ją, zwinnie zabierając banknot.

– Zgadza się – odparł. – Co jest?

– Ci dwoje to przyjaciele Roberta – wymienił imię barmana, wskazując na Kerensky'ego i Duvall. – Spodziewa się ich.

Bramkarz spojrział na nich. Nawet jeżeli zauważył podobieństwo Kerensky'ego do Marca Coreya, zachował to dla siebie. Ponownie zwrócił wzrok na Dahla.

– Tylko parter – oświadczył. – Jeżeli spróbują wejść na piętro, wylatują. Jeżeli spróbują zejść do podziemi, wylatują bez zębów.

– Tylko parter. – Dahl skinął głową.

– I ty zostajesz – dodał bramkarz Mitch. – Bez urazy.

– Nie ma sprawy.

Bramkarz dał znak Kerensky’emu i Duvall i odsunął linkę zagrządzającą wejście; czekający w kolejce zaczęli głośno protestować.

– Pamiętasz wszystko? – zapytał Andy Maię, gdy ta przechodziła koło niego.

– Tak, zaufaj mi – odpowiedziała. – Czekaj na mój telefon.

– W porządku – rzekł Dahl, a Mitch zaczepił z powrotem linkę.

Kerensky i Duvall zniknęli w klubie.

– Hej, Mitch, może powiesz mi jeszcze – spytał Andy – gdzie normalny człowiek może tu dostać coś do picia?

Bramkarz uśmiechnął się i wskazał palcem.

– Tam jest irlandzki pub. Barman ma na imię Nick. Powiedz mu, że ja cię przysłałem.

– Dzięki – rzucił Dahl i ruszył w stronę pubu.

W środku było tłoczno i głośno. Andy podszedł do kontuaru i sięgnął do kieszeni po pieniądze.

– Hej, Brian, tak? – Usłyszał czyjś głos.

Podniósł wzrok i ujrzał, że barman przygląda mu się z uśmiechem na twarzy.

– Finn – przywitał się Dahl.

– Nick – poprawił go barman.

– Jasne, przepraszam. Zaćmienie umysłu.

– Przypadłość zawodowa – rzekł Nick. – Ludzie pamiętają imię postaci, lecz niekoniecznie twoje.

– No właśnie.

– Co u ciebie? Wszystko w porządku? Wyglądasz na odrobinę... oszołomionego.

– Nic mi nie jest. – Andy spróbował się uśmiechnąć. – Sorry, po prostu jestem trochę zdziwiony, że cię tu spotkałem.

– Cóż, takie życie aktora – odparł Nick. – Nie ma roboty w filmie, więc stoję za barem. Czego się napijesz?

– Wybierz dla mnie piwo.  
– Odważny jesteś. – Nick się zaśmiał.  
– Wierzę w ciebie.  
– Słynne ostatnie słowa. – Nick podszedł do nalewaka. Dahl obserwował go, próbując opanować zdenerwowanie. – Proszę bardzo – rzekł barman chwilę później, podając mu wysoką szklankę. – Dzieło lokalnego mikrobrowaru. Nazywa się Starlet Stout.

Dahl upił łyk.

– Niezłe.  
– Przekażę piwowarowi. Możesz go pamiętać. Graliśmy w tej scenie z robotami. On zginął.

– Porucznik Fischer.  
– Tak, to on. – Nick wskazał szklankę. – Naprawdę nazywa się Jake Klein. Teraz zajmuje się głównie mikrobrowarem, który okazał się sporym sukcesem. Być może wejdę z nim w spółkę.

– I rzucisz aktorstwo?  
– Wiesz – barman wzruszył ramionami – jakoś producenci nie walą drzwiami i oknami, żeby zaproponować mi rolę. Jestem tu od dziewięciu lat i ta robota przy *Nieustraszonym* to było najlepsze, na co jak dotąd udało mi się załapać. A wcale nie była taka fajna. Zginąłem, kiedy jednemu facetowi wybuchła głowa.

– Pamiętam – odparł Dahl.  
– To wtedy uznałem, że mam dość. – Zaczął przecierać szklanki, żeby było widać, że coś robi. – Nakręciliśmy dziesięć dubli tamtej sceny. Za każdym razem musiałem rzucać się na ziemię, jakby naprawdę nastąpił wybuch. Przy siódmym razie pomyślałem: Mam trzydzieści lat i tracę czas, udając, że umieram w serialu telewizyjnym, którego nie oglądałbym, gdybym w nim nie grał. Przychodzi taki moment, kiedy musisz zapytać samego siebie: „Po co?”. A po co ty to robisz? – zwrócił się do Andy’ego.

– Ja?

– Tak, ty.

– Bo przez długi czas nie wiedziałem, że w ogóle mam jakiś wybór – odparł Dahl.

– No właśnie – rzekł Nick. – A przecież masz. Wciąż tam grasz?

– Na razie.

– Twoją postać też w końcu udupią.

– Za kilka odcinków. Chyba że zdołam temu zapobiec.

– Nie rób tego – poradził barman. – Umrzyj, a potem zdecyduj, co zrobić z resztą swojego życia.

Dahl uśmiechnął się.

– Dla niektórych z nas to nie jest takie proste – rzekł, pociągając łyk.

– Kredyt mieszkaniowy, co?

– Coś w tym stylu.

– *C'est la vie* – powiedział Nick. – A więc co cię sprowadza w te strony? Myślałem, że mieszkasz w Toluca Lake.

– Znajomi chcieli odwiedzić Vine Club.

– Ciebie nie wpuścili? – domyślił się. Andy wzruszył ramionami. – Trzeba było od razu powiedzieć. Kumpel stoi na bramce.

– Mitch?

– Ten sam.

– To on mnie do ciebie przysłał – wyjaśnił Dahl.

– Och, sorry. – Nick się zaśmiał.

– Nie ma za co. Miło spotkać znajomą twarz.

Barman raz jeszcze się uśmiechnął i poszedł obsłużyć innych klientów.

W tym momencie zadzwonił telefon Dahla. Wyjął go z kieszeni i odebrał.

– Gdzie jesteś? – zapytała Duvall.

– W pubie na tej samej ulicy. Prowadzę dość dziwną rozmowę. Co się dzieje?

– Musisz tu przyjść. Właśnie wyrzucili nas z klubu.

– Ciebie i Kerensky'ego? Co się stało?

– Nie tylko mnie i Kerensky’ego – odparła. – Marca Coreya też. Zaatakował Anatolija.

– Jak to?

– Gdy podeszliśmy do niego, na widok Kerensky’ego powiedział: „A więc to ty jesteś tym sukinsynem, którego zdjęcie jest na Gawkerze”, po czym rzucił się na niego.

– Co to, u diabła, jest Gawker?

– Nie pytaj mnie, to nie mój kraj. Wyrzucili nas, a teraz Coreyowi urwał się film i śpi na chodniku. Był kompletnie pijany, już kiedy przyszliśmy do klubu.

– Podnieście go i przeszukajcie kieszenie, żeby znaleźć bilet parkingowy – polecił jej Dahl. – Potem zapakujcie go do auta i czekajcie na mnie. Będę za kilka minut. I spróbujcie nie dać się aresztować.

– Niczego nie obiecuję.

– Jakiś problem? – zapytał Nick, który zdążył wrócić i stanął koło Dahla.

– Przyjaciele wdali się w awanturę i wyrzucili ich z klubu. Muszę tam iść, zanim zjawi się policja.

– Ciekawy wieczór – skomentował barman.

– Nie masz pojęcia jak bardzo – odparł Dahl. – Ile za piwo?

Nick machnął ręką.

– Na koszt firmy. Przynajmniej jedna miła rzecz, jaka ci się dzisiaj przydarzyła.

– Dzięki, stary – rzucił Andy, po czym spojrział na swój telefon i ponownie na Nicka. – Miałbyś coś przeciwko temu, żebyśmy pstryknęli sobie fotkę? – zapytał.

– Teraz zaczynasz zachowywać się dziwnie. – Nick skrzywił się, ale nachylił nad barem.

Dahl wycelował aparat i pstryknął.

– Dzięki – powtórzył.

– Nie ma sprawy. A teraz lepiej idź, zanim twoich przyjaciół zabiorą na komisariat.

Andy opuścił pub i dwie minuty później był pod klubem, gdzie ujrzał Kerensky'ego i Duvall wpychających nieprzytomnego Coreya do czarnego samochodu o opływowych kształtach, podczas gdy bramkarz Mitch i parkingowy stali obok i przyglądali się im. Młódź w kolejce wyciągnęła komórki i filmowała całe zajście.

– Człowieku, co to ma być?! – zapytał Mitch, gdy Dahl podszedł bliżej.  
– Byli tam wszystkiego może dziesięć minut, kiedy ten bałwan rzucił się na nich.

– Sorry – po raz kolejny dziś przeprosił Andy.

– A ta akcja z sobowtórem jest naprawdę słaba.

– Moi przyjaciele mieli zabrać z klubu Marca – skłamał Dahl i wskazał na Kerensky'ego. – To jego oficjalny dubler. Czasami występuje w reklamach. Dowiedzieliśmy się, że Marc trochę szaleje, więc przyszliśmy po niego, bo jutro musi być na planie.

– Nie szalał, dopóki nie zjawili się twoi kumple – powiedział Mitch. – I po co temu gościowi dubler? Jest tylko drugoplanową postacią w podrzędnym serialu science fiction. Nie jest żadną gwiazdą.

– Powinieneś zobaczyć go na Comic-Conie.

– A więc niech się dobrze bawi tam, bo tutaj ma wilczy bilet – prychnął bramkarz. – Gdy dojdzie do siebie, powiedz mu, że jeśli zjawi się tu ponownie, tak mu przykopię, że osiągnie prędkość nadświatlną.

– Przekażę mu co do słowa – obiecał Dahl.

– Nie zapomnij. – Mitch odwrócił się do czekających w kolejce młodziaków.

Andy podszedł do Duvall.

– W czym problem? – zapytał.

– Facet jest zalany w trupa. Prawie plazmodium – odparła. – Prawie, bo jest na tyle przytomny, żeby się z nami kłócić.

– Nie możecie sobie poradzić z nawalonym gościem?

– Pewnie, że możemy – warknęła. – Ale kazałeś nam uważać na policję.

– Hej, może ktoś by mi pomógł! – rzucił Kerensky, gdy Corey wsadził mu palec w dziurkę od nosa.

Dahl skinął głową, otworzył drzwi samochodu i położył przedni fotel. Duvall i Kerensky chwycili mocniej Coreya, dźwignęli, po czym rzucili na tylne siedzenie. Ten zaklinował się z głową przy przeciwległych drzwiach i tyłkiem wypiętym w sufit. Beknął cicho, westchnął i znieruchomiał.

– Nie siedzę z nim – oznajmił Kerensky.

– Nie siedzisz – zgodził się Dahl, po czym sięgnął do auta i wyciągnął Coreyowi portfel z kieszeni. Podał go Kerensky’emu. – Prowadzisz.

– Dlaczego ja?

– Bo jeżeli nas zatrzymają, to jesteś nim – wyjaśnił Andy.

– Aha. – Anatolij schował portfel.

– Zapłacę parkingowemu – zaofiarowała się Duvall.

– Daj sowity napiwek – poradził jej Dahl.

Minutę później astronawigator „Nieustraszonego” domyślił się, co oznacza litera „D” na automatycznej skrzyni biegów. Wyjechali na ulicę.

– Nie przekraczaj dozwolonej prędkości – przestrzegł go Andy.

– Nie mam pojęcia, dokąd jedziemy.

– Myślałem, że jesteś astronawigatorem.

– To jest ulica! – zaprotestował Anatolij.

– Czekaście. – Maia wyciągnęła telefon. – Włączam GPS.

Kerensky chrząknął i jechał dalej.

– Cóż, to był wieczór pełen wrażeń – podsumowała Duvall, wstukując do telefonu adres hotelu. – A ty jak się bawiłeś?

– Spotkałem starego kumpla – odparł i pokazał jej zdjęcie siebie i Nicka w komórce.

– Och – powiedziała, a potem sięgnęła do tyłu i ujęła jego dłoń. – Och, Andy. Wszystko w porządku?

– Tak.

– Wygląda zupełnie jak Finn – zauważyła, spoglądając ponownie na zdjęcie.

– Zgadza się – potwierdził i wyjrzał przez okno.



## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

– Dość już się wyspał – powiedział Dahl, wskazując na leżącego na łóżku Coreya. – Obudźcie go.

– Odpada, musiałabym go dotknąć – odparła Duvall.

– Niekoniecznie – rzekł Hester, po czym chwycił jedną z poduszek i walnął nią Coreya w głowę.

Ten przebudził się gwałtownie.

– Dobra robota – rzucił Hanson, a Hester podziękował skinieniem głowy.

Corey usiadł na łóżku i rozejrzał się zdezorientowany.

– Gdzie jestem? – zapytał.

– W hotelu – odparł Dahl. – Best Western w Burbank.

– A co ja tu robię?

– Zaatakowałeś mojego kumpla w Vine Club, a potem urwał ci się film. Zapakowaliśmy cię do samochodu i przywieźliśmy tutaj.

Facet opuścił wzrok na swoje nogi i zmarszczył brwi.

– Gdzie moje spodnie?

– Zabraliśmy ci je – odpowiedział Andy.

– Dlaczego?

– Bo musimy z tobą pogadać.

– Moglibyście to zrobić bez zabierania mi spodni.

– W idealnym świecie tak – zgodził się Dahl.

Corey spojrział mętnym wzrokiem na niego.

– Znam cię – oznajmił po chwili. – Jesteś statystą w moim serialu. – Przeniósł wzrok na Duvall i Hansona. – Wy dwoje też. Ciebie nie znam. – Zerknął na Hestera, czym wyraźnie go zirytował.

– Graliśmy razem w jednej scenie – mruknął. – Zaatakował cię rój nanobotów.

– Człowieku, ja ciągle mam sceny ze statystami! – zawołał Corey. – Dlatego właśnie nazywają ich statystami, bo tylko statystują. – Spojrzał ponownie na Dahla. – Jeżeli chcecie jeszcze kiedykolwiek pracować przy tym serialu, natychmiast oddajcie mi spodnie i kluczyki od samochodu.

– Twoje spodnie są w łazience, suszą się – odparł Jimmy.

– Byłeś tak nawalony, że się złałeś – dodał Hester.

– Co do zasady, zabraliśmy ci je, żeby pogadać. Potem pomyśleliśmy, że nie będziesz chciał iść do roboty w śmierdzących portkach – rzucił Andy.

Corey siedział przez chwilę skonsternowany, spoglądając na swoje gołe nogi, a potem zgiął się wpół i powąchał. Duvall i Hester zrobili minę pełną obrzydzenia; Dahl zachował obojętność.

– Wcale nie śmierdzą – stwierdził Corey.

– Masz czystą bieliznę – wyjaśnił Dahl.

– Czyją? Twoją?

– Nie, moją – odezwał się Kerensky, który dotąd siedział cicho w odwróconym tyłem do pokoju fotelu. Teraz wstał i stanął twarzą w twarz z Coreym. – W końcu nosimy ten sam rozmiar.

Aktor gapił się na niego, oszołomiony.

– To ty – powiedział w końcu.

– Tak, ja – odparł Kerensky. – Czyli także ty.

– To ciebie widziałem wczoraj na Gawkerze.

– Nie wiem, co to jest Gawker – oświadczył Anatolij.

– Ktoś nakręcił telefonem filmik, pokazujący gościa łądząco podobnego do mnie, stojącego bez spodni na ulicy, a potem wrzucił na stronę serwisu plotkarskiego Gawker – wyjaśnił Corey. – Nasz dział PR musiał oficjalnie potwierdzić, że w tym czasie pracowałem na planie, żeby ludzie uwierzyli, że to nie byłem ja. To byłeś ty.

– Aha, zapewne – potwierdził Kerensky.

– Kim jesteś?

– Tobą. A w każdym razie tym, kogo udajesz.

– To nie ma sensu – rzekł Corey.

– Cóż, twoje gadanie o tym całym Gawkerze nie ma sensu dla mnie, więc jesteśmy kwita – odpalił Kerensky.

– Dlaczego biegałeś po ulicy bez spodni?

Kerensky wskazał na pozostałych.

– Oni mi je zabrali.

– Po co?

– Musieliśmy z nim pogadać – odparł Dahl.

Corey oderwał wzrok od Kerensky’ego.

– Ludzie, czy wyście powariowali?

– Może i tak, ale... wciąż tu jesteś – zauważył Andy.

Corey zignorował go. Wstał i podszedł do Kerensky’ego, który obserwował go spokojnie. Corey obejrzał go dokładnie.

– Zdumiewające – powiedział. – Wyglądasz zupełnie jak ja.

– Jesteśmy identyczni – rzekł z naciskiem Kerensky. – Co do najdrobniejszego szczegółu.

– To niemożliwe – zdumiał się Corey, przyglądając się twarzy Anatolija.

– A jednak – odparł Kerensky, podchodząc krok bliżej. – Przyjrzyj się.

Stali o parę centymetrów od siebie, podczas gdy Corey porównywał ich znaki szczególne.

– Oho, robi się romantycznie – szepnęła Hester scenicznym szeptem do Dahla, mrugając porozumiewawczo.

– Marc – zwrócił się Andy do Coreya – potrzebujemy twojej pomocy. Chcemy, żebyś skontaktował nas z Charlesem Paulsonem.

– Po co? – zapytał Corey, nie odrywając wzroku od Kerensky’ego.

– Musimy omówić z nim pewną kwestię dotyczącą serialu.

– On nie przyjmuje wizyt – odrzekł Corey. – Miesiąc temu jego syn miał wypadek na motocyklu. Chłopak jest w śpiączce i lekarze nie dają mu wielkich szans. Paulson podarował mu ten motocykl na urodziny. Plotki

głoszą, że idzie rano do pracy, siada za biurkiem, do szóstej gapi się w sufit, po czym wraca do domu. Nie spotka się z wami.

– Musimy spróbować – odparł Dahl. – I dlatego potrzebujemy ciebie. Bo wszystkich innych może unikać, ale ty jesteś gwiazdą w jego serialu. Ciebie musi przyjąć.

– Nie musi przyjmować nikogo – wyjaśnił Corey.

– Ciebie by przyjął, gdybyś się uparł – powiedziała Duvall.

Aktor zerknął na nią, po czym odsunął się od Kerensky'ego, żeby stanąć z nią twarzą w twarz.

– Tylko po co?! Masz rację, gdybym zrobił awanturę i zażądał widzenia z nim, przyjąłby mnie. Tyle że jeśli stwierdzi, że marnuję jego czas, pozbawi mnie roli! Może wykończy moją postać w jakiś okropny sposób i jeszcze poprawi tym oglądalność. A ja znajdę się na bruku! Wiesz, jak trudno jest o stałą pracę w tym mieście? Byłem już kelnerem. Nie, nic dla was nie zrobię.

– To ważne – rzekł Dahl.

– Ja jestem ważny – poprawił go Corey. – Ja i moja kariera. To ważniejsze niż to, czego wy chcecie, cokolwiek to jest.

– Możemy ci zapłacić – zaproponował Hanson. – Mamy dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów.

– To mniej niż dostaję za jeden odcinek – odparł i ponownie wbił wzrok w Kerensky'ego. – Musielibyście złożyć lepszą ofertę.

Dahl otworzył usta.

– Pozwólcie mi się tym zająć – powiedział Anatolij do pozostałych. – Lepiej sam pogadam z Markiem.

– Okej – zgodził się Hester.

– Na osobności – dodał Kerensky.

– Jesteś pewien? – zapytał Andy.

– Tak. Jestem pewien.

– W porządku. – Dahl dał znak Mai, Jimmowi i Hesterowi, z niedowierzaniem przyglądającemu się całej scenie, żeby opuścili pokój.

– Powiedzcie mi, że nie jestem jedynym, który uważa, że tam wydarzy się coś niestosownego – rzucił Hester, gdy znaleźli się na korytarzu.

– Jesteś – odparł Andy.

– Nie, nie jesteś – odparła Duvall.

Hanson tylko pokręcił głową.

– Andy, nie powiesz mi, że nie widziałeś, jakie wrażenie Anatolij zrobił na Marcu.

– Jakoś nie zauważyłem.

– Jasne – warknął Hester.

– Z ciebie jest naprawdę niezły świętoszek, co? – Maia spojrzała na przyjaciela z ukosa.

– Po prostu wolę myśleć, że odbywa się tam trzeźwa, rozsądna dyskusja i że nasz astronawigator używa przekonujących argumentów.

W tym momencie zza drzwi dało się słyszeć stęknienie sprężyn, jakby coś opadło na łóżko.

– Przekonujących, no właśnie – powiedział Hester.

– Chyba poczekam na dole – rzucił Dahl ciężko.

\* \* \*

Dwie godziny później wstał świt, a w holu zjawił się Kerensky. Wyglądał na niewyspanego.

– Marc prosi o kluczyki do auta – powiedział. – O wpół do siódmej jest umówiony z charakterizatorką.

Andy wyciągnął kluczyki z kieszeni.

– A więc pomoże nam?

Kerensky skinął głową.

– Zadzwoń, gdy tylko dotrze na plan. Zaszantażuje Paulsona, że odejdzie, jeżeli ten nie zgodzi się z nami spotkać.

– Jak zdołałeś go do tego przekonać? – zapytał Hester.

Kerensky spojrzał mu prosto w oczy.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?
- Hm... No nie. W gruncie rzeczy to nie.
- Tak myślałem. – Kerensky wziął kluczyki od Dahla.
- A ja tak – powiedziała Duvall.

Astronawigator westchnął i zwrócił się ku niej.

– Powiedz mi, Maia, czy kiedykolwiek spotkałaś kogoś, kogo znałabyś tak dobrze i kompletnie, jakbyście dzielili nie tylko jedno ciało, lecz także te same myśli i pragnienia? I kto czułby wobec ciebie dokładnie to, co ty czujesz wobec niego, aż po najdrobniejszą cząsteczkę waszego istnienia? Spotkałaś?

- Nie sędzę.
- Żal mi cię. – Anatolij ruszył z powrotem do pokoju.
- Musiałaś go spytać? – zwrócił się Hester do Duvall.
- Byłam ciekawa. Zaskarż mnie.

– Teraz wyobrażam sobie różne rzeczy. Te obrazy tkwią mi głowie i nigdy nie znikną. To twoja wina.

– Nie da się ukryć, że z tej strony Kerensky’ego nie znaliśmy – zauważył Dahl. – Nie sądziłem, że interesują go faceci.

– Nie o to chodzi – powiedział Hanson.

– Gdzie byłeś przez ostatnie parę godzin? – zapytał Hester. – Nie słyszałeś tych sprężyn?

– Jimmy ma rację – wtrąciła Duvall. – Nie chodzi o to, że Anatolij pożąda facetów. On pożąda samego siebie. Zawsze był narcyzem. A teraz zyskał szansę skonsumowania tego uczucia.

– Fuj! – jęknął Hester.

Duvall spojrzała na niego z góry.

- Ty byś nie skorzystał, mając taką możliwość?
- Ja nie skorzystałem – zauważył Andy.
- Ty, jak już ustaliliśmy, jesteś świętoszkiem. – Maia zaśmiała się.
- Masz rację. – Dahl wyszczerzył zęby.

Drzwi windy otworzyły się i ze środka wyłonili się Corey i Kerensky. Corey podszedł do Andy'ego.

– Potrzebny mi twój numer telefonu. Żeby zadzwonić, gdy tylko umówię spotkanie.

– W porządku. – Dahl podał mu kontakt.

Corey zapisał go w telefonie, a potem powiódł po nich wzrokiem.

– Chcę, żebyście docenili, co dla was robię – powiedział. – Aranżując to spotkanie, ryzykuję własny tyłek. Więc jeżeli zrobicie coś, co narazi moją karierę, przysięgam, że znajdę was i będę prześladował do końca życia. Rozumiecie?

– Rozumiemy – odrzekł Dahl. – I dzięki.

– Nie robię tego dla ciebie. – Corey wskazał na Kerensky'ego. – Robię to dla niego.

– Tym niemniej dziękuję.

– Poza tym, gdyby ktoś was pytał, co zaszło wczoraj pod klubem, odpowiecie, że pomagaliście mi wsiąść do samochodu, po tym jak taniny zawarte w winie wywołały u mnie reakcję alergiczną.

– Jasne.

– To zresztą prawda – dodał aktor. – Ludzie są uczuleni na najróżniejsze rzeczy.

– Aha – zgodził się Andy.

– Nie pamiętacie, czy ktoś filmował, gdy pakowaliście mnie do samochodu?

– Być może parę osób – odparł z wahaniem Dahl.

– No cóż – westchnął aktor. – Pamiętajcie: taniny.

– Tak jest – potwierdził Dahl.

Corey skinął mu głową, a potem podszedł do Kerensky'ego i uściskał go serdecznie. Astronawigator odwzajemnił uścisk.

– Żałuję, że nie mieliśmy więcej czasu.

– Ja też – odrzekł Anatolij.

Uściskali się ponownie, po czym Corey wyszedł. Kerensky odprowadził go wzrokiem.

– No, no – powiedział Hester. – Ale cię wzięło.

Kerensky odwrócił się w jego stronę.

– Co to ma znaczyć?

Hester podniósł dłonie w obronnym geście.

– Przecież cię nie oceniam!

– Czego nie oceniasz? – Anatolij powiódł po nich wzrokiem. – O co wam chodzi? Myślicie, że poszedłem z nim do łóżka?

– A nie poszedłeś? – zapytała Duvall.

– Rozmawialiśmy – odparł. – To była najbardziej niesamowita rozmowa w całym moim życiu. Jakbym spotkał brata, którego nigdy nie miałem.

– Daj spokój, Anatolij – powiedział Hester. – Słyszeliśmy, jak łóżko jęczało.

– Marc wkładał spodnie! – wyjaśnił. – Podąłem mu je, on jeszcze trochę się chwiał, a potem przewrócił na łóżko. To wszystko.

– W porządku – rzucił Hester. – Przepraszam.

– Jezu, ludzie! – Kerensky rozejrzał się. – Ja przeżywam coś naprawdę wielkiego, rozmawiając z jedynym człowiekiem, który naprawdę mnie rozumie, który wie, co mi chodzi po głowie, a wy myślicie, że oddaję się czemuś w rodzaju kazirodczej masturbacji? Bardzo dziękuję za splugawienie mojego przełomowego doświadczenia egzystencjalnego. Rzygać mi się przez was chce! – I wybiegł.

– Cóż, to było interesujące – skomentowała Maia.

Kerensky wrócił i wycelował w nią palcem.

– Między nami wszystko skończone!

– Niech będzie – powiedziała, a on wymaszerował z holu po raz drugi.

– Chciałbym tylko zauważyć, że miałem rację – oświadczył Dahl po dłuższej chwili.

Duvall podeszła i pacnęła go otwartą dłonią w czubek głowy.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Prywatne biuro Charlesa Paulsona mieściło się w Burbank niedaleko studia filmowego, w budynku, w którym siedzibę miały też trzy inne firmy producenckie, dwie agencje aktorskie, niedawno powstała firma z branży wysokich technologii oraz fundacja walcząca z drożdżycą. Jego biuro mieściło się na drugim piętrze; pojechali windą.

– Nie powinienem był jeść tego ostatniego placka z mięsem – wyjął Hester, gdy tylko wsiedli do środka.

– Mówiłem... – zauważył Hanson.

– Mówiłeś też, że mają tu przepisy dotyczące bezpieczeństwa żywności.

– Przepisy nic ci nie pomogą, jeżeli jesz trzy placki z mięsem na jeden raz – zauważył Jimmy. – Tu nie chodzi o bezpieczeństwo żywności, tylko o przejedzenie wieprzowiną.

– Muszę do toalety – jęknął Hester.

– Czy to nie może poczekać? – zapytał Dahl, a tymczasem dojechali na drugie piętro. – Mamy naprawdę ważne spotkanie.

– Jeżeli nie pójdę zaraz do kibla, to pożałujecie, że w ogóle znalazłem się na tym spotkaniu – odparł Hester. – Stanie się coś naprawdę ponurego.

Drzwi windy otworzyły się i cała piątka wyszła na korytarz. Po prawej widniał znak męskiej toalety. Hester ruszył w tamtą stronę sztywnym krokiem i zniknął w środku.

– Byleby się pospieszył – zauważyła Duvall. – Jesteśmy umówieni mniej więcej za minutę.

– Miałaś kiedyś niestrawność po plackach z mięsem? – odpowiedział pytaniem Dahl.

– Nie. I z tego, co widzę, powinnam się cieszyć.

– Raczej trochę mu zejdzie – odparł Andy.

– Nie możemy czekać – zniecierpliwił się Kerensky.

– To prawda.

– Idźcie – powiedział Jimmy. – Ja zostanę i sprawdzę, czy z Hesterem wszystko w porządku. Poczekamy na was w holu.

– Na pewno? – zapytał Dahl.

– Tak. Zresztą na spotkaniu i tak bylibyśmy tylko widzami. Równie dobrze możemy poczekać w holu i poprzeglądać kolorowe magazyny. Zawsze miło sprawdzić, co słyhać w kronikach towarzyskich sprzed trzystu pięćdziesięciu lat.

– Słusznie. Dzięki, Jimmy. – Andy się uśmiechnął.

– Daj nam znać, jeśli Hesterowi pękną flaki – rzuciła Maia.

– Dowiecie się pierwsi – powiedział Hanson i ruszył w stronę toalety.

Recepcjonistka firmy Paulson Productions uśmiechnęła się ciepło do Kerensky'ego, gdy on, Dahl i Duvall weszli do środka.

– Cześć, Marc. Miło cię widzieć.

Kerensky chrząknął niepewnie.

– Przyszliśmy się zobaczyć z panem Paulsonem – przerwał niezręczną ciszę Dahl. – Jesteśmy umówieni. Marc nas umówił.

– Tak, oczywiście – powiedziała recepcjonistka, zerkając na ekran komputera. – Pan Dahl, zgadza się?

– To ja.

– Usiądźcie, proszę, a ja dam mu znać, że już jesteście. – Chwyciła za telefon i raz jeszcze posłała uśmiech Kerensky'emu.

– Ona chyba cię podrywa – powiedziała cicho Duvall.

– Myśli, że podrywa Coreya – odparł.

– Co za różnica?

– Przestań.

– Próbuję tylko dodać ci otuchy po rozstaniu.

– Panie Dahl, Marc, proszę pani, pan Paulson zaprasza – oznajmiła sekretarka. – Proszę za mną. – Zaprowadziła ich do obszernego gabinetu, w którym za dużym biurkiem siedział Paulson.

Producent spojrział surowo na Kerensky'ego.

– Mam pogadać z nimi – powiedział, wskazując pozostałych. – Nie z tobą. Ty powinieneś być w pracy.

– Jestem – odparł astronawigator.

– To nie jest praca – rzucił Paulson. – Praca jest w studiu, na planie. Jeżeli nie ma cię tam, to znaczy, że nie kręcimy. A jeżeli nie kręcimy, to tracimy czas i pieniądze. Ludzie ze stacji już wzięli mnie w obroty, bo zawałamy terminy. Nie pomagasz mi.

– Panie Paulson – chrząknął Dahl – może powinien pan zadzwonić na plan i zapytać, czy Marc Corey tam jest.

Paulson spojrzał na niego, jakby dopiero teraz zauważył jego obecność.

– Wyglądasz cokolwiek znajomo. Kim jesteś?

– Andrew Dahl – przedstawił się, siadając na jednym z krzeseł przed biurkiem i dając znak Duvall, która usiadła na drugim. – To Maia Duvall. Oboje pracujemy na „Nieustraszonym”.

– Więc też powinniście być na planie.

– Panie Paulson – ponownie poprosił Andy – naprawdę powinien pan zadzwonić i zapytać, czy Marc Corey jest w pracy.

Producent wskazał na Kerensky’ego.

– On jest tutaj.

– Nie, nie jest – odparł Dahl. – Dlatego chcieliśmy się z panem spotkać.

Paulson zmierzył go wzrokiem.

– Marnujecie mój czas.

– Jezu – powiedział zirytowany Kerensky. – Zadzwonisz na ten cholerny plan? Marc tam jest.

Paulson przez moment przyglądał się Kerensky’emu, a potem chwycił za telefon i wcisnął guzik.

– Cześć, Judy – powiedział. – Jesteś na planie...? Tak. Powiedz mi, czy jest tam Marc Corey. – Umilkł i ponownie spojrzał na Kerensky’ego. –

W porządku. Od jak dawna...? Jasne. Zachowuje się dzisiaj dziwnie? Jest jakiś nieswój...? Tak, dobrze. Nie, nie potrzebuję z nim rozmawiać. Dziękuję, Judy. – Odłożył słuchawkę. – To była moja producentka

wykonawcza, Judy Melendez – wyjaśnił. – Mówi, że Marc jest na planie od wpół do siódmej, kiedy to zjawił się u charakteryzatorki.

– Dziękuję – powiedział Kerensky.

– W porządku, macie mnie – rzekł Paulson. – Kim więc, u diabła, jesteś? Marc musi cię znać, bo inaczej nie umówiłby tego spotkania. Mógłbyś być jego bratem bliźniakiem, ale wiem skądinąd, że on nie ma rodzeństwa. Więc co? Jesteś jego kuzynem? Chcesz grać w serialu? Czy o to w tym wszystkim chodzi?

– Załatwiasz role członkom rodziny? – zapytał Dahl.

– Nie rozgłaszamy tego, ale jasne, że tak – odparł producent. – W zeszłym sezonie zatrudniłem wuja. Miał stracić ubezpieczenie, więc obsadziłem go w roli admirała, który chciał postawić Abernathy’ego przed sądem wojskowym. Załatwiłem też rolę synowi... – Urwał nagle.

– Słyszeliśmy o nim – powiedział Dahl. – Bardzo nam przykro z jego powodu.

– Dziękuję. – Paulson skinął głową i ponownie zamilkł. Skurczył się nagle i gdzieś uleciała jego agresywna pewność siebie. – Przepraszam – rzekł po chwili. – Nie jest mi lekko.

– Trudno mi sobie nawet wyobrazić, co pan musi czuć – powiedział Andy.

– Obyś nigdy nie musiał przeżywać tego samego. – Producent sięgnął po stojące na biurku zdjęcie i przyjrzał się mu. – Lekkomysłny dzieciak. Mówiłem mu, żeby uważał, jeżdżąc w deszcz. – Na moment odwrócił fotografię, która przedstawiała jego samego oraz uśmiechniętego młodego mężczyznę w skórzanym stroju motocyklowym. – Nigdy nie chciał mnie słuchać.

– Czy to pański syn? – zapytała Maia, wskazując zdjęcie.

– Tak. – Filmowiec podał jej fotografię. – Matthew. Właśnie zrobił dyplom z antropologii, a tu nagle mówi mi, że chce spróbować aktorstwa. Pytam go: „Jeżeli chcesz być aktorem, to po co płaciłem za twoje studia?”. Mimo to dałem mu rolę. Statystował przy kilku odcinkach, zanim...

– Andy, spójrz – powiedziała Duvall, podając fotografię Dahlowi.

Ten drgnął.

Kerensky podszedł i przyjrzał się zdjęciu.

– Chyba żartujesz – powiedział.

– Co takiego? – zapytał Paulson, patrząc na nich ze zdziwieniem. – Znacie go? Znaliście Matthew?

Wszyscy troje spojrzeli na niego.

– Matthew! – Za drzwiami rozległ się kobiecy krzyk.

– O cholera! – zawołała Maia, zrywając się z krzesła i wybiegając na korytarz. Dahl i Kerensky podążyli za nią.

W holu recepcjonistka trzymała Hestera w objęciach, łkając głośno. Ten znosił to ze spokojem, nic nie rozumiejąc.

Jimmy spostrzegł przyjaciół i podszedł do nich.

– Weszliśmy do holu – powiedział. – Tylko tyle. Weszliśmy, a ona wrzeszczy wniebogłosy i o mało nie przeskoczyła przez biurko, żeby się go ucześcić. O co tu chodzi?

– Zdaje się, że znaleźliśmy aktora, który grał Hestera – powiedział Dahl.

– W porządku – rzekł Jimmy. – Kto to jest?

– Matthew? – zapytał Paulson, który wyszedł z gabinetu, żeby sprawdzić, co się dzieje. – Matthew?! Matthew! – Podbiegł do Hestera, zaczął go ścisnąć i całować.

– Syn Charlesa Paulsona – wyjaśniła Duvall Hansonowi.

– Ten, który jest w śpiączce?

– Ten sam – odrzekł Dahl.

– Coś takiego – powiedział Jimmy. – Ale numer!

Wszyscy troje spojrzeli na Hestera, który wyszeptał błagalnie:

– Pomocy.

– Ktoś musi im wyjaśnić, kim naprawdę jest Hester – oznajmił Kerensky.

Oczy całej trójki zwróciły się na Dahla. Ten westchnął i podszedł do Hestera.

\* \* \*

– Dobrze się czujesz? – zapytał Dahl Hestera.

Stali w pokoju szpitalnym, w którym leżał Matthew Paulson, podłączony do podtrzymującej życie aparatury. Hester spoglądał na swojego pogrążonego w śpiączce sobowtóra.

– Lepiej niż on – odparł.

Andy podszedł do otwartych drzwi, żeby sprawdzić, czy Charles Paulson nie stoi gdzieś w pobliżu. Nie, był w poczekalni razem z Duvall, Hansonem i Kerenskym. Liczba gości, jednorazowo wpuszczanych do młodego Paulsona, ograniczona była do dwóch.

– Przepraszam – rzekł Hester. – Nie chciałem, żeby to zabrzmiało głupio. Po prostu... Cóż, teraz to wszystko ma sens, nie?

– Co masz na myśli?

– Siebie – odparł. – Ty, Duvall, Hanson i Finn, wszyscy jesteście interesujący, bo postaciom, które mają zginąć w ciekawy sposób, trzeba pogłębić rys psychologiczny. Finna zabił ktoś, kogo on znał, tak? Ty masz zginąć na Forshanie. A ja jestem zupełnie bezbarwny. Jestem po prostu kolesiem z Des Moines, który miał średnią trzy i pół w liceum i wstąpił do floty kosmicznej, żeby poznać trochę świata, zanim wróci na stałe do domu. Przed służbą na „Nieustraszonym” byłem po prostu jeszcze jednym sarkastycznym samotnikiem. Teraz – ciągnął – to nabiera sensu, bo nigdy nie miałem być nikim szczególnym, rozumiesz? Zwyczajny statysta. Tymczasowa postać, którą syn Paulsona mógł grać, dopóki się nie znudzi i nie wróci na uniwersytet, żeby zrobić doktorat. Nawet ta jedyna rzecz, którą potrafię robić, pilotować prom, to też był przypadek, bo potrzebowali kogoś w tej roli, więc czemu nie dać jej synowi producenta? Niech ma frajdę.

– Nie sędzę, żeby tak było – oświadczył Dahl.

– Jest właśnie tak – rzekł z naciskiem Hester. – Jestem tylko wypełniaczem, niczym więcej.

– To nieprawda.

– Nie? – Hester spojrział na Andy’ego. – To jak mam na imię?

– Co takiego?

– Jak mam na imię? – powtórzył Hester. – Ty jesteś Andy Dahl. Maia Duvall. Jimmy Hanson. Anatolij Kerensky, na miłość boską! A ja, Andy,

jak ja mam na imię? Nie wiesz, prawda?

– Masz imię, na bank – odparł Dahl. – Mógłbym sprawdzić w telefonie.

– Nie znasz go! Nigdy go nie używasz! Nigdy nie zwracasz się do mnie po imieniu. Jesteśmy kumplami, a ty nawet nie wiesz, jak mam na imię!

– Przykro mi. Dla mnie jesteś po prostu „Hester”, i już.

– O tym właśnie mówię. Jeżeli nawet moi przyjaciele nie interesują się tym, jak mam na imię, to chyba dobrze odzwierciedla moją rolę we Wszechświecie, nie uważasz? – I ponownie skupił się na pogrążonym w śpiączce synu Paulsona.

– Więc jak masz na imię? – zapytał Andy.

– Jasper.

– Jasper – powtórzył Dahl.

– Tak. Jasper Allen Hester.

– Wolisz, żebym odtąd tak się do ciebie zwracał?

– O nie, tylko nie to! – zawołał Hester. – Kto chciałby mieć na imię Jasper? Cholernie pretensjonalne.

Dahl próbował stłumić śmiech, lecz mu się nie udało. Hester też się uśmiechnął.

– Okej, więc jak zwykle, po nazwisku – podsumował Andy. – Jednak chcę, żebyś wiedział, że mówiąc „Hester”, będę myślał „Jasper”.

– Jeżeli sprawia ci to przyjemność...

– Jasper, Jasper, Jasper.

– Dobra – rzucił Hester. – Wystarczy. Nie chciałbym zabić cię w szpitalu. – Ponownie skierowali uwagę na młodego Paulsona. – Biedny chłopak – podsumował.

– Jest w twoim wieku.

– Tak, i mam szansę go przeżyć. Dla jednego z nas to coś zgoła niespodziewanego!

– Pewnie masz rację.

– To jest właśnie problem z życiem w dwudziestym pierwszym wieku. W naszym świecie, gdyby miał ten sam wypadek, lekarze byliby w stanie

mu pomóc. Do diaska, Andy, pomyśl o tych wszystkich paskudnych rzeczach, które ci się przytrafiły, a jednak przeżyłeś.

– Przeżyłem, bo scenarzysta tak chciał – odparł Dahl. – To tak jak z Kerenskim i jego cudowną zdolnością regeneracji. Wszystko dzięki Narracji.

– Czy to ważne, dzięki czemu tak jest? Posłuchaj, jeżeli ciągle ocierasz się o śmierć, a jednak jej unikasz, to czy naprawdę ma dla ciebie znacznie, że stało się tak wyłącznie za sprawą scenariusza? Nie, bo nie umarłeś. Narracja wykańcza nas, kiedy jej to pasuje. Lecz naprawdę nie jest aż taka zła.

– Przed chwilą wyjaśniłeś mi, jak zrozumiałeś, że jesteś nikim. A teraz nagle kochasz Narrację?

– Tego nie powiedziałem. Tymczasem... nie zapominaj, że moje bycie nikim oznacza, że jako jedyny z nas nie umrę w męczarniach dla uciechy widowni.

– Słuszna uwaga – rzekł Dahl.

– Ten serial, w którym gramy, to szmira. Szmira, która czasami działa na naszą korzyść.

– Aż do momentu, gdy się nas pozbywa.

– Ciebie – powiedział z naciskiem Hester. – Ja mogę przeżyć, pamiętaj.  
– Wskazał nieprzytomnego Paulsona. – On też mógłby zostać uratowany, gdyby żył w naszym świecie. – Andy nic na to nie odpowiedział. Hester podniósł wzrok i spostrzegł, że przyjaciel mu się przygląda. – Co?!

– Myślę.

– O czym?

– O tym, jak wykorzystać Narrację do naszych celów.

Hester zmrużył oczy.

– To ma jakiś związek ze mną, prawda?

– Tak, Jasperze – odparł Dahl. – Ma.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Charles Paulson otworzył drzwi do sali konferencyjnej, gdzie czekała piątka przyjaciół, i wszedł do środka. Towarzyszył mu jeszcze jeden mężczyzna.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział. – Chcieliście poznać głównego scenarzystę serialu. Oto on: Nick Weinstein. Wyjaśniłem mu już, o co chodzi.

– Witam – rzekł przybyły, przyglądając się całej piątce. – O rany, widzę, że Charles wcale nie przesadzał.

– Ale jaja! – Hester przerwał pełne zdumienia milczenie piątki bohaterów.

– Co jest? – nie rozumiał scenarzysta.

– Panie Weinstein, czy zagrał pan kiedyś jakąś rolę w serialu? – zapytał Dahl.

– Raz, parę sezonów temu – odparł. – Potrzebny był statysta do sceny pogrzebu. Akurat byłem na planie. Ubrali mnie w kostium i kazali odgrywać smutnego. Dlaczego?

– Bo znamy człowieka, którego pan zagrał – odparł Dahl. – Nazywa się Jenkins.

– Naprawdę? – Weinstein się uśmiechnął. – Jaki on jest?

– To pogrążony w depresji socjopata, który nie może dojść do siebie po śmierci żony – odpowiedziała Duvall.

– Och. – Z twarzy scenarzysty znikł uśmiech. – Przykro mi.

– Pan jest od niego bardziej zadbany – rzucił Hanson na pocieszenie.

– Chyba pierwszy raz w życiu ktoś mi mówi coś takiego. – Weinstein pogładził się po długiej brodzie.

– Okej, w takim razie przejdźmy do rzeczy. O czym chcecie ze mną i Nickiem pogadać? – zwrócił się Paulson do Dahla.

– Słusznie – odrzekł Andy. – Siądźcie, proszę.

– Kto to jest Jenkins? – Kerensky zapytał szeptem Dahla, gdy Paulson i Weinstein zajmowali miejsca.

– Później – odparł.

– Więc...? – zagaił Paulson, którego wzrok mimowolnie co jakiś czas kierował się w stronę Hestera.

– Panie Paulson, panie Weinstein, istnieje powód, dla którego cofnęliśmy się w czasie, żeby zjawić się tutaj – zaczął Dahl. – Chcemy poprosić was o zakończenie produkcji serialu.

– Co takiego?! – zapytał scenarzystę. – Dlaczego?

– Bo w przeciwnym razie czeka nas śmierć. Panie Weinstein, kiedy w scenariuszu odbiera pan życie jakiejś trzecioplanowej postaci, aktor grający tę postać schodzi z planu i idzie na obiad. Za to u nas ta osoba umiera naprawdę. A praktycznie w każdym odcinku ktoś ginie.

– Nie w każdym – zaprotestował Nick.

– Jimmy, mógłbyś? – poprosił Andy.

– Dotychczas w ciągu sześciu sezonów wyemitowano sto dwadzieścia osiem odcinków *Kronik „Nieustraszonego”* – zaczął Hanson. –

W dziewięćdziesięciu sześciu z nich zginął jeden członek załogi lub więcej. Śmierć na ekranie pokazano w stu dwunastu odcinkach. Łącznie zabił pan dotychczas co najmniej czterystu członków załogi, a jeżeli dodać inne statki, wojny na rozmaitych planetach, epidemie i tak dalej, liczba ofiar idzie w miliony.

– Nie wliczając w to ofiar po stronie nieprzyjaciela – wtrącił Dahl.

– Tak, to znacząco podniosłoby liczbę zabitych – zgodził się Jimmy.

– On bardzo skrupulatnie przeanalizował dostępne dane. – Andy wskazał na Hansona.

– Te wszystkie ofiary to nie moja wina – oznajmił Weinstein.

– Przecież to pan pisze scenariusz.

– Nie sam. Są też inni scenarzyści.

– Ale to pan jest ich szefem. Wszystko, co napiszą, musi mieć pana akcept.

– Nie chodzi nam o to, żeby obwiniać pana za te wszystkie trupy – powiedział Dahl. – Przecież nie mógł pan wiedzieć. Z pańskiego punktu widzenia wszystko, co zostanie napisane, jest czystą fikcją. Jednak z naszego to sama rzeczywistość.

– Jak to w ogóle działa? – zapytał Weinstein. – Jak to, co piszemy, wpływa na waszą rzeczywistość? Gdzie w tym jest sens?

– Witajcie w naszym świecie – prychnął Hester.

– Co masz na myśli? – zdziwił się scenarzysta.

– Sądzi pan, że nasze życie ma jakikolwiek sens? Przez pana zamieszkujemy świat, w którym miotające harpuny roboty zabójcy włóczą się po stacji kosmicznej. I wydają się one najlogiczniejszą rzeczą pod słońcem.

– Albo reki lodowe – dodała Maia.

– Albo borgowiańskie czerwie pustynne – dorzucił Jimmy.

Weinstein podniósł palec.

– Akurat czerwie nie są moim pomysłem! Złapałem ptasią grypę i przeleżałem dwa tygodnie w łóżku. Scenarzysta, który to pisał, jest fanem *Diuny*. Gdy wróciłem do pracy, było już za późno. Zresztą spadkobiercy Herberta dali nam potem popalić.

– Niemal wlecieliśmy w czarną dziurę, żeby się tu dostać – powiedział Hester. – Musieliśmy też porwać tego biedaka – wskazał na Kerensky'ego – żeby plan w ogóle zadziałał, bo jako jeden z głównych bohaterów nie może umrzeć poza ekranem. Niech pan o tym pomyśli, Weinstein, u nas prawa fizyki nie obowiązują!

– Co nie zmienia faktu, że nieustannie przytrafia mi się coś paskudnego – zauważył Kerensky ponuro. – Zastanawiałem się nawet, dlaczego mam takiego pecha. Teraz wiem, że to dlatego, iż przynajmniej jedna z pierwszoplanowych postaci musi cierpieć. To okropne.

– Dałeś mu nawet zdolność błyskawicznego dochodzenia do siebie po urazach tylko po to, żeby móc mu znowu dokopać w następnym odcinku – powiedziała Duvall. – Co, gdy teraz o tym myślę, wydaje mi się zwyczajnie okrutne.

– Poza tym wszystkim jest jeszcze Maszyna – uzupełnił Hanson, spoglądając na Dahla.

– Maszyna? – zdziwił się scenarzysta.

– Gdy w serialu mamy jakiś problem niemożliwy do rozwiązania z naukowego punktu widzenia, zadajemy go Maszynie, a ona, gdy napięcie sięga niemal zenitu, wypływa wynik – wyjaśnił Andy.

– Jej nie ma w scenariuszu – zdziwił się Weinstein.

– Ale nienaukowe problemy pojawiają się cały czas. I od tego właśnie ona jest.

– Czy w szkole w ogóle uczyli cię przedmiotów ścisłych? – zapytał Hester. – Tak tylko się zastanawiam.

– Chodziłem do Occidental College – odparł filmowiec. – Przedmioty ścisłe mają tam na naprawdę wysokim poziomie.

– Aha, a ty uczęszczałeś na lekcje? – dopytywała Maia. – Bo muszę ci powiedzieć, że nasz świat to jeden wielki bałagan.

– Przy innych serialach science fiction pracują konsultanci naukowci – zauważył Hanson.

– W science fiction chodzi nie tylko o naukę, lecz także o fantazję – bronił się Weinstein.

– Tyle że w twoim wydaniu i jedno, i drugie jest kiepskiej jakości – rzucił Hester. – A my musimy z tym żyć.

– Panowie i panie – przerwał im Dahl. – Postarajmy się nie zbacać z tematu.

– No właśnie – włączył się Paulson. – Powiedziałeś, że chcecie omówić jakiś pomysł, a na razie głównie napadacie na mojego scenarzystę.

– Z czym nie jest mi zbyt przyjemnie – przyznał Weinstein.

– Niepotrzebnie – odrzekł Andy. – Powtórzę: nie mogłeś wiedzieć. Jednak teraz wiesz, skąd przybywamy i dlaczego cofnęliśmy się w czasie. Powód jest jeden: żebyście zakończyli produkcję serialu.

Paulson już otwierał usta, zapewne po to, żeby zaprotestować i podać dowolną liczbę powodów, dla których jest to niemożliwe, lecz Andy uciszył go gestem.

– Prawda jest taka, że gdy już się tu znaleźliśmy, dotarło do mnie, że przerwanie *Nieustraszonego* nie wchodzi w rachubę. Zresztą i tak nie liczyliśmy na wiele... Poza tym... cóż... już nie chcę, żeby serial został zdjęty z anteny, bo... mam pomysł, jak moglibyśmy obrócić go na naszą korzyść. Naszą wspólną korzyść.

– Słucham więc – rzekł Paulson.

– Charles, twój syn jest w śpiączce – powiedział Dahl.

– Zgadza się.

– I nigdy się z niej nie obudzi.

– Prawda – potwierdził Paulson po dłuższej chwili. Jego oczy były wilgotne. – Nie obudzi się.

– O tym mi nie mówiłeś – odezwał się Weinstein. – Myślałem, że wciąż jest szansa.

– Nie – odparł producent. – Jak powiedziała mi wczoraj doktor Lo, wyniki tomografii wskazują, że aktywność mózgu wciąż słabnie. W tej chwili jedynie aparatura utrzymuje Matthew przy życiu. Czekamy, aż zbierze się cała rodzina, żeby go pożegnać. Wtedy go odłączymy. –

Spojrzał na siedzącego w milczeniu Hestera, a potem na Andy’ego. – Chyba że macie lepszy pomysł.

– Tak, mamy – odparł Dahl. – Charles, myślę, że możemy uratować twojego syna.

\* \* \*

– Powiedz mi jak – rzekł Paulson.

– Zabierzemy go ze sobą. Na „*Nieustraszonego*”. Tam zdołamy go wyleczyć. Posiadamy odpowiednią technologię. A nawet jeżeli nie – tu wskazał na Weinsteina – mamy Narrację. Pan Weinstein napisze odcinek, w którym Hester zostaje ciężko ranny, lecz przeżywa i zostaje poddany operacji. Operacja się udaje. Hester żyje. Pański syn żyje.

– Chcecie włączyć go do serialu – szepnął Paulson. – Na tym polega twój pomysł.

– Na tym – potwierdził Dahl. – Mniej więcej.

- Mniej więcej – powtórzył Paulson, marszcząc czoło.
- Nie da się ukryć, że w grę wchodzi pewne problemy natury logistycznej. A także, hm... teologicznej.
- Co takiego? – zapytał producent.
- Dahl zwrócił się do scenarzysty, który również zmarszczył brwi.
- Domyślam się, że właśnie rozważa pan niektóre z nich.
- Tak. – Weinstein skinął głową w kierunku Hestera. – Po pierwsze, będziecie mieli ich dwóch w swojej rzeczywistości.
- Wymyślisz jakieś wytłumaczenie – powiedział ojciec Matthew.
- To jest możliwe – zgodził się scenarzysta. – Ale będzie naciągane i głupawe.
- Przeszkadza ci to? – zapytał Hester.
- Po drugie, ich dwóch w waszym świecie oznacza, że w tym nie będzie ani jednego. – Scenarzysta pominął uwagę Hestera. – Twój syn grał, przepraszam, gra, tę postać. Jeżeli polecą obaj, rola będzie nieobsadzona.
- Znajdziemy kogoś na jego miejsce – powiedział Paulson. – Kogoś podobnego do Matthew.
- A wtedy staniemy przed pytaniem, na którego z...?
- ...z Hesterów – odpowiedział Hester.
- ...na losy którego z Hesterów będzie wpływać jego gra – rzekł Weinstein. – Poza tym, chociaż od razu mówię, że nie wiem, jak te czarymary działają, jeżeli miałbym czegoś takiego spróbować, to bałbym się zatrudnić nowego Hestera, bo kto wie, jak to wpłynie na terapię twojego syna. Może nie obudzi się sobą.
- Zgadza się – potwierdził Dahl. – Dlatego proponujemy następujące rozwiązanie.
- Ja zostaję – powiedział Hester.
- Zostajesz i udajesz mojego syna – rzekł Paulson. – Budzisz się ze śpiączki, a potem kręcimy odcinek, w którym grasz mojego syna i wszystko dobrze się kończy.
- Mniej więcej.

– Dlaczego „mniej więcej”? – warknął Paulson. – W czym problem?

Andy spojrzał na Weinsteina.

– Wyjaśnij mu.

– O cholera – chrząknął filmowiec, prostując się na krześle. – Chodzi o te atomy, tak?

– Atomy? – powtórzył za nim producent. – Jakie znowu atomy?

Weinstein złapał się za głowę.

– Ależ ze mnie głupiec – mruknął pod nosem. – Charles, kiedy pisaliśmy ten odcinek, w którym Abernathy i reszta cofają się w czasie, zrobiliśmy to tak, że mają tylko sześć dni, zanim ich atomy powrócą do swojej aktualnej pozycji na osi czasu.

– Nie mam pojęcia, co do mnie mówisz, Nick – wkurzył się Paulson. – Rozmawiaj ze mną po ludzku.

– To znaczy, że jeżeli zostaniemy tu dłużej niż sześć dni, umrzemy – powiedział Dahl. – A dzisiaj jest dzień trzeci.

– Oznacza to również, że jeżeli Matthew przeniesie się do ich czasu, ten sam termin będzie obowiązywał jego – dodał Weinstein.

– Cóż za beznadziejnie głupi pomysł! – wybuchł Paulson. – Po jaką cholere coś takiego napisałeś?

Scenarzysta uniósł ręce w obronnym geście.

– Skąd miałem wiedzieć, że któregoś dnia będziemy o tym rozmawiać w takich okolicznościach? Jezu, Charles, po prostu próbowaliśmy dociągnąć odcinek do końca. Potrzebowaliśmy czegoś, co będzie wisiało im nad głową. Wtedy miało to sens.

– Cóż, więc zmień to – powiedział Paulson. – Nowa zasada: ludzie podróżujący w czasie mają tyle cholernego czasu, ile zechcą.

Weinstein spojrzał błagalnie na Dahla.

– Za późno – rzekł ten ostatni, trafnie odczytując niemą prośbę scenarzysty. – Reguła obowiązywała, kiedy cofaliśmy się w czasie. Poza tym teraz to już nie jest serial. Działamy poza Narracją, co oznacza, że nawet gdybyśmy mogli zmienić regułę, nic by to nie dało, bo nie nagrywamy. Jesteśmy na nią skazani.

– Oni mają rację – zwrócił się Paulson do Weinsteina, wskazując na członków załogi „Nieustraszonego”. – Ten świat, który stworzyłeś, jest beznadziejny.

Weinstein zrobił potulną minę.

– On nie mógł wiedzieć – odezwał się Andy. – Nie możesz go winić. Poza tym potrzebujemy go, więc lepiej dziś go nie zwalniać.

– Nie zamierzam go zwolnić! – zawołał stary producent, wciąż spoglądając groźnie na kolegę. – Chcę wiedzieć, jak to rozwiążemy.

Scenarzysta otworzył usta, potem zamknął je i spojrzał bezradnie na Dahla.

– Przydałaby mi się odrobina wsparcia – przyznał.

– W porządku. Ale uwaga, będzie dziwnie.

– To znaczy?

Andy zwrócił się do Paulsona.

– Hester zostaje tutaj – zaczął. – Matthew leci z nami, ale on – wskazał na Weinsteina – pisze w scenariuszu, że jest to Hester. Nie próbujemy przepchnąć go ukradkiem ani zrobić z niego kolejnego statysty. Musi odegrać istotną rolę. Zwracamy się do niego po imieniu. Pełnym imieniem i nazwiskiem. Jasper Allen Hester.

– Jasper? – Duvall spojrzała na Hestera z niedowierzaniem.

– Nie teraz – syknął Hester.

– A więc nazywamy go Jasper Allen Hester – rzekł Paulson. – I co z tego? Wciąż będzie moim synem, a nie jednym z was.

– Nie – zaprzeczył Dahl. – Nie, jeżeli tak powiemy. Jeżeli Narracja mówi, że jest Hesterem, to jest Hesterem.

– Ale... – Paulson urwał i spojrzał na Weinsteina. – Nick, to kompletnie nie ma sensu.

– Nie ma – zgodził się Weinstein. – I nie musi. O to właśnie chodzi: to nie musi być logiczne. Wystarczy, że się wydarzy. – Zwrócił się do Dahla. – Wykorzystamy fakt, że serialowy świat tak słabo trzyma się kupy.

– Nie ująłbym tego w taki sposób, ale tak – przyznał Andy.



– A co z atomami? – zapytał Paulson. – Myślałem, że to problem.

– Gdyby Hester był tutaj, a twój syn tam, to tak – odparł Weinstein. – Ale skoro tam będzie Hester, to tutaj niewątpliwie będzie twój syn, co oznacza, że atomy będą tam, gdzie powinny. Zgadza się? – znów zwrócił się do Dahla.

– Taki jest pomysł – potwierdził zapytany.

– I to mi się podoba – oświadczył Weinstein z przekonaniem.

– Czy jesteśmy pewni, że zadziała? – zgłosił wątpliwość producent.

– Nie, nie jesteśmy – odparł Hester. Wszystkie oczy zwróciły się na niego. – Nie wiemy, czy zadziała. Możemy się mylić. A w takiej sytuacji, panie Paulson, pański syn umrze.

– I ty też... – podsumował Paulson. – Nie musisz tego robić.

– Panie Paulson, prawda jest taka, że gdyby pański syn nie zapadł w śpiączkę, zabilibyście mnie, gdy tylko znudziłoby mu się bycie aktorem – powiedział Hester i wskazał na Weinsteina. – On by mnie zabił. Zapewne zginąłbym pożarty przez kosmicznego borsuka albo coś równie idiotycznego. Pański syn jest w śpiączce, więc być może chwilowo przeżyję, jednak któregoś dnia mogę akurat przebywać na pokładzie szóstym, gdy „Nieustraszony” znajdzie się pod ostrzałem. Wtedy skończę jako jeszcze jeden bezimienny nieszczęśnik, którego wyssało w próżnię przez dziurę w kadłubie. Tak czy owak umrę śmiercią bezsensowną. – Powiódł wzrokiem po obecnych. – Myślę sobie tak: jeżeli mam umrzeć, to przynajmniej robiąc coś pożytecznego, na przykład próbując ratować pańskiego syna. – Tu ponownie spojrzął na Paulsona. – Moje życie będzie miało wartość, a jakoś dotąd nie dało się tego o nim powiedzieć. Jeżeli plan się powiedzie, żyć będzie i pański syn, i ja, co wcześniej nie miało się wydarzyć. W obu przypadkach jestem do przodu.

Paulson wstał, podszedł do Hestera i łkając, uściskał go. Hester, nie bardzo wiedząc, jak zareagować, poklepał go delikatnie po plecach.

– Nie wiem, jak ci to wynagrodzę – powiedział producent, gdy wreszcie puścił Hestera. Rozejrzał się po pokoju. – Jak wynagrodzę to wam wszystkim...

– Tak się składa – odezwał się Dahl – że mam pewien pomysł.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Taksówka skręciła z North Occidental Boulevard w Easterly Terrace i zatrzymała się przed żółtym bungalowem.

- Jesteśmy na miejscu – powiedział kierowca.
- Poczekaj pan? – zapytał Dahl. – To potrwa tylko parę minut.
- Muszę włączyć licznik.
- Nie ma sprawy.

Andy wysiadł z samochodu, podszedł do drzwi i zapukał. Otworzyła kobieta.

- Nie, nie potrzebuję więcej egzemplarzy „Strażnicy” – powiedziała.
- Słucham?
- Ani *Księgi Mormona*. To znaczy dziękuję. Miło, że o mnie pomyśleliście. Lecz na razie mi wystarczy.
- Mam coś dla pani – powiedział Andy – ale nie jest to żadna z rzeczy, które pani wymieniła. Proszę mi jednak najpierw powiedzieć: czy pani nazywa się Samantha Martinez?

– Tak.

– Jestem Andy Dahl. Można powiedzieć, że prawie mamy wspólnego przyjaciela. – Podał jej niewielkie pudełko.

Martinez spojrzała na niego, jednak nie przyjęła pudełka.

– Co to jest?

– Niech pani otworzy.

– Proszę mi wybaczyć, panie Dahl. Jestem podejrzliwa wobec nieznanomych mężczyzn, którzy zjawiają się pod moimi drzwiami w sobotni poranek, pytają o nazwisko i wręczają tajemnicze paczki.

Uśmiechnął się.

– Słusznie. – Otworzył pudełko, pokazując jej niewielkie czarne urządzenie w kształcie półkuli – był to projektor holograficzny. Włączył.

Nad urządzeniem pojawił się obraz kogoś podobnego do Samantha Martinez. Ubrana w suknię ślubną stała uśmiechnięta obok mężczyzny będącego ogoloną wersją Jenkinsa. Podał jej urządzenie.

Martinez przyglądała się hologramowi przez dłuższą chwilę.

– Nie rozumiem – powiedziała.

– To skomplikowane – przyznał Dahl.

– Wkleił pan w to moją twarz za pomocą Photoshopa? – zapytała. – I co to w ogóle jest? Jakiś nowy gadżet od Apple’a?

– Jeżeli pyta pani, czy manipulowałem obrazem, to odpowiedź brzmi: nie – odparł. – Co się tyczy projektora, powiedzmy, że jest to rodzaj prototypu. – Dotknął niewidocznego przycisku, wyświetlając obraz Jenkinsa i Martinez patrzących sobie czule w oczy. Po kilku sekundach pojawiło się kolejne zdjęcie.

– Nie rozumiem – powtórzyła Martinez.

– Jest pani aktorką.

– Byłam. Zajmowałam się tym przez kilka lat, niestety, wielkiej kariery nie zrobiłam. Dziś jestem nauczycielką.

– Gdy pracowała pani jeszcze jako aktorka, zagrała pani niewielką rolę w *Kronikach „Nieustraszonego”*. Pamięta pani?

– Tak. Moja postać zginęła, zastrzelona. Na ekranie byłam może przez minutę...

– To jest właśnie ta postać – wyjaśnił Dahl. – Nazywała się Margaret. A ten mężczyzna to jej mąż. – Podał jej projektor.

Martinez przyjrzała się, a potem odstawiła urządzenie na stolik przy drzwiach.

– Czy to jakiś żart? – zapytała.

– Nie, proszę pani. Nie próbuję pani oszukać ani niczego pani sprzedać. Więcej mnie już pani nie zobaczy. Jestem tylko kurierem, to wszystko.

– Wciąż nie rozumiem. Skąd pan ma moje zdjęcia z kimś, kogo nawet nie znam?

– To nie moje zdjęcia, tylko jego – odparł Andy i podał jej pudełko. – Proszę, w środku jest wiadomość, która chyba najlepiej wszystko wyjaśni.

Martinez otworzyła pudełko i wyjęła ze środka złożoną kartkę papieru, gęsto pokrytą odręcznym pismem.

– To od niego? – zapytała.

– Tak.

– A dlaczego jego tutaj nie ma? Dlaczego sam jej nie dostarczył?

– To skomplikowane – powtórzył swoje słowa Andy. – Myślę, że nawet gdyby mógł tu być, bałby się tego spotkania. I że mogłoby mu ono złamać serce.

– Z jej powodu?

– Tak.

– Czy on chce mnie poznać? Czy w ten sposób się przedstawia?

– Chyba można tak powiedzieć – potwierdził Dahl. – Lecz obawiam się, że fizycznie nie jest się w stanie z panią spotkać.

– Dlaczego?

– Bo musi być gdzie indziej. Tak najprościej mogę to wytłumaczyć. Może ten list wyjaśni to lepiej.

– Przepraszam, że się powtarzam, ale wciąż nie rozumiem – powiedziała Martinez. – Zjawia się pan pod moimi drzwiami i pokazuje mi zdjęcia kogoś, kto wygląda zupełnie jak ja; kto, jak pan twierdzi, jest kimś, kogo grałam przez minutę w serialu. W dodatku ona nie żyje, a jej mąż przysłał mi liścik. Wie pan, jak idiotycznie to brzmi?

– Wiem.

– Po co miałyby to robić? Jaki to ma sens?

– Pyta pani o moje zdanie?

– Tak.

– Robi to, bo tęskni za żoną. Tęskni za nią tak bardzo, że zżera go to od środka. W pewnym sensie, choć trudno to zrozumieć, fakt, że pani żyje, oznacza, że żyje też jego żona. Dlatego wysłał pani tę wiadomość. Chce oddać pani tę część jej życia, którą z nią przeżył.

– Ale po co?

– Żeby w ten sposób pogodzić się z jej odejściem – odparł Andy. – Oddaje ją pani po to, żeby móc żyć dalej.

– Powiedział panu...?

– Nie. Jednak wierzę, że tak właśnie jest.

Martinez zniknęła na chwilę w głębi mieszkania, po czym wróciła, ocierając oczy chusteczką. Spojrzała na Dahla i uśmiechnęła się niepewnie.

– To z pewnością najdziwniejszy sobotni poranek, jaki mi się ostatnio przydarzył.

– Przepraszam.

– Nie ma za co. Tyle że wciąż nie rozumiem. I mam nadzieję, że pomagam pańskiemu przyjacielowi.

– Myślę, że tak. Dziękuję pani za to.

– Och, proszę mi wybaczyć – powiedziała Martinez i zaprosiła Dahla gestem do środka. – Wejdzie pan?

– Bardzo chętnie, niestety, nie mogę. Czeka na mnie taksówka, a także przyjaciele.

– Wraca pan do tego tajemniczego odległego miejsca, z którego pan przybył?

– Tak – odparł. – Aha, byłbym zapomniał. Projektor i list znikną zapewne w ciągu kilku dni.

– To znaczy rozplyną się w powietrzu? Coś w rodzaju „ten list ulegnie samozniszczeniu za pięć sekund”?

– Coś takiego – potwierdził.

– Jest pan szpiegiem czy kimś podobnym? – zapytała Martinez z uśmiechem.

– To skomplikowane – po raz trzeci dziś powiedział Dahl. – W każdym razie proponuję sporządzenie kopii. Może pani wyświetlić obrazy na ścianie i sfotografować je, a list zeskanować.

– Tak zrobię. Dzięki za radę.

– Proszę bardzo – powiedział Andy i odwrócił się.

– Chwileczkę, ten pański przyjaciel... zobaczy się pan z nim po powrocie?

– Tak.

Martinez przestąpiła przez próg i pocałowała Dahla lekko w policzek.

– Proszę mu to ode mnie przekazać. I podziękować. I powiedzieć, że zajmę się Margaret jak należy.

– Przekazę mu na pewno. Obiecuję.

– Dziękuję. – Nachyliła się i pocałowała go w drugi policzek. – A to dla pana.

Dahl zaczerwienił się.

– Dziękuję.

Martinez odpowiedziała promiennym uśmiechem i zamknęła za sobą drzwi.

\* \* \*

– A więc jesteś gotów na to wszystko? – zwrócił się Dahl do Hestera, gdy dotarli na pokład promu.

– Oczywiście, że nie. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to gdy wy wrócicie do naszej rzeczywistości, ja z obecnego świetnie funkcjonującego ciała przeniosę się do ciała pogrążonego w śpiączce po ciężkim wypadku, a moją jedyną nadzieją będzie, że nie mylimy się co do możliwości medycyny w dwudziestym piątym wieku. A jeżeli coś pójdzie niezgodnie z planem, to za czterdzieści osiem godzin moje atomy zrobią „pyk!” i znikną. Czy można przygotować się na coś takiego?

– Słusznie – rzekł Dahl.

– Chciałbym wiedzieć, jak zdołałeś mnie na to namówić?

– Najwyraźniej mam dar przekonywania.

– Z drugiej strony ja jestem tym gościem, który zgodził się przechować prochy Finna, bo uwierzył, że to słodyczne.

– Jeżeli dobrze sobie przypominam, były lukrowane. – Andy się zaśmiał.

– Chcę powiedzieć, że jestem łatwowierny i mam słabą wolę.

– Nie zgadzam się z tą oceną.

– A jednak zdołałeś mnie przekonać do uczestnictwa w swoim szalonym planie.

Podeszli do noszy, na których, otoczone przez podtrzymującą życie aparaturę, leżało nieruchome ciało Matthew Paulsona. Duvall sprawdzała, czy wszystko jest w porządku.

– Co z nim? – zapytał Dahl.

– Jest stabilny. Urządzenia działają poprawnie, a na promie są zasilacze, których będę mogła użyć, więc nie musimy martwić się o baterie. Jeżeli do naszego powrotu jego stan nie pogorszy się jakoś dramatycznie, to wszystko powinno być okej.

– A jeżeli się pogorszy?

Maia spojrzała na Dahla.

– Wtedy zrobię, co będę mogła, wykorzystam całą wiedzę medyczną, jaką posiadam. – Poklepała go po ramieniu. – Nie martw się. Nie zawiodę was.

– Czas startować – odezwał się Kerensky z fotela pilota. – Nasz przelot z Griffith Park nie przeszedł niezauważony i co najmniej trzy statki powietrzne kierują się w tę stronę, żeby sprawdzić, co się dzieje. Za parę minut zaczną robić się gorąco.

– Jasne. – Dahl spojrzał na Hestera. – A więc jesteś gotów?

– Tak – odparł.

Wyszli z promu, który stał zaparkowany w ogrodzie Charlesa Paulsona w Malibu. Paulson i członkowie jego rodziny zgromadzili się na trawniku, czekając na Hestera. Hanson, który dotrzymywał im towarzystwa, opuścił ich i dołączył do Dahla. Hester stanął obok Paulsona.

– Kiedy będzie coś wiadomo? – zapytał ten ostatni.

– Bierzemy kurs na naszą czarną dziurę – odrzekł Dahl. – Cała naprzód i wieczorem powinniśmy być na miejscu. Zapewne dowiecie się o tym, gdy pański syn obudzi się ze śpiączki.

– Jeżeli plan zadziała.

– Jeżeli zadziała. Zakładamy, że tak.

- Tak zakładamy – potwierdził Hester.
- A więc – Andy zwrócił się do Paulsona – jesteście dogadani?
- Tak jest – potwierdził producent. – Odtąd żadna z waszych postaci nie zginie. Przystaniemy też zabijać przypadkowych statystów. Sam serial zakończy się w następnym sezonie i na przestrzeni stu lat w waszej osi czasu nie umiejscowimy żadnego nowego.
- A najbliższy odcinek? W którym wydarza się wszystko, co zaplanowaliśmy?
- Wstępna wersja scenariusza jest prawie gotowa. Nick dał mi znać parę minut temu. Gdy tylko skończy pisać, a ja zrobię ostateczną redakcję, skierujemy go do produkcji... oczywiście gdy będziemy już wiedzieć, czy twój plan zadziałał.
- Zadziała na pewno – powiedział Dahl.
- Terminy będą napięte jak cholera – rzekł Paulson. – Będę musiał płacić nadgodziny z własnej kieszeni.
- W szczytnym celu.
- Wiem. Jeżeli wszystko zadziała, będzie to dla was niezwykle odcinek.
- Oczywiście – potwierdził Andy, a Hester dyskretnie przewrócił oczami.
- Słyszę helikoptery! – zawołał Jimmy.
- Silniki promu zagrały głośniej. Dahl spojrzał na Hestera.
- Powodzenia – rzekł Hester.
- Do zobaczenia wkrótce – powiedział Andy i wszedł na pokład promu.
- Wystartowali, zanim helikoptery dotarły na miejsce.

\* \* \*

- Już czas – oznajmił Kerensky, gdy zbliżyli się do czarnej dziury. – Przygotujcie się do przejścia. Dahl, zajmij fotel drugiego pilota.
- Nie umiem pilotować promu – zaprotestował Andy.
- Nie chcę, żebyś go pilotował, a jedynie uruchomił sekwencję automatycznego naprowadzania i lądowania, gdyby miało się okazać, że ten



kretyn scenarzysta znowu przygotował dla mnie jakąś paskudną niespodziankę.

Dahl wstał i spojrzał na Duvall.

– Jak Hester?

– Wszystko w porządku – odparła. – Lecz nie jest jeszcze Hesterem.

– Mimo wszystko tak go nazywajmy. Może to będzie miało znaczenie.

– Ty tu rządzisz.

Dahl usiadł w fotelu drugiego pilota.

– Wiesz, co robić, prawda? – zapytał Kerensky'ego.

– Wziąć kurs na lukę pomiędzy dyskiem akrecyjnym i promieniem Schwarzschilda i zwiększyć moc silników o dziesięć procent powyżej maksymalnej – odparł Anatolij cierpko. – Bez obaw. Chociaż trochę szkoda, że nie mogłem być przy tym, gdy robiliśmy ten manewr poprzednim razem. Bo byłem zamknięty w skrzyni. Bez spodni.

– Przykro mi... – przeprosił Andy.

– Nie żeby to miało jakieś znaczenie – powiedział Kerensky. – Nie zapominajcie, że jestem waszym amuletem. Ta część pójdzie jak z płatka.

– Mam nadzieję, że pozostałe też.

– Jeżeli twój plan się powiedzie – zauważył astropilot – skąd będziemy wiedzieli, że tak jest?

– Gdy obudzimy Hestera, on będzie Hesterem.

Zabrzączał czujnik.

– Przejście za dziesięć sekund – ogłosił Kerensky. – Czyli dowiemy się dopiero wtedy, gdy znajdziemy się na „Nieustraszonym”?

– Zapewne tak.

– Zapewne?

– Przychodzi mi do głowy sytuacja, w której dowiemy się wcześniej.

– Jaka?

Prom wcisnął się w poszarpaną krawędź między dyskiem akrecyjnym i promieniem Schwarzschilda, dokonując natychmiastowego przejścia. Na

ekranie pojawiła się planeta Forshan, a ponad nią tuzin statków, w tym „Nieustraszony”.

Toczyły zaciętą bitwę.

Wszystkie czujniki i lampki ostrzegawcze na pokładzie promu zaczęły brzęczeć i błyskać. Jeden z pobliskich statków wystrzelił w ich stronę salwę torped.

– Właśnie taka – powiedział Andy.

Kerensky wrzasnął i wykonał gwałtowny unik, a Dahl poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

– Nadlatuje pięć torped! – Dahl odczytał dane z komputera drugiego pilota, próbując opanować mdłości.

– Wiem – potwierdził Kerensky.

– Moc silników spadła do minimalnej. Spaliliśmy je przy przejściu.

– Wiem – powtórzył Anatolij.

– Opcje obronne?

– To prom, na miłość boską! Właśnie je stosuję. – Wykonał nagły korkociąg.

Torpedy rozproszyły się, podążając za nimi. Na ekranie zabłysł napis.

– Trzy torpedy na kursie! – zawołał Andy. – Trafienie za sześć sekund!

Kerensky podniósł wzrok, jakby zwracał się ku niebu.

– Jestem postacią pierwszoplanową, do cholery! Zrób coś!

Promień światła wystrzelił z „Nieustraszonego” i najbliższa torpeda eksplodowała. Anatolij wykonał zwrot, żeby uniknąć trafienia odłamkami. Laserowy miotacz „Nieustraszonego” zlikwidował kolejno pozostałe cztery torpedy.

– Uff, udało się! – zawołał Kerensky z ulgą.

– I to dosłownie w ostatniej chwili. – Dahl także był zdumiony.

Zadzwoił telefon.

– Kerensky, zgłoś się! – Usłyszeli głos Abernathy’ego.

– Tu Kerensky.

– Kończy nam się czas. – W głosie kapitana było napięcie. – Macie nośnik?

Nośnik...? Dopiero po chwili Andy przypomniał sobie, że w ciele Hestera znajdują się obce komórki, których sekwencja DNA jest zaszyfowaną wiadomością zawierającą testament i ostatnią wolę przywódcy prawomyślnego odłamu forshańskiej religii. Po odszyfrowaniu

mogła ona zakończyć wojnę na planecie, co oczywiście nie było w smak liderom wszystkich walczących stron – i dlatego właśnie były tu te wszystkie statki: żeby zestrzelić prom. Potem Dahl uświadomił sobie, że zaledwie parę sekund wcześniej nic z tego nie było prawdą.

Teraz już było.

– Mamy nośnik – potwierdził Anatolij. – To szeregowiec Hester. Ale jest w bardzo kiepskim stanie, sir. Z trudem utrzymujemy go przy życiu.

Kontrolki na kokpicie drugiego pilota znowu rozbłysły na czerwono.

– Trzy kolejne torpedy! – zawołał Dahl, a Kerensky gwałtownie szarpnął sterami, wykonując unik.

– Kerensky, tutaj główny oficer medyczny Hartnell – dobiegło z głośników. – Układ odpornościowy Hestera walczy z tymi komórkami, lecz przegrywa. Jeżeli zaraz go nie dostarczycie, umrze, a one wraz z nim.

– Jesteśmy pod ostrzałem – mruknął Kerensky w odpowiedzi. – To utrudnia latanie.

Wiązka laserowa wytrysnęła z „Nieustraszonego”, likwidując kierujące się w ich stronę trzy nowe torpedy.

– Niech pan się martwi, jak dostarczyć nośnik, Kerensky – powiedział Abernathy. – My zajmiemy się torpedami. Bez odbioru.

– Nośnik? – zapytała Duvall ze swojego fotela w głębi kabiny. – Komórki z wiadomością zakodowaną w sekwencji DNA? Przecież to nie ma sensu!

– Weinstein miał niewiele czasu na napisanie tego odcinka. Nie bądź dla niego zbyt surowa – odparł Dahl.

– Napisał również to? – Astropilot wskazał toczącą się przed nimi bitwę. – Jeżeli jeszcze go spotkam, dam mu popalić!

– Skupmy się – poprosił Andy. – Musimy dotrzeć na „Nieustraszonego” i nie dać się zabić.

– Myślisz, że syn Paulsona jest już w starym ciele Hestera? – zapytał tymczasem Kerensky.

– Co takiego?

– Pytam, czy zamiana doszła do skutku?

Dahl spojrział na ciało na noszach.

– Nie mam pojęcia. Może tak.

– To mi wystarczy. – Kerensky przestał robić uniki i dał całą naprzód, kierując prom prosto na „Nieustraszonego”. Otaczające ich forshańskie statki natychmiast bluznęły w ich stronę salwami torped, rakiet samonaprowadzających i wiązek laserowych. „Nieustraszony” rozjarzył się niczym świąteczna choinka, rozpoczynając kanonadę ze wszystkich luf, żeby ochronić prom.

– Kiepski pomysł – powiedział Dahl do Kerensky’ego, który wpatrywał się przed siebie ponurym wzrokiem, nie zbacząc ani trochę z kursu.

– Przeżyjemy albo umrzemy – odparł. – Po co pierdolić się w tańcu?

– Lubilem cię bardziej, zanim zostałeś fatalistą.

Kilkadziesiąt metrów od prawej burty eksplodowała torpeda, spychając prom z kursu. Dławiki inercji włączyły się moment za późno, a rufa promu, gdzie byli Hester, Duvall i Hanson, zatrzęsała się gwałtownie.

– Nie leć na torpedy! – krzyknął Andy.

– To wina scenarzysty – odparł spokojnie pierwszy pilot.

– Kiepska wymówka! – rzuciła Maia.

Promem znowu szarpnęło, gdy obok wybuchła kolejna torpeda, o włos tylko chybiając celu. Po kilku chwilach, które zdawały się trwać wieczność, prom minął wreszcie zgrają forshańskich drapieźników, zbliżając się do „Nieustraszonego”.

– Dok cumowniczy jest na rufie – zauważył Dahl. – Kierujemy się w niewłaściwą stronę.

– To jest moment, w którym dowiadujemy się, czy scenarzysta uważa mnie za prawdziwego kozaka – powiedział Kerensky i pchnął stery, prześlizgując się odwrotną spiralą nad grzbietem „Nieustraszonego”, który zogromniał nagle na przednim ekranie, podczas gdy nieprzyjacielskie torpedy eksplodowały – zdawałoby się – centymetry od nich, wprawiając prom w gwałtowne wibracje. Dahl był pewien, że roztrzaskają się o kadłub „Nieustraszonego”, tymczasem byli już w doku. Lądowanie było twarde; prom zatrzymał się z piekielnym zgrzytem i coś odpadło z podwozia.

Kerensky wydał okrzyk radości i wyłączył silniki.

– Tak się robi kawał dobrej telewizji! – zawołał.

– Nigdy więcej z tobą nie latam – oświadczyła Duvall z tylnej części kabiny.

– Nie mamy chwili do stracenia! – niespodziewanie rzucił Kerensky głosem pełnym napięcia; jego zachowanie zmieniło się tak raptownie, że Dahl nie miał wątpliwości, iż Narracja przejęła nad nim kontrolę. – Musimy przetransportować Hestera do ambulatorium. Dahl, po lewej. Duvall, Hanson, po prawej. Ruchy, ludzie!

Andy rozpiął pasy i podbiegł do noszy, czując, że kręci mu się w głowie. Kerensky użył nazwiska Hestera, będąc we władzy Narracji.

– Znaleźliśmy się na pokładzie, a to oznacza, że nieprzyjaciel zaatakuje „Nieustraszonego” – dodał Kerensky. – Musimy się pospieszyć.

Podłoga pod nogami zatrzęsała się ponownie, tym razem mocniej.

– Trochę wam się zeszło – zauważył oficer medyczny Hartnell, gdy wbiegli z noszami do izby chorych. – Jeszcze trochę i nie byłoby już ambulatorium. Ani reszty statku.

– Nie możemy się ewakuować? – Dahl usłyszał własny głos, manewrując noszami.

– Silniki ucierpiały w ataku – odparł Hartnell. – Jesteśmy unieruchomieni. Jeżeli czym prędzej nie wydobędziemy wiadomości z tego chłopaka, będzie po nas. Raz, dwa, trzy, w górę z nim!

Podnieśli nieprzytomnego Hestera i przełożyli na stół operacyjny. Hartnell włączył podręczny komputer; w tym momencie ciało chłopaka zeszywniało.

– Jest w śpiączce – stwierdził Hartnell. – Jego stan będzie stabilny, dopóki nie skończymy. – Spojrzał na ekran i zmarszczył czoło. – A cóż tu robią te złamania i wstrząśnienie mózgu?

– Lot był niezwykle burzliwy – odparł Kerensky.

Hartnell spojrzał na niego, jakby chciał coś powiedzieć, ale wtedy statkiem targnęło tak silnie, że wszyscy poza Hesterem znaleźli się na podłodze.

– Niedobrze – powiedziała Maia.

Zabrzącał telefon lekarza.

– Tu kapitan – rozległ się głos Abernathy’ego. – Jaki jest stan nośnika?

– Żywy i w śpiączce – powiedział Hartnell. – Za chwilę pobiorę próbkę obcych komórek, żeby rozpocząć proces odkodowywania.

Rozległ się huk i statek znów zadrżał gwałtownie.

– Musicie się pospieszyć – rzekł Abernathy z napięciem w głosie. – Jesteśmy pod ostrzałem, którego długo nie wytrzymamy. Potrzebujemy tej wiadomości natychmiast.

– Natychmiast się nie da – odparł Hartnell. – Ile mamy czasu?

Kolejny wstrząs i światła zamigotały.

– Mogę wam dać dziesięć minut. Ale postarajcie się wcześniej – rzucił dowódca i rozłączył się.

Hartnell powiódł wzrokiem po obecnych.

– Jesteśmy w dupie – stwierdził.

Dahl mimowolnie się uśmiechnął. To nie brzmiało, jakby przemawiała przez niego Narracja – pomyślał.

– Andy – powiedział Hanson. – Maszyna.

– O cholera. Rzeczywiście, Maszyna.

– Co to za maszyna? – zainteresował się Hartnell.

– Proszę jak najszybciej pobrać próbkę i dać ją mnie – zwrócił się do niego Dahl.

– Po co?

– Zabiorę ją do laboratorium ksenobiologii i tam zbadam.

– Tutaj mamy równie dobry sprzęt, więc nie widzę powodu... – zaczął lekarz.

Andy spojrział błagalnie na Anatolija.

– Po prostu mu ją daj, Hartnell – rzucił z naciskiem Kerensky. – Zanim wszyscy zginiemy.

Lekarz zmarszczył brwi, ale wbił strzykawkę w ramię Hestera, a potem odłączył zasobnik z próbką i podał Dahlowi.

– Proszę. A teraz chcę wiedzieć, o co tu chodzi.

– Andy – rzekł Hanson – żeby dostać się stąd do ksenobiologii, trzeba iść przez pokład szósty.

– Słusznie – powiedział Dahl i zwrócił się do Kerensky’ego. – Proszę pójść ze mną, sir.

– Czy ktoś mi wreszcie wytłumaczy, co tu się, u diabła, dzieje? – zapytał ponownie Hartnell, ale Dahl i Kerensky byli już na korytarzu.

– O co chodzi z pokładem szóstym? – zapytał Anatolij, gdy już biegli.

– Zwykle obrywa, gdy jesteśmy atakowani – wyjaśnił Andy. – Tak jak teraz.

– A ty używasz mnie jako amuletu, jeżeli dobrze rozumiem?

– Nie do końca.

Pokład szósty płonął, wstrząsany eksplozjami.

– Nie ma przejścia! – zawołał Kerensky, przekrzykując hałas.

– Chodź – powiedział Dahl i nacisnął guzik otwierający drzwi do szybu towarowego.

Podmuch gorącego powietrza z pokładu szóstego wtargnął do środka. Anatolij przestąpił próg, a Andy czym prędzej zamknął drzwi. Coś wybuchło w korytarzu.

– Tędy! – krzyknął i precyzyjnie się obok wózków do drzwi na drugim końcu szybu, docierając z powrotem do głównego korytarza.

Porucznik Collins nie sprawiała wrażenia uszczęśliwionej widokiem swojego byłego podwładnego.

– Co pan tu robi, poruczniku? – zapytała.

Dahl zignorował ją i wszedł na zaplecze po Maszynę.

– Hej, nie wolno jej używać przy Kerenskym! – zawołała Collins i podeszła bliżej.

– Jeżeli zrobi jeszcze krok, unieszkodliw ją – rzucił Dahl do Kerensky’ego.



– Jasne.

Collins znieruchomiała.

– Zabierz jej tablet – polecił Andy, co Anatolij niezwłocznie uczynił.

– Ile czasu? – zapytał, podłączając Maszynę do zasilania.

– Siedem minut.

– Zdążymy. – Umieścił zasobnik z próbką w Maszynie i nacisnął zielony guzik. Wziął tablet Collins od Kerensky’ego, wylogował ją i zalogował się na własne konto.

– I co teraz? – zapytał Anatolij.

– Czekamy.

– Ile?

– Aż napięcie wzrośnie.

Kerensky spojrział na Maszynę.

– A więc to ta skrzynka uratowała mi życie, gdy zapadłem na dżumę merowiańską?

– Tak jest.

– To śmieszne.

Collins spojrzała na Anatolija, zdumiona.

– Ty wiesz? Nie powinieneś tego wiedzieć.

– Na obecnym etapie wiem o wiele więcej od ciebie – oznajmił Kerensky.

Maszyna zabręczczała i na ekranie tabletu wyświetliły się rzędy danych. Dahl rzucił na nie okiem.

– Okej – powiedział. – Wracamy do ambulatorium.

Wybiegli z laboratorium i popędzili szybem towarowym.

– Już prawie jesteśmy – oznajmił Kerensky, gdy wyszli z szybu i znaleźli się na pogrążonym w kłębach dymu pokładzie szóstym.

W tym momencie statek zatrzęsł się gwałtownie i sufit pokładu szóstego zwałił się prosto na Dahla, a ostry odłamek blachy przebił mu wątrobę. Andy spojrział na swój brzuch, a potem na Kerensky’ego.

- Nie musiałeś tego mówić – wyszeptał ustami pełnymi krwi.
- O Boże, chłopie! – Wstrząśnięty Anatolij rzucił się go odgruzowywać.
- Przestań – rzekł Dahl.

Kerensky zignorował go.

- Przestań – powtórzył z naciskiem.

Kerensky przestał. Andy podał mu tablet.

– Nie ma czasu. Weź wyniki. Wprowadź je do komputera w laboratorium. Nie pozwól Hartnellowi dyskutować. Gdy dane znajdą się w komputerze, włączy się Narracja i wszystko załatwi. Ale bądź tam. Pospiesz się.

– Andy...

– Dlatego wziąłem cię ze sobą – wychrypiał ranny. – Wiedziałem, że jeżeli mnie się coś przytrafi, ty zdołasz wrócić. A teraz idź. Dobiegnij do mety, stary. Dobiegnij do mety.

Kerensky skinął głową, wziął tablet i popędził.

Dahl leżał na podłodze, przyszpilony kawałem metalu. Zachowując resztki świadomości, próbował myśleć o tym, że Hester przeżyje, statek zostanie uratowany, a jego przyjaciele przeżyją resztę życia nieniepokojeni przez Narrację. Potrzebna była tylko śmierć jeszcze jednego statysty. Jego. To uczciwa wymiana – próbował się pogodzić z tym, jak wszystko się potoczyło. Uczciwa wymiana. Uratował przyjaciół. Uratował Matthew Paulsona. Ocalił „Nieustraszonego”. Uczciwa wymiana... Jednak gdy wszystko powoli szarzało i stopniowo osuwało się w ciemność, ostatnia myśl przebiegła mu przez głowę. Pieprzyć to, chcę żyć – brzmiała.

A potem i tak nastąpiła ciemność.

\* \* \*

– Nie dramatyzuj – powiedział ktoś. – Wiemy, że jesteś przytomny.

Andy otworzył oczy.

Stali nad nim Hester, a obok niego Duvall i Hanson.

Dahl uśmiechnął się do Hestera.

– Udało się – powiedział. – To ty. Naprawdę się udało.

– Oczywiście, że się udało – odparł Hester. – Dlaczego miałyby się nie udać?

Andy zaśmiał się słabo. Próbował wstać, ale nie mógł.

– Jesteś unieruchomiony w krześle rehabilitacyjnym – wyjaśniła Maia. – Miałeś przebitą wątrobę, rozległe oparzenia i połamane żebra. Ciesz się, że nie możesz się ruszać, bo nie byłoby to przyjemne uczucie.

– Od jak dawna w tym jestem?

– Czwarty dzień – odparł Hanson. – Byłeś w kiepskim stanie.

– Myślałem, że już po mnie.

– Umarłbyś, gdyby ktoś cię nie uratował – powiedziała Duvall.

– Kto?

Ujrzał nad sobą kolejną twarz.

Jenkins.

– Byłeś przy samym wyjściu z szybu towarowego. Pomyślałem, że co mi szkodzi.

– Dziękuję ci.

– Nie ma za co. Zrobiłem to wyłącznie z wyrachowania. Gdybyś umarł, nigdy bym się nie dowiedział, czy przekazałeś moją wiadomość.

– Przekazałem.

– I jak poszło?

– Bardzo dobrze. Przesyła ci ucałowania.

– Może innym razem – rzekł Yeti.

– O czym wy rozmawiacie? – zdziwiła się Maia.

– Później ci wyjaśnię – powiedział Dahl i spojrzął na Jenkinsa. – A więc postanowiłeś się ujawnić.

– Tak. Najwyższy czas.

– Świetnie.

– Dobra wiadomość jest taka, że wszyscy robimy za bohaterów – wtrącił Hester. – Wiadomość zaszyfrowana w moim ciele została odkodowana

i nadana w eter przez „Nieustraszonego”, co zakończyło wojnę religijną na Forshanie. Mieliśmy szczęście.

– Zdumiewające. – Andy się uśmiechnął.

– Oczywiście, jeżeli się nad tym głębiej zastanowić, ta cała historia była kompletnie bez sensu.

– Od samego początku – zgodził się Dahl.

Później, gdy wizyta przyjaciół dobiegła już końca, miał jeszcze jednego gościa.

– Komandorze Q'eeng?

– Poruczniku Dahl – rzekł Q'eeng. – Jak rekonwalescencja?

– Podobno dobrze, sir.

– Porucznik Kerensky przekazał mi, że to pan rozszyfrował wiadomość, dzięki czemu mogliśmy nadać ostatnią wolę przywódcy prawomyślnego odłamu forshańskiej religii i zakończyć tę wojnę.

– Zapewne tak – odparł Dahl – chociaż z całą pewnością nie była to wyłącznie moja zasługa.

– Pomimo to – rzekł Q'eeng – w uznaniu odwagi i poświęcenia zgłosiłem pana do odznaczenia. Jeżeli wniosek zostanie przyjęty, a nie wątpię, że tak się stanie, otrzyma pan awans. Niechże więc będę pierwszym, który to powie: gratulacje, panie poruczniku.

– Dziękuję, sir.

– Jest jeszcze coś. Dosłownie kilka minut temu otrzymałem ściśle tajną wiadomość ze sztabu głównego. Polecono mi osobiście ją panu odczytać.

– W porządku, sir. Jestem gotów.

Q'eeng wyciągnął telefon, otworzył wiadomość na ekranie i odczytał ją:

– „Andy, nie wiem, czy ten list do ciebie dotrze. Nick napisał całą scenę, a my ją nakręciliśmy. Oczywiście, ostatecznie ten kawałek nie wejdzie na antenę. Nie wiem, czy samo sfilmowanie wystarczy, a ty zapewne nie masz jak tego sprawdzić. Jeżeli jednak nasz plan się powiódł, to chcę, żebyś wiedział dwie rzeczy. Po pierwsze, przykro mi z powodu tego, przez co musiałeś przejść, Nick uważał, że musimy pójść na całość, żeby ktoś nie zaczął zadawać niewygodnych pytań. Być może, biorąc pod uwagę twój

obecny stan, nie jest to dla ciebie szczególnie przekonujący argument. Wtedy jednak brzmiał sensownie. Po drugie, żadne słowa nie wyrażą mojej wdzięczności wobec ciebie, Jaspera i reszty z was za to, co učiniliście dla mnie i mojej rodziny. Zwróciłeś mi syna, a w ten sposób zwróciłeś mi wszystko. Dotrzymamy umowy, którą z wami zawarliśmy. Zrobimy wszystko, co obiecaliśmy. Nie wiem, co jeszcze mogę powiedzieć, z wyjątkiem tej jednej rzeczy: dziękuję ci za szczęśliwe zakończenie. Odwzajemnimy się. Z miłością i wdzięcznością. Charles Paulson”.

– Dziękuję – powiedział Dahl po chwili.

– Proszę – odparł Q’eeng, chowając telefon. – Bardzo dziwna wiadomość.

– Powiedziałbym, że jest napisana szyfrem, sir.

– Czy zdradzi pan przełożonemu, o co w tym wszystkim chodzi?

– To list od Boga – odparł Andy. – Albo kogoś równie potężnego z naszego punktu widzenia.

Q’eeng przyjrzał mu się badawczo.

– Czasami mam wrażenie, że na „Nieustraszonym” dzieją się rzeczy, o których wcale nie jest przeznaczone mi wiedzieć.

– Z całym szacunkiem, sir. Nawet pan sobie nie wyobraża, jak wielką ma pan słusność.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

– I co teraz? – zapytała Duvall.

Siedzieli całą czwórką w mesie, jedząc obiad.

– Co masz na myśli? – zdziwił się Hester.

– No, co dalej? – Maia wycelowała w niego palcem. – Ty dostałeś nowe ciało, on – tu wskazała na Dahla – zmartwychwstał, a wszyscy wróciliśmy z alternatywnej rzeczywistości, gdzie udaliśmy się, żeby uniknąć śmierci na ekranie. Odnieśliśmy sukces, wygraliśmy. I co teraz?

– To chyba tak nie działa – rzekł Hanson. – Nie wydaje mi się, żebyśmy cokolwiek wygrali, z wyjątkiem kontroli nad własnym życiem.

– Racja – zgodził się Hester. – Od dzisiaj, jeżeli któregoś ranka poślizgnę się w łazience i rozbiję sobie łeb o brzeg wanny, przynajmniej będę mógł pomyśleć: Sam sobie to zrobiłem.

– Gdy tak to ujmujesz, nie wydaje się, żeby gra była warta świeczki – powiedziała Duvall.

– Nie mam nic przeciwko temu, żeby sobie rozbić łeb podczas kąpieli – dodał Hester. – Pod warunkiem że będę miał wtedy sto dwadzieścia lat.

– W twoje stu dwudzieste urodziny zjawię się u ciebie z pastą do pastowania podłogi – obiecała Maia.

– Nie mogę się doczekać.

– Andy, wszystko w porządku? – zapytał Jimmy.

– Tak. – Uśmiechnął się. – Przepraszam, zamyśliłem się. Nad byciem postacią fikcyjną i w ogóle.

– Teraz to już nieważne – powiedział Hester. – O to w tym wszystkim chodziło.

– Masz rację. Wiem.

Duvall spojrzała na telefon.

– Cholera, spóźnię się. Mam wdrożyć w obowiązki nowego członka załogi.

– Ach, trudy awansu... – zażartował Hester.

– Jest ciężko, naprawdę – dodała Duvall i wstała.

– Odprowadzę cię. Opowiesz mi więcej o swoich zmartwieniach.

– Świetnie – odparła i oboje wyszli.

Hanson spojrział na Dahla.

– Wciąż myślisz o byciu postacią fikcyjną?

– Coś w tym rodzaju. Ale tak naprawdę myślę o tobie, Jimmy.

– O mnie?

– Tak – odrzekł. – Bo kiedy dochodziłem do siebie po naszej ostatniej przygodzie, coś sobie uświadomiłem. Że ty nie pasujesz do schematu.

– To ciekawe. Wyjaśnisz...?

– Pomyśl – powiedział Andy. – Pomyśl o dniu, kiedy cała nasza piątka się poznała, o dniu, gdy dołączyliśmy do załogi „Nieustraszonego”. Każdy z nas okazał się w jakiś sposób istotny dla fabuły. Nawet Hester, który wydawał się pozbawiony znaczenia, okazał się kluczem do wszystkiego. Maia miała wyszkolenie medyczne i zbliżyła się do Kerensky’ego, co pomogło nam w decydującym momencie, a potem sprawiło, że stał się członkiem zespołu. Finn dał nam niezbędne narzędzia i informacje, a jego śmierć skłoniła nas do działania. Jenkins wytłumaczył, co się dzieje, i pozwolił coś z tym zrobić.

– A ty, Andy? – zapytał Hanson. – Jak ty sam pasujesz do tej układanki?

– Cóż, to też był trudny orzech do zgryzienia – przyznał Dahl. – Zastanawiałem się, jaki był mój wkład. Pomyślałem, że może byłem po prostu tym, który miał plan, gościem od logistyki. A potem zacząłem myśleć o Anatoliju i o tym, jaka jest jego rola w serialu...

– Faceta, który dostaje w kość, żeby widz wiedział, że główni bohaterowie też dostają w kość.

– Słusznie.

– Ale ty sam nie możesz być Kerenskim – powiedział Hanson. – Kerensky’ego już mamy. Jest nim Kerensky.

– Nie chodzi o to, że Kerensky ciągle obrywa. Chodzi o to, że nie umiera.

– Nie rozumiem.

– Jimmy, ile razy powinienem był umrzeć, od kiedy znaleźliśmy się na pokładzie „Nieustraszonego”? Z obliczeń wychodzi mi, że co najmniej trzy. Pierwszy raz w osadzie kolonistów na Eskridge, gdy zginęli Cassaway i Mbeke. Drugi w pokoju przesłuchań na „Nantes”, gdy Westonowi eksplodowała głowa i zginął Finn. I trzeci, wtedy na pokładzie szóstym, gdy wróciliśmy na „Nieustraszonego” z Hesterem. Trzy razy powinienem był zginąć, bez dwóch zdań. Lecz wciąż żyję. Obrywam naprawdę mocno. I nie umieram. Wtedy to do mnie dotarło. Jestem jednym z głównych bohaterów.

– Ale przecież jesteś statystą – rzekł Hanson. – Wszyscy jesteśmy statystami. Tak powiedział Jenkins. Potwierdził to Paulson. Nawet aktor grający ciebie to przyznał.

– Jestem statystą w serialu – powiedział Dahl. – A główną postacią gdzie indziej.

– Gdzie?

– Tego właśnie chcę się dowiedzieć od ciebie.

– Ode mnie? – zdziwił się Jimmy. – Jak to ode mnie?

– Bo... jak powiedziałem: nie pasujesz do schematu. Wszyscy pozostali odegrali jakąś istotną rolę w fabule. Wszyscy, oprócz ciebie. Ty po prostu kręciłeś się w pobliżu, jeżeli mogę tak powiedzieć. Masz swoją historię, jednak nigdy nie wpłynęła ona na to, co robiliśmy. Miałeś swój wkład: wyszukałeś informacje na temat serialu, przeprowadziłeś parę rozmów, przypomniałeś paru osobom o paru rzeczach. Zrobiłeś akurat tyle, żeby było widać, że coś robisz. Lecz im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że coś tu nie gra.

– Takie jest życie, Andy – powiedział Hanson. – Jest dziwne. Różne rzeczy do siebie nie pasują.

– Nie – odparł. – My pasujemy. Wszyscy pasują. Wszyscy, tylko nie ty. Chyba że jeszcze nie zrobiłeś tego, po co tu jesteś. Jeżeli dzieje się tu coś jeszcze. Wszyscy mamy myśleć, że byliśmy ludźmi, którzy odkryli, że są



drugoplanowymi postaciami w serialu telewizyjnym. Ja wiem, że to nie wyjaśnia mojego przypadku. Już kilka razy powinienem był umrzeć, tak jak Kerensky i inni główni bohaterowie mają umrzeć, ale nie umierają, bo Wszechświat ich faworyzuje. Cóż, wygląda na to, że faworyzuje też mnie.

– Może jesteście szczęściarzem.

– Nikt nie jest aż takim szczęściarzem, Jimmy. Oto, co myślę. Myślę, że nie ma żadnego serialu. Żadnego prawdziwego serialu. Myślę, że Charles Paulson, Marc Corey, Brian Abnett i cała reszta są równie fikcyjni, jak podobno jesteśmy my. Myślę, że kapitan Abernathy, komandor Q'eeng, oficer medyczny Hartnell i główny inżynier West są tu pionkami, a tak naprawdę liczą się Maia, Finn i Jasper, i ja. I myślę, że ty istniejesz w gruncie rzeczy z jednego powodu.

– Co to za powód, Andy? – zapytał Hanson.

– Żeby powiedzieć mi, czy mam rację.

– Moi rodzice byliby zdumieni wnioskami, do jakich doszedłeś.

– Moi byliby zdumieni tym wszystkim – odparł Dahl. – Jednak nie o naszych rodziców tu chodzi.

– Andy, znamy się od lat. Myślę, że wiesz, kim jestem.

– Jimmy, proszę – rzekł Dahl. – Powiedz mi, czy mam rację.

Hanson siedział przez dłuższą chwilę, spoglądając na niego.

– Nie sądzę, żebyś naprawdę poczuł się szczęśliwszy, gdybym powiedział ci, że masz.

– Nie chcę czuć się szczęśliwy. Po prostu chcę wiedzieć.

– A nawet gdybyś miał rację – powiedział Hanson – to co z tego? Nie wolisz żyć, wierząc, że czegoś dokonałeś? Że doczekałeś się happy endu, który ci obiecano? Po co miałbyś chcieć więcej?

– Bo potrzebuję wiedzieć – odparł. – Zawsze potrzebowałem.

– Bo taki już jesteś. Poszukiwacz prawdy. Człowiek uduchowiony.

– Tak.

– Ktoś, kto chce wiedzieć, czy naprawdę taki jest, czy tylko go tak napisano.

– Tak.

– Kto potrzebuje wiedzieć, czy jest panem własnego losu, czy też...

– Jeżeli masz na końcu języka to, o czym myślę, nie mów tego.

Hanson uśmiechnął się.

– Przepraszam. Rzeczywiście. – Wstał. – Andy, jesteś moim przyjacielem. Wierysz w to?

– Tak. Wierzę.

– Zatem może uwierzysz w to, co ci powiem. Nie ma znaczenia, czy jesteś statystą, czy głównym bohaterem, bo ta historia dobiega końca. Gdy się skończy, tylko od ciebie będzie zależało, kim się staniesz. Nie będzie miała na to wpływu żadna widownia ani żaden scenarzysta. Staniesz się panem własnego losu.

– Jeżeli wciąż będę istniał, mimo że nikt nie będzie pisał mojej roli.

– To prawda – zgodził się Hanson. – Interesująca kwestia filozoficzna. Jednak jeżeli miałbym zgadywać, powiedziałbym, że twój twórca chce, żebyś żył długo i szczęśliwie.

– Szkoda, że to tylko twoje domysły.

– Może nawet coś więcej – rzekł Hanson. – Powiem to: miałeś rację.

– Co do czego?

– Że zrobiłem wszystko, co miałem zrobić. A teraz muszę zrobić tę drugą rzecz, którą mam do zrobienia, czyli wrócić do roboty. Widzimy się przy kolacji?

Dahl wyszczerzył zęby.

– Jasne. Jeżeli wciąż jeszcze tu będziemy.

– Świetnie – powiedział Hanson. – Więc do zobaczenia.

I wyszedł.

Andy siedział w pustej mesie jeszcze przez jakiś czas, rozmyślając o wszystkim, co się wydarzyło, i o tym, co powiedział mu Hanson. Potem wstał i wrócił na swoje stanowisko na mostku. Bo bez względu na to, czy był fikcyjny, czy nie, na statku kosmicznym, w serialu telewizyjnym czy

zupełnie gdzie indziej, wciąż miał zadania do wykonania, podobnie jak jego przyjaciele i załoga „Nieustraszonego”.

I tym się właśnie zajmował aż do pewnego dnia pół roku później, gdy awaria urządzeń sprawiła, że „Nieustraszonego” zderzył się z niewielką asteroidą, co spowodowało potężną eksplozję. Wybuch zniszczył statek i zabił wszystkich na pokładzie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Nie, nie, żartowałem tylko. Tak naprawdę wszyscy żyli długo i szczęśliwie.

Poważnie.

## EPILOG I: PIERWSZA OSOBA

Cześć, Internauci!

Nie bardzo wiem, jak zacząć, więc pozwólcie, że od razu przejdę do rzeczy. Jestem scenarzystą serialu nadawanego przez jedną z głównych stacji telewizyjnych i właśnie odkryłem, że postaci, które wymyślam (i zabijam w tempie mniej więcej jednej na odcinek), istnieją naprawdę. W związku z tym opuściła mnie wena. Nie wiem, co z tym zrobić, a jeżeli szybko czegoś nie wymyślę, to mnie wyleją. Pomóżcie.

Od dwudziestu minut przyglądam się temu, co napisałem powyżej, i czuję się jak kompletny osioł. Pozwólcie, że wyjaśnię to wam po kolei.

„**Cześć, Internauci**” – znacie ten dowcip rysunkowy z „New Yorkera”, w którym pies siedzący przed komputerem mówi do drugiego: „W internecie nikt nie wie, że jesteś psem”? Cóż, o to właśnie chodzi.

Nie, nie jestem psem. Ale tak, potrzebuję anonimowości. No bo, na miłość boską, spójrzcie na to, co napisałem powyżej. Nie jest to coś, co odważyłbym się powiedzieć komuś prosto w twarz. Za to w internecie? Anonimowo? Może przejdzie.

„**Jestem scenarzystą...**” – naprawdę jestem. Od kilku lat pracuję przy serialu, który okazał się na tyle dużym sukcesem, że wciąż go nadają. Nie chcę się nad tym zanadto rozwodzić, bo, jak pamiętacie, próbuję zapewnić sobie anonimowość, żeby przepracować to, co mnie dręczy. Wystarczy, jeżeli powiem, że chociaż serial nie zgarnie nigdy żadnej nagrody Emmy, jest to ten rodzaj programu, jaki ty, drogi internecie, zapewne byś oglądał. I że w realnym świecie mam swoją stronę na IMDb. I to całkiem obszerną. Więc.

„**Właśnie odkryłem, że postaci, które wymyślam, istnieją naprawdę**” – tak, wiem. Wiem! Czy parę akapitów temu nie napisałem „na miłość boską”? Nie sądzicie, że zdaję sobie sprawę, jak kompletnie, zupełnie, absolutnie megawariacko to brzmi? Ależ tak. Naprawdę doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Gdybym nie uważał, że to kompletne wariactwo, pisałbym o tym na swoim blogu (gdybym go miał – lecz nie mam, bo pracuję jako scenarzysta nadawanego co tydzień serialu i kto ma na to czas...?) i szukał sposobu przerobienia tego na literaturę. Ja tego nie chcę. To już cały styl życia. Siedzenie po nocach i nadawanie podcastów dla paranoicznie nastawionych słuchaczy. Nie chcę tego. Chcę tylko wrócić do pisania.

Jednak: ludzie, których wymyśliłem, istnieją. Wiem, bo ich spotkałem, przysięgam na Boga, mogłem ich dotknąć. Kiedy któregoś z nich zabijam w scenariuszu, ta osoba ginie naprawdę. Dla mnie to tylko stawianie liter na papierze. Dla nich to upadek z dachu, potrącenie przez samochód albo pożarcie

przez niedźwiedzia czy innego stwora (podaję przykłady, moje postaci niekoniecznie ginęły w taki właśnie sposób).

Pomyślcie. Pomyślcie, co to oznacza. Wystarczy, żebym w scenariuszu napisał: „BOB zostaje pożarty przez borsuki”, żeby gdzieś we Wszechświecie jakiś biedaczyna imieniem Bob został zagryziony przez zgraję łasicowatych. Wiem, że brzmi śmiesznie, gdy w ten sposób o tym piszę. Lecz gdybyście byli Bobem...? Kiepsko, co? A potem byście umarli – przeze mnie. Co wyjaśnia kolejny fragment:

„**Opuściła mnie wena**” – wiecie, nigdy nie rozumiałem, co znaczy: „nie mieć weny”. Jesteś pisarzem i nagle masz pustkę w głowie, bo zerwała z tobą dziewczyna? Chłopie, ależ to idealny moment na pisanie! Wreszcie masz wolne noce. Masz problem z wymyśleniem następnej sceny? Niech coś wybuchnie. Bum! Gotowe. Targają tobą egzystencjalne wątpliwości? Daj spokój, weź się w garść. Tak, jesteś tylko mało znaczącym trybikiem w wielkiej maszynie historii. Jesteś mało znaczącym trybikiem, który zarabia na życie pisaniem, więc nie musi dźwigać ciężarów ani pytać klienta, czy frytki mają być z keczupem. Dorośnij i wracaj do roboty.

Jeżeli mam dobry dzień, jestem w stanie stworzyć wstępną wersję odcinka w sześć godzin. Czy napisany błyskawicznie tekst może być dobry? Nie jest to Szekspir, ale z drugiej strony Szekspir napisał *Tytusa Andronikusa*, więc oceńcie sami. Sześć godzin, jeden odcinek, dobry dzień. A muszę wam powiedzieć, że jako scenarzysta miałem takich dni niemało.

Dziś jednak cierpię na niemoc twórczą i nie mogę napisać scenariusza, bo pisząc, zabijam ludzi, kurwa mać! Według mnie to całkiem niezłe wytłumaczenie braku weny. Zostawiła cię dziewczyna? Otrząśnij się i działaj. Wysyłasz ludzi na śmierć, tłukąc w klawiaturę? Można się zamyślić. Ja w każdym razie się zamyśliłem. Teraz siedzę przed laptopem (specjalny program do pisania scenariuszy odpalony) i godzinami wpatruję się w pusty ekran.

„**Wyleją mnie**” – moja praca polega na pisaniu scenariuszy. Obecnie ich nie piszę. Jeżeli wkrótce nie zacznę, nie będą mieli powodu trzymać mnie na liście płac. Na razie udało mi się odroczyć wyrok, bo miałem jeden odcinek w zapasie, jednak to daje mi mniej więcej tydzień luzu. Niewiele. Rozumiecie, dlaczego jestem zdenerwowany.

„**Pomóżcie**” – słuchajcie, potrzebuję pomocy. Nie jest to coś, o czym mógłbym rozmawiać z ludźmi, których znam osobiście. Bo wiecie: to brzmi jak kompletne wariactwo. Nie mogę pozwolić, żeby ludzie, z którymi pracuję (albo inni scenarzyści, których większość nie ma roboty i chętnie zajęliby moje miejsce), pomyśleli, że mi odbiło. Niełatwo o taką fuchę. Tylko muszę z kimś o tym porozmawiać, bo naprawdę nie mam zielonego pojęcia, co powinienem zrobić. Potrzebuję spojrzeć na problem czyimiś oczami.

Tu zaczyna się wasza rola, drodzy internauci. Jesteście w stanie spojrzeć na sprawę z szerszej perspektywy. I domyślam się, że niektórzy z was mogą akurat nudzić się na tyle, żeby pomóc anonimowemu użytkownikowi, który pyta o radę

w kompletnie idiotycznej sytuacji. W końcu macie do wyboru to albo dalej grać w Angry Birds, prawda?

Więc co powiecie?

Z poważaniem  
Anonimowy Scenarzysta

\* \* \*

Dobra wiadomość jest taka, że ludzie najwyraźniej mnie czytają. Zła jest taka, że zamiast mi pomagać, głównie zadają pytania. Z drugiej strony to chyba dość logiczne, że jeżeli zamieścisz w internecie anonimowy wpis traktujący o tym, że twoje postaci żyją naprawdę, będziesz musiał się tłumaczyć. Niech będzie. A więc dla tych, którzy też się tym interesują, oto przegląd najczęściej zadawanych pytań. Niektóre z nich parafrazuję, żeby uniknąć powtórzeń.

### **Chłopie, ty na poważnie?**

Chłopie, ja na poważnie. Nie jestem na haju (to byłoby o wiele ciekawsze), nie zmyślam (gdybym zmyślał, płacono by mi za to) i nie jestem wariatem (to też byłoby ciekawsze). Mówię prawdę.

### **Naprawdę?**

Tak.

### **Naprawdę?**

Tak.

### **Naprawdę, naprawdę?**

Dość! Następne pytanie.

### **Dlaczego nie omówiłeś tego ze swoim psychoterapeutą?**

Bo wbrew powszechnemu przekonaniu nie każdy scenarzysta w Los Angeles uczęszcza na terapię od dnia, w którym nauczył się chodzić. Wszystkie moje nerwice są do opanowania (a w każdym razie były). Pewnie mógłbym położyć się na kozetce, lecz byłaby to wyjątkowo intensywna pierwsza sesja i wcale nie jestem przekonany, czy nie odwieźliby mnie potem prosto do czubków. Powiedzmy, że się boję.

### **Czy nie o to mniej więcej chodzi w filmie *Przypadek Harolda Cricka*?**

Może tak? To ten film, w którym Will Ferrell odkrywa, że jest postacią z książki, tak? (Wiem, mógłbym sprawdzić na IMDb, ale nie chce mi się). Tyle że ja jestem scenarzystą, a nie postacią. Więc podobny pomysł, chociaż inne wykonanie. Może tak?

Posłuchajcie, nawet jeżeli tak jest, nigdzie nie mówiłem, że to, co mi się przytrafiło, jest w stu procentach oryginalne. Jest przecież *Purpurowa róża z Kairu*, gdzie postaci schodzą z ekranu. Są powieści Jaspera Fforde'a, w których występują postaci z bajek i klasyki literatury. Są książki Denise Hogan, która

nieustannie spiera się ze swoimi bohaterami, a oni czasami jej nie słuchają i brzdącają w fabule. Moja matka ją uwielbia. Na miłość boską, przecież jest też *Bohater ostatniej akcji*. Widzieliście to? Widzieliście? Przykro mi.

Jest też ta drobna, lecz wymowna różnica, że to wszystko są dzieła fikcyjne, a w moim przypadku to się dzieje naprawdę. Jak powiedziałem, subtelna różnica. Lecz istotna. Nie chodzi mi tu o oryginalność. Próbuję rozwiązać problem.

### **Czy serial, którego jesteś scenarzystą, to [tu nazwa]?**

Przyjacielu, której części zdania „pragnę zachować anonimowość” nie rozumiesz? Nawet jeżeli dobrze się domyślasz i tak ci nie odpowiem. Podpowiedź? Dobrze: to nie jest *Rockefeller Plaza 30*. A ja nie jestem Tiną Fey.

Mmm... Tina Fey.

Podobnie:

### **Wiesz, że internauci są w stanie dowiedzieć się, czy jesteś psem?**

Tak, ale ten konkretny pies utworzył to konto, używając jednorazowego adresu e-mail, a po internecie się porusza, używając sieci Tor.

### **Dlaczego nie zaczniesz pisać scenariuszy, w których ludzie po prostu nie giną?**

Cóż, mógłbym, choć to oznacza dwie rzeczy:

1. Oddaję scenariusz, a producenci mówią: „W tej scenie brakuje dramatyzmu. Niech ktoś zginie”. I wtedy muszę kogoś zabić albo robi to drugi scenarzysta, albo jeden z producentów wprowadza zmianę, albo reżyser wysyła na śmierć kogoś w trakcie filmowania, więc ostatecznie i tak ktoś ginie.

2. Nawet jeżeli nikogo nie zabiję, wciąż potrzebny jest dramatyzm; w serialu takim jak mój oznacza to zwykle, że nawet jeżeli ktoś nie ginie, przynajmniej zostaje ranny, zmasakrowany albo zapada na chorobę, która zamienia go w warzywo. Oczywiście zamienienie postaci w warzywo jest lepsze niż jej unicestwienie, jednak i tak nie jest to przyjemne. Więc wciąż mam poczucie winy.

Wierzcie mi, niczego bardziej bym nie pragnął, niż pisać scenariusze, w których bohaterowie wyłącznie wylegują się na sofach, zajadają czekoladki i uprawiają namiętny seks przez pełną godzinę (minus przerwy na reklamę, kapitalistyczne zło konieczne). Myślę, że widownia też nie miałaby nic przeciwko – byłoby to inspirujące i pouczające! Szkoda, że to nie jest tego rodzaju serial, a stacja ma swoje wymogi.

Muszę pisać takie scenariusze, jakie pisze się dla naszego serialu, i tyle. W przeciwnym razie mnie wyleją. A ja nie chcę zostać wylany.

### **Rozumiesz, że jeżeli to wszystko jest prawdą, konsekwencje egzystencjalne zwalają z nóg?**

Tak, niezły odjazd, zgadzam się. Mógłbym rozprawiać o tym godzinami, oczywiście, o ile w poważnym stopniu nie utrudniałoby mi to codziennego życia. Wiecie, jak to jest? Tak jakby obudzić się któregoś dnia, wyjść przed dom i zastać tam gapiącego się na was tyranozaura. Przez pierwsze pięć sekund jesteście



z dumieni, że stoi przed wami prawdziwy tyranozaur. A potem bierzecie nogi za pas, bo dla niego jesteście soczystą, chrupiącą przekąską.

**Czy przed twoim domem stoi tyranozaur?**

Nie.

**Do diaska.**

Nie pomagasz mi.

**Jak na kogoś, kto cierpi na brak weny, sporo piszesz, nie uważasz?**

No tak, lecz to nie jest prawdziwe pisanie. Nie robię nic kreatywnego, odpowiadam jedynie na komentarze i proszę o pomoc. Blogi są fajne i w ogóle, ale tak naprawdę chciałbym pisać scenariusze. A w tym momencie nie mogę tego robić. Kreatywna część mojego mózgu kompletnie wysiadła. Mam blokadę.

**Wspominałeś, że używasz programu Final Draft. Czy przyszło ci do głowy, że być może to jest źródło problemu? Osobiście korzystam ze Scrivenera. Powinieneś go wypróbować!**

Rany, naprawdę? Facet, jeżeli ktoś przy tobie dostaje ataku serca, czy korzystasz z okazji, żeby od razu opowiedzieć mu o swojej diecie niskocholesterolowej? Polecam!

Nie o program komputerowy tu chodzi. Chodzi o to, że za każdym razem, kiedy piszę, ktoś ginie. Jeżeli naprawdę chcesz pomóc, nie reklamuj tego czy innego producenta gaśnic, gdy budynek stoi już w ogniu. Chwytaj za sikawkę!

I związane z tym:

**Wierzę we wszystko, co mówisz, i myślę, że powinniśmy się spotkać, żeby przegadać to dokładnie, najlepiej w mojej Tajnej Kryjówce w piwnicy domu Mojej Mamy, GDZIE MIESZKAM.**

Ech, człowieku... Właśnie znalazłem kolejny powód, żeby zachować anonimowość.

A teraz, gdy zakończyliśmy już sesję pytań i odpowiedzi, czy ktoś naprawdę mógłby mi pomóc? Proszę...

\* \* \*

Nareszcie! Sensowna idea zawarta w komentarzu, który pozwolę sobie zacytować w całości:

*W swoim ostatnim poście wymieniałeś książki i filmy, w których rozgraniczenie pomiędzy twórcą i twórczym zostaje częściowo lub w całości zatarte. Czy przyszło ci do głowy, że ich autorzy mogli mieć doświadczenia podobne do twoich? Możliwe, że tak było, jednak woleli zachować je dla siebie z tych samych powodów co ty: żeby ktoś nie powiedział, że im odbiło. Może gdybyś skontaktował się z nimi i okazałoby się, że macie wspólne doświadczenia, moglibyście o tym porozmawiać, oczywiście niepublicznie. Oni może nie uciekliby w popłochu, przynajmniej nie od razu, wiedząc, że jesteś uznanym scenarzystą.*

Podoba mi się: „przynajmniej nie od razu”, dziękuję ci. Miło też, że ulegasz złudzeniu, iż scenarzysta serialu nadawanego przez stację z podstawowego pakietu to ktoś o uznanej pozycji. Od razu zrobiło mi się cieplej na sercu.

Odpowiadając na twoje pytanie: nie, nie przyszło mi to w ogóle to głowy, no bo to jednak jest wariactwo, nieprawdaż? A my żyjemy w realnym świecie, gdzie takie rzeczy się nie zdarzają. Z drugiej strony, mnie się to przytrafiło, a przecież, z całym szacunkiem, nie jestem nikim aż tak specjalnym – ani jako scenarzysta, ani jako człowiek.

Muszę więc przyznać, że wszystko, co przytrafiło się mnie, mogło też przytrafić się innym. A jeżeli tak, to jest zupełnie możliwe, że znaleźli oni jakiś sposób poradzenia sobie z tym; który nie wiązałby się z porzuceniem pisania. Bo o to tu chodzi. Mam zatem plan: skontaktować się z tymi autorami i dowiedzieć się, czy mieli podobne przeżycia.

Co wydaje się zupełnie rozsądne do momentu, gdy zastanowimy się, co to w praktyce oznacza. Żeby naświetlić temat, pozwólcie, że przedstawię krótką jednoaktówkę pod tytułem *Anonimowy Scenarzysta dzieli się swoimi przeżyciami z kimś w realnym świecie*.

ANONIMOWY SCENARZYSTA: Witaj! Odwiedziły mnie postaci z moich scenariuszy, żeby mnie poinformować, że kiedy je zabijam, one giną naprawdę. Miałeś z czymś takim do czynienia?

INNY AUTOR: Witaj, Anonimowy Scenarzysto! W jednej ręce trzymam nakaz sądowy, a w drugiej paralizator. Czego mam użyć najpierw?

Tak, nie wyobrażam sobie, żeby ten świetny plan miał się nie powieść... Z drugiej strony, nie mam lepszego, prawda? Oto więc co zrobię: sporządzę listę autorów, których bohaterowie w ten czy inny sposób wykraczają poza świat fikcji. Skontaktuję się z tymi autorami i postaram dyskretnie wywiedzieć (nie wychodząc na kompletnego świra), czy inspirowali się własnymi doświadczeniami. Ważne! Jeżeli potwierdzą, że inspirację czerpali z własnych przeżyć, postaram się dowiedzieć, co zrobić, żeby móc dalej pisać.

Teraz idę sformułować moje zapytanie w taki sposób, żeby nie zabrzmiało zbyt dziwnie. Życie mi szczęścia!

\* \* \*

Ludzie, teraz na poważnie! Przestańcie próbować zgadywać, przy którym serialu pracuję. I tak wam nie powiem. Boby mnie wylali. Tak się właśnie dzieje, kiedy ludzie tacy jak ja rozmawiają o swojej pracy z ludźmi takimi jak wy, czyli internautami. Zwłaszcza gdy twierdzą, że ich postaci istnieją naprawdę i kontaktują się z nimi osobiście. Wiem, że takie zgadywanie to miła zabawa, ale dajcie spokój. Proszę o odrobinę zrozumienia. Obiecuję, że na końcu, jeżeli wszystko pójdzie dobrze, zdradzę wam ten sekret. Powiedzmy za pięć lat. Albo jak zdobędę

nagrodę Emmy. W zależności od tego, co nastąpi wcześniej. (Stawiam na pięć lat).

W porządku? Świetnie. Dzięki.

\* \* \*

Cześć, Internauci! Pytacie, co słyhać. Już odpowiadam. Udało mi się stworzyć listę autorów, którzy opisali historie podobne do mojej, w tym wspomnianych wcześniej. Woody Allen (*Purpurowa róża z Kairu*), Jasper Fforde, Zak Penn i Adam Leff (*Bohater ostatniej akcji*), Zach Helm (*Przypadek Harolda Cricka*) oraz Denise Hogan. Zamierzam napisać do nich (powołując się na referencje, żeby nie pomyśleli, że jestem kompletnie stuknięty) i zapytać w bardzo subtelny sposób, czy to, co napisali, miało jakikolwiek związek z rzeczywistymi doświadczeniami. Zobaczmy, czy ktoś odpisze.

Przewidując wasze pytania, wyjaśniam od razu: tak, zamierzam opublikować odpowiedzi, które ewentualnie otrzymam, oczywiście po usunięciu szczegółów umożliwiających identyfikację nadawców. Och, nie patrzcie tak na mnie. Pamiętajcie to, co mówiłem o anonimowości? No właśnie. O jeden szczegół za dużo i mleko się rozleje (a ja bardzo lubię mleko). Z drugiej strony, ze względu na wsparcie, jakiego mi udzielacie, zasługujecie na to, żeby wiedzieć, jak się sprawy mają.

Niech też będzie zupełnie jasne, że ogólnie oczekuję odpowiedzi w rodzaju: „Rany, jesteś największym świrem, jaki kiedykolwiek do mnie napisał, powinieneś udać się na leczenie”. Sam bym tak odpowiedział, gdybym dostał taki list. I faktycznie tak odpowiadałem. Nie uwierzylibyście, jakie bzdury ludzie piszą do was, jeśli jesteście scenarzystą popularnego serialu. Zresztą kto wie? Bzdury to dzisiaj powszechny towar.

Wysłałam e-maile.

Dobra, wysłane. Zobaczmy, ile czasu minie, zanim ktoś odpowie. Robimy zakłady?

\* \* \*

Cóż, to nie trwało długo. Mam już pierwszą odpowiedź. Wklejam poniżej.

*Szanowny Panie!*

*Moje nazwisko XXX, jestem asystentką XXX. Otrzymaliśmy Pańskie zapytanie i chcielibyśmy wiedzieć, czy odpowiedź na nie potrzebna jest Panu do artykułu lub wywiadu, jaki planuje Pan opublikować w ogólnokrajowej gazecie lub czasopiśmie?*

*Będziemy wdzięczni za odpowiedź.*

Oto ona:

*Szanowna Pani!*

*Nie, zapytanie nie ma związku z publikacją w prasie ani w internecie (chyba że na moim osobistym blogu). Pytam raczej na własne potrzeby. Czy XXX miałby może czas porozmawiać ze mną na czacie? Byłbym niezwykle zobowiązany.*

Odpowiedź asystentki:

*Niestety, XXX jest obecnie bardzo zajęty. Dziękujemy za zainteresowanie, życzymy powodzenia i udanego projektu.*

Innymi słowy: „Pańskie banialuki byłyby do przyjęcia, gdyby chodziło o artykuł w „«People»”, a może nawet w „«Us»”, ale skoro są to pańskie osobiste banialuki, nie chcemy mieć z tym nic wspólnego”.

No cóż. Był czas, gdy zwariowani wolni strzelcy cieszyli się szacunkiem w tym mieście! To były chyba wczesne lata osiemdziesiąte. David Lee Roth przesiadywał jeszcze w Whiskey A Go Go. Tak w każdym razie słyszałem. Miałem wtedy wszystkiego sześć lat.

Dobra, jeden skreślony, zostało pięciu...

\* \* \*

Kolejna odpowiedź. Całkiem zdumiewająca.

*Szanowny Panie!*

*Pański list adresowany do XXX został nam przekazany przez jego asystenta, tak jak czynią to z wszelką korespondencją, która wzbudzi ich niepokój. Pan XXX niezwykle ceni sobie prywatność i dlatego wielce wzburzył go Pański e-mail, zarówno ze względu na jego treść, jak i na fakt, że został wysłany na jego prywatny adres.*

*Na tę chwilę nasz klient nie zdecydował się jeszcze zawiadomić policji o całej sprawie. Niniejszym informujemy jednak, żeby więcej nie próbował Pan kontaktować się z nim tą drogą. W przeciwnym razie zmuszeni będziemy poinformować policję i FBI oraz złożyć odpowiedni wniosek do sądu. Nie muszę Panu mówić, że oznaczałoby to skandal i poważnie zaszkodziło Pańskiej karierze.*

*Mamy nadzieję, że na tym nasza korespondencja się zakończy.*

*Mec. XXX, kancelaria prawna XXX*

No, no.

Aha, na wszelki wypadek wyjaśnię: mój e-mail nie zaczynał się od zdania: „Szanowny Panie XXX, gdy stałem wczoraj w nocy nad Pańskim łóżkiem,

przyglądając się, jak Pan śpi...”. Naprawdę nie. Przysięgam.

Albo pan XXX dostaje wyjątkowo dużo listów od ludzi, którzy przebiegają się za kota i pukają mu do okna, albo mój e-mail przestraszył go z zupełnie innego powodu. Hm.

Czy warto angażować FBI, żeby się dowiedzieć?

Nie, nie warto.

W każdym razie jeszcze nie teraz. Mimo to jestem ciekaw.

Właśnie walczę z pokusą, żeby przebrać się za kota tego gościa i zapukać mu do okna. Chociaż jest jeszcze wcześniej, a do tego mamy środek tygodnia. Może po paru kolejnych ginach z tonikiem.

\* \* \*

Z komentarzy:

*Nie jestem do końca przekonany, że naprawdę rozmawiałeś ze swoimi postaciami, lecz jako ktoś, kto stale cierpi na niemoc twórczą, jestem zdumiony, że tak lekko mówisz o swojej sytuacji, gdy na szali jest twoja praca. Na twoim miejscu robiłbym w portki z przerażenia.*

Uwierz mi, robię. Naprawdę robię. W sklepie na rogu zabrakło już pieluch dla dorosłych. Kupuję je w nocy, żeby sąsiedzi nie widzieli. Zużyte wyrzucam do kosza sąsiada, żeby się nie zdemaskować. Nie jestem z siebie dumny. Nie mam też sucho.

Drodzy internauci, zdradzę wam pewien sekret. Otóż prowadzę tego bloga między innymi po to, żeby nie zesrać się ze strachu. Ostatni raz, kiedy przez tydzień nie napisałem nic nowego, miał miejsce na studiach; wtedy spędziłem sześć dni w szpitalu z powodu poważnego zatrucia pokarmowego. (Żarcie ze stołówki. Nie zawsze najświeższe. Nie tylko ja się strułem. Przez resztę roku nasz akademik nazywano Pałacem Rzygów. Wybaczcie dygresję). Jednak nawet wtedy, rzygając jak kot, planowałem w głowie zwroty akcji i fragmenty dialogów. Teraz próbuję tego samego i nic nie przychodzi mi do głowy. Normalnie ściana.

Po. Prostu. Nie. Mogę. Pisać.

Nigdy wcześniej coś takiego mi się nie przydarzyło. Boję się, że wyczerpały mi się zasoby kreatywnego paliwa i że odtąd zostały mi już tylko taniemy i czasem warsztaty z pisania scenariuszy w liceum dla dorosłych. Do diabła, zabijcie mnie! Jestem tak przerażony, że w tym momencie przychodzi mi do głowy tylko dwie rzeczy:

1. Przyrządzić sobie koktajl z borygo i proszków przeciwbólowych i wziąć długą, przyjemną kąpiel z podłączonym do prądu tosterem.

2. Pisać ten blog tak, jakby to była moja terapia odwykowa.

W jednym z tych scenariuszy nie wywożą mnie tydzień później w czarnym worku w postaci napuchniętego zewłoku. Zgadnijcie w którym.

Żarty żartami, ale posłuchajcie. Gdy miałem dwanaście lat, pękł mi wyrostek robaczkowy. Wieźli mnie na salę operacyjną, a ja zapytałem lekarza: „Jak to wpłynie na moją grę na pianinie?”. „Nie przejmuj się – odparł. – Będziesz grał”. A ja na to: „Super, wcześniej nie umiałem!”. Potem dostałem znieczulenie.

Chodzi mi o to, że nawet wtedy, kiedy miałem zejść na zapalenie otrzewnej, wciąż było mi do śmiechu. Ledwo żyłem, a jednak żartowałem. (Co prawda ojciec powiedział mi po operacji: „Jest tyle kawałów na świecie, a ty musiałeś wybrać akurat ten. Nie wdajeś się we mnie”. Tata traktuje opowiadanie kawałów bardzo poważnie).

Krótsza wersja tego, co napisałem powyżej: gdybym powiedział wprost, jak blisko jestem zesrania się ze strachu z powodu tego wszystkiego, już dawno byście uciekli. A ja poszedłbym się zabić. Więc chyba lepiej żartować. Nie uważacie?

\* \* \*

Ho ho, wygląda na to, że jesteśmy na dobrej drodze. Oto odpowiedź od następnej osoby na mojej liście:

*Drogi Anonimowy Scenarzysto!*

*Treść Twojego e-maila zaintrygowała mnie z kilku powodów. Faktycznie zachodzi pewien związek między tym, co dzieje się w moich książkach, a wydarzeniami w realnym życiu. Sądząc po zawoalowanym sposobie, w jaki o to zapytałeś, domyślam się, że możesz przeżywać coś podobnego.*

*Tak się składa, że przylatuję jutro do Los Angeles, żeby omówić z agentem projekt filmowy, który zaproponowaliśmy wytwórni XXX. Potem chętnie spotkam się, żeby porozmawiać. Zatrzymam się w hotelu XXX. Bądź w barze około piątej po południu, jeżeli masz czas.*

*Pozdrawiam serdecznie*

*XXX*

To brzmi naprawdę obiecująco. Teraz muszę tylko uzbroić się w cierpliwość na najbliższe dwadzieścia cztery godziny. Na szczęście cały dzień mam jutro spotkania robocze. Tak, powiedziałem „na szczęście” – im więcej narad i posiedzeń, tym mniejsza szansa, że ktoś zapyta mnie o scenariusz, nad którym powinienem pracować. Sytuacja robi się coraz trudniejsza. Zasugerowałem jednemu z etatowych scenarzystów, że moglibyśmy popełnić coś wspólnie, przy czym on napisałby zarys i być może pierwszy szkic. Mogę go do tego skłonić, bo stoję od niego wyżej w hierarchii. Mogę to zrobić bez poczucia winy, bo jest mi

dłużny pieniądze. Moralność takiego postępowania wydaje mi się cokolwiek wątpliwa. Na tę chwilę nie widzę innego wyjścia.

Mam nadzieję, że autorka, z którą mam się jutro spotkać (jeżeli jeszcze się nie domyśliliście, zdradzę wam, że to kobieta), będzie miała dla mnie coś ciekawego. Nasiadówki i wykorzystywanie podwładnych to sposoby na krótką metę.

\* \* \*

Spotkałem się z nią. Nazywa się Denise Hogan. Pozwólcie, że opiszę naszą „rozmowę”, używając formatu, do jakiego jestem przyzwyczajony.

KAWIARNIA – STOLIK NAROŻNY – DZIEŃ: Dwoje ludzi przy stoliku; piją kawę; na talerzykach resztki ciastek. Są to ANONIMOWY SCENARZYSTA i DENISE HOGAN. Rozmawiają mniej więcej od godziny; ANONIMOWY SCENARZYSTA szczegółowo opisał naturę kryzysu, jakiego doświadcza.

DENISE: Znalazłeś się w naprawdę ciekawej sytuacji.

ANONIMOWY SCENARZYSTA: Nie nazwałbym jej „ciekawą”. Powiedziałbym raczej: „cholernie popieprzona”.

DENISE: Tak, też pasuje.

ANONIMOWY SCENARZYSTA: Tobie też coś takiego się przydarzało, nieprawdaż? Postaci w twoich książkach nieustannie się z tobą kłóca, ignorują twoje decyzje fabularne, robią, co chcą. Oto charakterystyczna cecha twojej twórczości. Piszesz tak, jakby to się działo naprawdę.

DENISE: (*miętko*) Wydaje mi się, że musimy zdefiniować pewne podstawowe pojęcia.

ANONIMOWY SCENARZYSTA: Zdefiniować pojęcia? To brzmi jak zawoalowana wersja: „Nie, to mi się wcale nie przydarza, świrze”.

DENISE: (*po chwili*) Mogę być z tobą szczerą?

ANONIMOWY SCENARZYSTA: Po tym, jak zwierzałem się tobie przez godzinę? Byłoby miło.

DENISE: Jestem tu, ponieważ czytam twojego bloga.

ANONIMOWY SCENARZYSTA: Ja nie prowadzę bloga.

DENISE: Nie pod prawdziwym nazwiskiem. Prowadzisz go jako Anonimowy Scenarzysta.

ANONIMOWY SCENARZYSTA: (*po chwili*) Och. Cholera.

DENISE: (*podnosi dłonie*) Spokojnie, nie jestem tu, żeby cię demaskować.

ANONIMOWY SCENARZYSTA: Jasna cholera! (wstaje, chce wyjść, waha się, siada z powrotem) Jak się dowiedziałaś?

DENISE: Jak każdy znajduję informacje w sieci. Mam ustawione powiadomienie Google na moje nazwisko.

ANONIMOWY SCENARZYSTA: (*przezesuje włosy*) Cholerny Google, człowieku.

DENISE: Kliknęłam, żeby sprawdzić, czy to jest artykuł o pisarzach zacierających granicę pomiędzy realnością i fikcją; zobaczyłam, o czym tak naprawdę jest twój blog, i dołączyłam jego kanał RSS do subskrybowanych. Wiedziałam, że się ze mną skontaktujesz, jeszcze zanim wysłałeś swój e-mail.

ANONIMOWY SCENARZYSTA: Ty wcale nie przyjechałaś się spotkać z agentem.

DENISE: No cóż, nie. Zjadłam z nim dzisiaj lunch i rozmawialiśmy o naszym projekcie dla Paramount. Ale zadzwoniłam do niego dopiero po otrzymaniu wiadomości od ciebie. Nie martw się, nie powiedziałam mu, dlaczego tak naprawdę tu jestem.

ANONIMOWY SCENARZYSTA: Więc twoje postaci nie ożywają i nie rozmawiają z tobą?

DENISE: Poza tym, że – jak wszyscy pisarze, pragnę je ożywić – nie.

ANONIMOWY SCENARZYSTA: Super. (*wstaje*) Dziękuję, że zmarnowałaś dużą część mojego dnia. Miło było cię poznać.

DENISE: Coś jednak nas łączy.

ANONIMOWY SCENARZYSTA: Poza zmarnowanym popołudniem?

DENISE: (*ze złością*) Posłuchaj, nie przyszłam tu jak do cyrku, żeby popatrzeć sobie na dziwoląga. Od tego mam mojego pierwszego męża. Przyszłam, bo uważam, że rozumiem twoją sytuację lepiej, niż myślisz. Też kiedyś cierpiałam na zanik weny. I to długo.

ANONIMOWY SCENARZYSTA: Jak długo?

DENISE: Ponad rok. Wystarczy?

ANONIMOWY SCENARZYSTA: Być może.

DENISE: Myślę, że mogę ci pomóc. Bo bez względu na to, czy wierzę, że twoje postaci naprawdę ożyły, mam wrażenie, że moja niemoc twórcza była podobna do tego, co ty teraz przeżywasz.

ANONIMOWY SCENARZYSTA: Jeżeli mi nie wierzysz, nie rozumiem, jak nasze przypadki mogą być podobne.

DENISE: Bo oboje mieliśmy do czynienia z postaciami, z którymi baliśmy się coś zrobić.

ANONIMOWY SCENARZYSTA: (*siadając, z wahaniem*) Mów dalej.

DENISE: Ty – pomińmy teraz, z jakiego powodu – boisz się zabijać czy ranić swoje postaci i to cię blokuje. Ja z kolei nigdy nie mogłam się zmusić, żeby moje postaci zrobiły coś przełomowego. Doprowadzałam je do punktu krytycznego, ale gdy nadchodził moment, żeby pociągnęły za spust, uczyniły coś dramatycznego, nie byłam w stanie tego napisać. Wymyślałam przeróżne sposoby, żeby wydobyć je z tych wszystkich tarapatów, w które tak pracowicie je wplątywałam. To nie było dobre. W końcu utknęłam zupełnie. Doszłam do ściany.



ANONIMOWY SCENARZYSTA: Ale tu nie chodzi o ciebie...

DENISE: (*podnosi dłoń*) Poczekaj, daj mi skończyć. Wreszcie, któregoś dnia, gdy siedziałam przed laptopem, nie robiąc nic z moimi postaciami, napisałam scenę, w której jedna z nich zwraca się do mnie – autora i mówi: „Zdecydujesz się wreszcie, do cholery? Nie? Świetnie. W takim razie ja to zrobię”. I wtedy ta postać zrobiła coś, czego się nie spodziewałam, czego nawet nie chciałam; a kiedy to się stało, było tak, jakby wielka fala możliwości przelała się przez tamę mojej twórczej niemocy. Moja postać zrobiła coś, co napawało mnie lękiem.

ANONIMOWY SCENARZYSTA: Czyli?

DENISE: Wykazała się inicjatywą. Zrobiła coś, nawet jeżeli w dłuższej perspektywie miało to dla niej katastrofalne skutki. Lecz zrobiła to.

ANONIMOWY SCENARZYSTA: Uwierz mi, inicjatywa to nie jest coś, czego brakuje moim postaciom.

DENISE: Tego nie powiedziałam. Lecz moje postaci robiły coś jeszcze. Przeciwno czemuś się buntowały.

ANONIMOWY SCENARZYSTA: Przeciwno czemu?

DENISE: Mojej słabości jako autorki. Nie byłam w stanie dać moim postaciom tego, czego potrzebowały: być na tyle odważną w tym, co piszę, żeby uczynić je interesującymi. Więc same się o to zatroszczyły. I w ten sposób nawiązały – a raczej ja z nimi nawiązałam – kontakt z tą częścią mojego pisarskiego jestestwa, od której wcześniej byłam odcięta. Może ty potrzebujesz tego samego.

ANONIMOWY SCENARZYSTA: Czekaj. Nazwałaś mnie właśnie słabym pisarzem?

DENISE: Nie, nie nazwałam cię słabym pisarzem.

ANONIMOWY SCENARZYSTA: To dobrze.

DENISE: Ale oglądałam twój serial. Scenariuszowo większość odcinków to chała.

ANONIMOWY SCENARZYSTA: (*podnosi bezradnie ręce*) Och, daj spokój!

DENISE: I to chała bez powodu!

ANONIMOWY SCENARZYSTA: Pisziesz scenariusze? Wiesz, jak ciężko jest wymyślać co tydzień nowy odcinek?

DENISE: Nie piszę, jednak ty piszesz. Pozwól, że cię zapytam: czy naprawdę uważasz, że się starasz? Pamiętaj, że czytam twój blog. Tłumaczysz się tam z mielizn własnej twórczości, jednocześnie chwając się, jakim to jesteś sprawnym rzemieślnikiem.

ANONIMOWY SCENARZYSTA: To nie ma nic wspólnego z brakiem weny.

DENISE: Na pewno? Ja byłam zablokowana, bo wiedziałam, że kiepsko piszę, tylko nie miałam odwagi tego zmienić. Ty wiesz, że produkujesz gnioty, lecz wolisz znajdować wymówki, niż coś z tym zrobić. Może niemoc twórcza mówi ci, że wymówki już nie działają.

ANONIMOWY SCENARZYSTA: Do diabła, nie dlatego jestem zablokowany, że kiepsko piszę! Jestem zablokowany, bo nie chcę powodować więcej śmierci i cierpienia!

DENISE: (*kiwa głową*) Sądzę, że to twoja nowa wymówka.

ANONIMOWY SCENARZYSTA: (*wstaje*) Wcześniej myślałem, że tracę tu czas. Teraz wiem to na pewno. Bardzo ci dziękuję. Zapewniam, że opisując to spotkanie na blogu, nie podam twojego nazwiska.

DENISE: Podaj moje imię. A potem zapytaj swoich czytelników, czy to, co mówię, ma sens. Wspominałeś, że oczekujesz ich pomocy. Ciekawa jestem, czy to prawda.

ANONIMOWY SCENARZYSTA (*wychodzi*)

I tak oto zmarnowałem całe popołudnie, rozmawiając z kobietą, która z chęci niesienia pomocy próbowała wyjaśnić mi, że jestem kiepskim pisarzem – przepraszam, nie że jestem kiepskim pisarzem, tylko że kiepsko piszę. Ważne rozróżnienie.

I nie, wcale nie mówiłem, że to, co piszę, jest kiepskie. Powiedziałem, że to nie Szekspir. Że nie spodziewam się dostać Emmy. To przecież nie to samo. Myślę, że jestem na tyle szczery sam ze sobą, że przyznałbym się, gdybym sądził, że kiepsko piszę. Lecz ktoś, kto nie umie pisać albo regularnie oddaje gnioty, nie utrzymałby się przez lata na liście etatowych scenarzystów. Wierście lub nie, w tej branży trzeba posiadać pewien podstawowy zasób umiejętności. Ludzie, ja ukończyłem filmoznawstwo na Uniwersytecie Południowej Kalifornii! Takich dyplomów nie rozdają za darmo. Zresztą szkoda. Nie musiałbym przez sześć lat korzystać z kredytów studenckich, dopóki nie podłapałem pierwszej większej fuchy. Ale nie rozdają.

Wal się, Denise Hogan. Nie będę twoją tanią rozrywką w Los Angeles. Przyszedłem do ciebie z prawdziwym problemem, a ty zjechałaś mnie i to, co robię. Serdeczne dzięki. Mam nadzieję, że któregoś dnia będę miał okazję się odwzajemnić.

Tymczasem jednak ciesz się tym, że internauci dowiedzą się, jak mi dzisiaj „pomogłaś”. Z pewnością im się to spodoba.

\* \* \*

Właśnie dzwoniła do mnie dziennikarka z Gawkera. Powiedziała, że na podstawie tego, co tu napisałem – że serial jest nadawany na kanale z podstawowego pakietu, trwa godzinę, leci od kilku sezonów, ginie w nim dużo ludzi, a ja jestem absolwentem Uniwersytetu Południowej Kalifornii, który pierwszą większą robotę podłapał sześć lat po studiach – zdołali ustalić, kim jestem. A ponieważ wspominałem o Denise Hogan, to przy użyciu funkcji wyszukiwania obrazem znaleźli na Facebooku jej zdjęcie z dzisiaj, na którym siedzi z facetem podobnym do mnie w kawiarni w Burbank. Zdjęcie pstryknęła telefonem jej

wielbicielka, która akurat tam była, chociaż nieśmiałość nie pozwoliła jej podejść i zagadać. Najwyraźniej jednak nie przeszkodziło jej to wrzucić zdjęcia na serwis społecznościowy, którego używa co drugi człowiek na świecie.

Mają więc newsa i zamierzają to opublikować za mniej więcej dwadzieścia minut. Szczebotka z Gawkera chciała wiedzieć, czy mam coś do dodania. Jasne, że tak, a mianowicie: walcie się.

I tyle.

Tych parę godzin, jakie zostało mi, zanim przestanę być etatowym scenarzystą *Kronik „Nieustraszonego”*, zamierzam spędzić, robiąc to, co zapewne powinienem był robić od samego początku: siedząc na kanapie z wielką flaszką jim beama i uwalając się w cztery dupy.

Dzięki, internauci. Cała ta historia z pewnością otworzyła mi oczy na parę spraw.

Z najlepszymi pozdrowieniami  
Wasz Najwyraźniej Nie Aż Tak Anonimowy Scenarzysta

\* \* \*

Drodzy internauci!

Po pierwsze: mam kaca giganta, a wy świecicie mi po oczach. Proszę, przyciemnijcie to trochę.

Ach, zapomniałem, że światło mogę wyregulować u siebie. Czekaście.

Dobra, już.

Po drugie: stało się coś ważnego. Muszę się tym z wami podzielić. A żeby to zrobić, muszę znowu przejść do trybu scenariuszowego. Nie gniewajcie się.

PLENER; PUSTKOWIE AŻ PO HORYZONT; ZAPEWNE DZIEŃ

ANONIMOWY: A zresztą, pieprzyć to, i tak połowa internetu wie już, kim jestem.

NICK WEINSTEIN pojawia się na pustkowie, trzymając się za głowę z kwaśną miną. Obok niego przyklęknął swobodnie DRUGI MEŹCZYŻNA. W tle widać tłum ludzi. Wszyscy, tak samo jak NICK i MEŹCZYŻNA, mają na sobie czerwone koszule.

MEŹCZYŻNA: Nareszcie.

NICK: (*rozgląda się*) Dobra, poddaję się. Gdzie jestem?

MEŹCZYŻNA: Szare, płaskie pustkowie. Idealna metafora twojego umysłu, Nick.

NICK: (*spogląda na MEŹCZYŻNĘ*) Przypominasz mi kogoś.

MEŹCZYŻNA: (*uśmiecha się*) Nic dziwnego. Zginałem z twojej ręki. Kilka odcinków temu.

NICK: (*gapi się na niego przez chwilę*) Finn, zgadza się?

FINN: Tak jest. Pamiętasz, jak mnie zabiłeś?

NICK: Wybuchająca głowa.

FINN: Bingo.

NICK: Ale nie twoja.

FINN: Nie, kogoś innego. Ja po prostu byłem w pobliżu. (*wstaje, wskazuje na mężczyznę w tłumie*) To jemu wysadziłeś głowę w powietrze. Pomachaj nam, Jer! (*JER macha. NICK odmachuje niepewnie*)

NICK: (*wstaje*) Jego głowa wygląda zupełnie w porządku.

FINN: Pomyśleliśmy, że będzie ci lżej, jeżeli nie zaprezentujemy się w stanie po wykończeniu przez ciebie. Jer byłby bez głowy, ja poparzony, inni bez rąk i nóg, zmasakrowani, o ciałach zniekształconych przez okropne choroby. No wiesz. Byłoby to dość niesmaczne. Pomyśleliśmy, że niepotrzebnie byś się rozproszył.

NICK: Dzięki.

FINN: Nie ma za co.

NICK: Domyślam się, że to nie może być prawda. Że po prostu śnię.

FINN: To jest sen. Co nie znaczy, że to nie może być prawda.

NICK: (*drapie się po głowie*) To odrobinę zbyt skomplikowane jak na obecny stan mojej trzeźwości.

FINN: Spróbujmy tak: to jest prawda, która dzieje się we śnie, bo jak inaczej mają z tobą rozmawiać twoi zmarli?

NICK: Dlaczego chcecie ze mną rozmawiać?

FINN: Bo chcemy cię o coś poprosić.

NICK: Już przestałem was zabijać. Z waszego powodu straciłem wenę. I wkrótce wyleją mnie przez to z roboty.

FINN: Prawda, cierpisz na brak weny. Lecz to nie przez nas. W każdym razie niebezpośrednio.

NICK: To mój brak weny. Wiem, skąd go mam.

FINN: Nie powiedziałem, że nie wiesz. Raczej ukrywasz prawdziwy powód przed samym sobą.

NICK: Wiesz, Finn, te twoje mądrości zaczynają się robić cokolwiek do bani.

FINN: Jasne. A zatem ujmę to następująco. Pamiętasz Denise Hogan? Miała rację.

NICK: (*wyrzuca dłonie w górę*) Rany, nawet we własnej głowie muszę to przeżywać?

FINN: Nick, jesteś niezłym scenarzystą. Ale nie chce ci się. (*wskazuje na tłum*) I większość nas z tego powodu nie żyje.

NICK: Daj spokój, to niesprawiedliwe. Nie żyjecie, bo to jest serial z gatunku kina akcji. W kinie akcji postaci umierają. Dlatego nazywa się kinem akcji.

FINN: *(spogląda na NICKA, a potem wskazuje na jedną z postaci w tłumie)* Hej ty, co było przyczyną twojej śmierci?

CZERWONA KOSZULA 1: Rekin lodowy!

FINN: *(odwraca się do NICKA)* Poważnie, rekin lodowy? Co to w ogóle za stwór? *(odwraca się do tłumu postaci)* Kto jeszcze zginął pożarty przez kosmiczne potwory?

CZERWONA KOSZULA 2: Kraby z Pornathusa!

CZERWONA KOSZULA 3: Borsuk gigant z Tau Ceti!

CZERWONA KOSZULA 4: Borgowiańskie czerwce pustynne!

NICK: *(do CZERWONEJ KOSZULI 4)* Nie ja je napisałem! *(do FINNA)* Poważnie, borgowiańskie czerwce pustynne to nie ja. Ciągle mi je wypominają.

FINN: To dlatego, że jesteś głównym scenarzystą, Nick. Mogłeś zwrócić uwagę na liczne przypadki zgonów spowodowanych przez kosmiczne stwory, bez względu na to, czy sam pisałeś daną scenę, czy nie.

NICK: Słuchajcie, to jest tasiemiec science fiction...

FINN: To jest tasiemiec science fiction, lecz wiele tasiemców nie jest chałą, Nick. Seriale science fiction też. Wiele tasiemców science fiction przynajmniej próbuje wyjść poza banał. A ty mówisz o częstotliwości nadawania i gatunku, jakby to wszystko tłumaczyło. *(zwraca się do tłumu)*: Kto z was zginął na pokładach od szóstego do dwunastego? *(podnoszą się dziesiątki rąk. FINN odwraca się do NICKA, oczekując odpowiedzi)*.

NICK: Statek musi doznawać uszkodzeń. Dramatyzm jest nieodzowny.

FINN: Statek musi doznawać uszkodzeń, okej. Lecz czy to znaczy, że jakiś Bogu ducha winny szeregowiec musi być wysysany w przestrzeń za każdym razem, gdy się to dzieje? Może po pierwszym tuzinie przypadków Unia Galaktyczna powinna zatrudnić inżynierów, żeby znaleźli sposób na tę plagę kosmicznej defenestracji...?

NICK: Posłuchaj, Finn, już rozumiem. Nie podoba ci się fakt, że jesteś martwy. Mnie też. Dlatego właśnie straciłem wenę!

FINN: Wciąż nie rozumiesz. Nikt z nas nie jest wkurzony na to, że nie żyje.

CZERWONA KOSZULA 4: Ja jestem!

FINN: *(do CZERWONEJ KOSZULI 4)* Nie teraz, Davis! *(ponownie do NICKA)* Nikt z nas, oprócz Davisa, nie jest wkurzony na to, że nie żyje. Śmierć to normalka. Każdy kiedyś umrze. Ty też. Wkurza nas to, że umarliśmy zupełnie po nic. Kiedy nas zabiłeś, Nick, nie miało to żadnego znaczenia dla fabuły. Chwila emocji dla widzów przed przerwą na reklamy, coś, o czym zapominają, zanim test prozków do prania dobiegnie końca. Nasze życie miało znaczenie, Nick, nawet jeżeli tylko dla nas. A ty dałeś nam bezsensowną śmierć. Głupią, bezsensowną śmierć.

NICK: Bezsensowne przypadki śmierci zdarzają się cały czas, Finn. Ludzie wpadają pod autobus albo, poślizgnąwszy się na mydle, uderzają skronią o kant wanny, albo idą uprawiać jogging i giną w paszczy górskiego lwa. Takie jest życie.

FINN: Twoje życie, Nick. Jednak ciebie nikt nie pisze. Nas tak. Ty. I kiedy umieramy na ekranie, to dlatego, że ty nas zabiłeś. Każdy umiera. Ale my zginęliśmy tak, jak ty chciałeś, żebyśmy zginęli. I jak dotąd umieramy głównie dlatego, że jest to najłatwiejszy sposób osiągnięcia efektu dramatycznego. I ty o tym wiesz, Nick.

NICK: Ja nie...

FINN: Ależ tak. My jesteśmy martwi, Nick. Nie mamy czasu na owijanie w bawełnę. Więc przyznaj to. Przyznaj, co tak naprawdę dzieje się w twojej głowie.

NICK: (*siada, zamroczony*) W porządku. Okej. Okej! Napisałem mój ostatni scenariusz, ten, który wszystkim odesłaliśmy, i pamiętam, że pomyślałem: Rany, tym razem udało się nikogo nie wykończyć. A potem zacząłem przypominać sobie wszystkie postaci, które zabiłem w serialu. I pomyślałem, że dla nich to była prawdziwa śmierć. Realna śmierć realnych ludzi. I zacząłem myśleć, jak głupio ginęli. Nie dlatego, że sami byli głupi, lecz w głupich okolicznościach. Głupie powody, żeby znaleźli się w sytuacji, w której mogłem ich zabić. Głupie przypadki. Nieoczekiwane zwroty akcji. Wszystkie te małe obrzydliwe sztuczki, których używają scenarzyści, bo nikt im tego nigdy nie wypomina. Potem się spiłem...

FINN: (*kiwa głową*) A kiedy się obudziłeś rano i chciałeś coś napisać, okazało się, że masz pustkę w głowie.

NICK: Myślałem, że chodzi o to, że nie chcę już zabijać. Że jestem odpowiedzialny za te wszystkie przypadki śmierci, które spowodowałem.

FINN: (*ponownie przyklęka*) Tak naprawdę gryzie cię to, że nie postępowałeś odpowiedzialnie, gdy nas zabijałeś. Nawet gdybyś nie napisał naszej śmierci i tak umarlibyśmy któregoś dnia. Taka jest prawda. Zakładam, że dobrze o tym wiesz.

NICK: Ja kazałem wam ginąć w głupi sposób, mimo że wcale nie było to konieczne.

FINN: Aha. Nie jesteś kostuchą, Nick. Jesteś generałem. Generałowie czasem posyłają swoich żołnierzy na śmierć. Jednak nie powinni tego robić w głupi sposób.

NICK: (*spogląda na tłum*) Chcesz, żeby moje postaci ginęły w mniej głupi sposób...?

FINN: Tak. Nie zaszkodziłoby też, gdyby ginęły rzadziej. Choć przede wszystkim mniej głupio. My wszyscy już nie żyjemy. Dla nas jest za późno. Jednak każdy z nas ma kogoś, na kim mu zależy, kto może umrzeć pod twoim piórem, jeżeli tak chcesz to ująć. Uważamy, że zasługują na coś lepszego. Teraz ty też to wiesz.

NICK: Zakładając, że po tym wszystkim nie wyleją mnie z roboty.

FINN: (*wstaje*) Będzie dobrze. Po prostu wyjaśnij wszystkim, że badałeś pogranicze fikcji i interaktywnego performansu za pośrednictwem mediów

internetowych. To doskonale metaliterackie wyjaśnienie, a poza tym nikt i tak ci nie uwierzy, że twoje postaci naprawdę ożyły. W najgorszym razie ludzie pomyślą, że niezły z ciebie dupek. Z drugiej strony niektórzy i tak myślą o tobie w ten sposób.

NICK: Dziękuję.

FINN: Hej, mówiłem ci: jestem martwy. Nie mam czasu na owijanie w bawełnę. A teraz strać przytomność i ocknij się tym razem w realnym świecie. Siądź przed komputerem. Spróbuj coś napisać. Spróbuj pisać lepiej. I nie pij tyle. Od tego miesza ci się w głowie.

NICK: *(kiwa głową i mdleje)*

FINN i reszta CZERWONYCH KOSZUL: *(znikają – jak sądzę)*

A potem się obudziłem.

Włączyłem komputer.

I napisałem trzydzieści stron najlepszego scenariusza, jaki kiedykolwiek popełniłem na potrzeby serialu. Potem padłem, bo wciąż byłem w pewnym sensie nietrzeźwy.

Właśnie się ocknałem, skacowany, i piszę te słowa, płacząc, bo wróciła mi wena.

\* \* \*

Tutaj kończę blog. Spełnił swoją funkcję – pomógł mi pokonać twórczą niemoc. Mam scenariusze do napisania, scenarzystów do nadzorowania i serial, którego jestem częścią. Czas, żebym do tego wrócił.

Niektórzy z was pytają: czy to wszystko ściema? Czy naprawdę straciłem wena? Czy było to tylko pisarskie ćwiczenie, dziwaczny projekcik na boku przedsięwzięty przez kogoś, kto za dużo pisze o laserach, eksplozjach i kosmicznych stworach? I czy moje postaci naprawdę ożyły?

Cóż, zastanówcie się. Zarabiam na życie pisaniem fikcji. Fikcji naukowej. Cały czas wymyślam różne dziwne rzeczy. Co wydaje się tutaj bardziej przekonującym wytłumaczeniem: że to wszystko była fikcja czy że to, co opisałem na blogu, wydarzyło się naprawdę?

Wiecie, która odpowiedź brzmi rozsądniej.

A teraz musicie zadać samym sobie pytanie, czy w to wierzycie.

Zastanówcie się i dajcie mi znać.

Tymczasem bywajcie.

Nick Weinstein

główny scenarzysta *Kronik „Nieustraszonego”*

## EPILOG II: DRUGA OSOBA

Słyszałeś pewnie, że ludzie, którzy przeżyli jakiś straszny wypadek, zwykle go nie pamiętają – ich pamięć krótkoterminowa zostaje wymazana do czysta. Ty jednak pamiętasz swój wypadek całkiem dobrze. Pamiętasz szosę śliską od deszczu i że w związku z tym nie dodawałeś zbyt mocno gazu. Pamiętasz bmw, które przejechało na czerwonym, i kierowcę rozmawiającego przez komórkę; wrzeszczał, a ty wiedziałeś, że to nie na ciebie, bo ani razu nie spojrzał w twoją stronę, dopóki twój motocykl nie wbił mu się prosto w przedni zderzak.

Pamiętasz, jak znalazłeś się w powietrzu i jak przez ułamek sekundy napawałeś się tym nieznanym uczuciem (ja latam!), zanim twój mózg zarejestrował, co się dzieje. Jak po plecach przebiegł ci lodowaty dreszcz prerażenia i jak rąbnąłeś głową o asfalt. Jak poczułeś, że twoje ciało wygina się tak, jak ludzkie ciało nie powinno się wyginać, i jak usłyszałeś, że coś w środku łamie się i pęka, wydając zupełnie niewyobrażalny odgłos. Potem zorientowałeś się, że przyłbica kasku odpada, a asfalt przeszorowuje włókno szklane czy węglowe, czy inne coś, z czego kask jest zrobiony, o centymetry od twojej twarzy.

Trzask-prask, wizg-zgrzyt... stop! I nagle twój świat został zredukowany do tego, co byłeś w stanie dostrzec przez połamany kask, z twarzą zwróconą ku ziemi. Dwie myśli przyszły ci do głowy: po pierwsze, że musisz być w szoku, bo w ogóle nie czujesz bólu; po drugie, że sądząc po wygięciu szyi, musiałeś wylądować w taki sposób, że nogi miałeś podwinięte pod siebie, a tyłek wypięty w niebo. Fakt, że bardziej przejmowałeś się wyglądem swojego tyłka niż nieodczuwaniem bólu, zdawał się potwierdzać hipotezę o szoku.

Potem usłyszałeś, że ktoś na ciebie wrzeszczy; to był kierowca bmw, wściekły z powodu zniszczonego zderzaka. Chciałeś na niego spojrzeć, ale nie mogłeś ruszyć głową, zdołałeś więc tylko zerknąć na jego buty. Były czarne, skórzane, w modnym fasonie, który wskazywał, że facet na sto procent pracuje w przemyśle rozrywkowym. Prawdę powiedziawszy, świadczyły o tym nie tylko jego buty; także fakt, że debil nie zauważył czerwonego światła, bo darł się na kogoś przez komórkę, oraz to, że teraz darł się na ciebie, bo miałeś czelność uszkodzić mu auto.

Przez chwilę zastanawiałeś się, czy dupek wie, kim jest twój ojciec; potem fizjologia zrobiła swoje i wszystko straciło ostrość, ryki agenta (czy innego korporacyjnego bufona) przycichły i zamieniły się w pulsujący szmer, coraz cichszy i delikatniejszy.

To więc był twój wypadek, który dzisiaj pamiętasz ze wszystkimi przerażającymi szczegółami. Wrył ci się w pamięć równie wyraźnie jak odcinek któregoś z seriali napisanych przez ojca, nagrany w wysokiej rozdzielczości na dysku blu-ray. W tym momencie, drobiazgowo analizując przebieg zdarzenia, dodałeś nawet ścieżkę



dźwiękową z komentarzami na temat motocykla, samochodu, kierowcy (którego za trzeciej z kolei złamanie zakazu rozmawiania w czasie jazdy przez telefon komórkowy bez zestawu głośnomówiącego skazano na dwa tygodnie aresztu i trzysta godzin prac społecznych) i własnego krótkiego lotu z motocykla na ziemię. Pamiętasz wszystko z niezwykłą wyrazistością.

Nie pamiętasz za to tego, co wydarzyło się później. Ani tego, jak to się stało, że po kilku tygodniach obudziłeś się we własnym łóżku, normalnie ubrany, bez najmniejszego zadraśnięcia.

Zaczyna cię to niepokoić.

\* \* \*

– Cierpisz na amnezję – powiedział ci ojciec, kiedy po raz pierwszy go o to zapytałeś. – To całkiem normalne po takim urazie. W wieku siedmiu lat przeżyłem wypadek samochodowy. Zupełnie go nie pamiętam. W jednej chwili jechałem z mamą do babci, a w następnej leżałem na łóżku szpitalnym, zagipsowany, a nade mną nachylała się mama z wiaderkiem lodów.

– Ale odzyskałeś świadomość już następnego dnia – odpowiedziałeś ojcu. – Ja miałem wypadek przed kilkoma tygodniami, a ocknąłem się zaledwie parę dni temu.

– To nieprawda – powiedział ojciec. – Odzyskałeś świadomość już wcześniej. Byłeś przytomny, rozmawiałeś. Tyle że po prostu tego nie pamiętasz.

– No właśnie. To nie jest chwilowa amnezja po wypadku. To utrata pamięci kilka tygodni później.

– Nie zapominaj, że rąbnąłeś głową o asfalt – podkreślił ojciec. – I że wcześniej przeleciałeś w powietrzu z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Nawet w najbardziej optymistycznym scenariuszu, a taki stał się twoim udziałem, coś takiego powoduje długotrwały wstrząs. Zupełnie mnie nie dziwi, że straciłeś niektóre wspomnienia.

– Nie niektóre, tato – odparłeś. – Wszystkie. Nie pamiętam zupełnie nic aż do momentu, gdy się budzę, a ty, mama, Candace i Rennie stoicie nade mną.

– Mówiłem ci, że straciłeś przytomność. Martwiliśmy się o ciebie.

– A więc tracę przytomność, a potem budzę się parę tygodni później bez jednego choćby wspomnienia. Coś takiego chyba może niepokoić?

– Chcesz, żebym zapisał cię na rezonans magnetyczny? – zapytał ojciec. –

Mogę to zrobić. Niech lekarze poszukają innych śladów urazu wewnątrzczaszkowego.

– To chyba dobry pomysł, tato – odparłeś. – Posłuchaj, nie chcę, żeby zabrzmiało to jakoś szczególnie paranoicznie, ale utrata wspomnień z kilku tygodni życia mnie niepokoi. Chcę być pewny, że nie stracę kolejnych. To nic przyjemnego obudzić się z wielką czarną dziurą w pamięci.

– Jasne, Matt, rozumiem. Zaraz poproszę Brendę, żeby umówiła wizytę. W porządku?

– W porządku.

– Tymczasem nie chcę, żebyś się zamartwiał. Lekarze powiedzieli nam, że coś takiego może ci się przydarzyć kilkakrotnie. Więc to normalne.

– Nie nazwałbym tego normalnym.

– Normalne po wypadku. W obecnych okolicznościach.

– Nie podoba mi się ta nowa normalność.

– Potrafię wyobrazić sobie gorszą – odrzekł ojciec, po czym, po raz kolejny w ciągu ostatnich kilku dni, zrobił zboląłą minę i rozplakał się.

\* \* \*

Czekając na rezonans, przeglądasz scenariusz odcinka *Kronik „Nieustraszonego”*, w którym masz zagrać. Dobra wiadomość jest taka, że twoja postać odgrywa kluczową rolę w fabule. Zła zaś taka, że nic nie mówisz i przez cały odcinek leżysz na noszach, udając nieprzytomnego.

– To nieprawda – zaprotestował Nick Weinstein, gdy mu to wypomniałeś. Podrzucił ci poprawioną wersję scenariusza do domu, czego zapewne nie robił dla innych statystów. – Popatrz – wskazał na kwestię pod sam koniec odcinka – tutaj jesteś przytomny.

– „Szeregowiec Hester otwiera oczy i rozgląda się” – przeczytałeś.

– To jest przytomność – rzekł Weinstein.

– Skoro tak mówisz...

– Wiem, że to niewiele. Nie chciałem cię nadwerężyć przy pierwszym odcinku po powrocie z choroby.

I udało ci się – pomyślałeś, przeglądając scenariusz w oczekiwaniu na rezonans, jeszcze raz przebiegając wzrokiem sceny, w których nie robisz praktycznie nic, poza leżeniem na noszach. W odcinku dużo się dzieje: zwłaszcza porucznik Kerensky spędza wiele czasu na ekranie, pilotując prom i przedzierając się przez zawałające się korytarze, podczas gdy czerwone koszule giną przygniecione odpadającymi kawałkami scenografii – lecz jest jeszcze mniej logiczny niż zwykle, a to spore osiągnięcie. Weinstein pisze niezłe dialogi i potrafi popchnąć akcję do przodu, niestety, ani on, ani żaden z pozostałych scenarzystów nie wydaje się zbyt zainteresowany sensownością fabuły. Podejrzywałeś, że gdybyś tylko lepiej znał się na science fiction, potrafiłbyś wskazać sceny ściągnięte przez ojca i jego zespół z innych seriali.

Hej, dzięki temu stać cię było na studia – pomyślałeś. – Nie mówiąc już o tym rezonansie.

Więc kombinowałeś, że jest okej, że nie ma nic złego w pragnieniu, żeby rodzinny interes polegał na czymś więcej niż na wytwarzaniu odmóżdżonej

rozrywki, praktycznie nieodróżnialnej od innych produktów tego rodzaju. Jeżeli tylko tym się zajmujecie, to równie dobrze moglibyście robić plastikowe wieszaki na ubrania.

– Matthew Paulson? – zapytał technik. Podniosłeś wzrok. – Zapraszam.

Szedłeś do pomieszczenia z rezonansem i technik pokazał ci, gdzie możesz przebrać się w piżamę szpitalną i zostawić rzeczy. Nie wolno mieć przy sobie nic metalowego. Przebierałeś się, a technik przeglądał twoją kartę.

– Byłeś tu już, więc domyślam się, że znasz procedurę – powiedział.

– W gruncie rzeczy nie pamiętam, żebym tu był – odparłeś. – Właśnie dlatego tu jestem.

Technik ponownie zerknął na kartę i lekko się zaczerwienił.

– Przepraszam. Zwykle nie jestem aż takim idiotą.

– Kiedy ostatni raz tu byłem? – zapytałeś.

– Nieco ponad tydzień temu. – Technik zmarszczył brwi. – Ale mam wrażenie, że twoje dane mogły zostać pomyłone z danymi innego pacjenta.

– Dlaczego pan tak sądzi?

Technik spojrzał na ciebie.

– Raczej wolałbym nie odpowiadać. Jeżeli to pomyłka, a mam nieodparte wrażenie, że tak, nie chcę potem wylądować na dywaniku za ujawnienie danych pacjenta.

– Jasne – powiedziałeś. – Lecz jeżeli to moje dane, dowiem się, tak?

– Oczywiście. Na razie jednak skupmy się na badaniu. – Po czym pokazał ci, żebyś położył się na stole i wsunął głowę i tułów do klaustrofobicznego metalowego walca.

\* \* \*

– I jak myślisz, co ten technik tam zobaczył? – zapytała Sandra, gdy siedzieliście nad lunchem w restauracji P.F. Chang's. Nie było to twoje ulubione miejsce, jednak ona (z powodów dla ciebie niezrozumiałych) zawsze miała do niego słabość, a ty wciąż masz słabość do niej. Spotkaliście się przed wejściem, a ona uściskała cię, płacząc, a potem odsunęła się i wymierzyła ci żartobliwy policzek za to, że nie zadzwoniłeś wcześniej. Potem weszliście do środka zjeść coś z oferowanej tu kuchni fusion.

– Nie wiem – odparłeś. – Chciałem zajrzeć, ale po badaniu kazał mi się ubrać i powiedział, że wyniki przekażą przez telefon. Zniknął, nim jeszcze włożyłem spodnie.

– Ale cokolwiek to było, nie było to nic dobrego – powiedziała.

– Cokolwiek to było, nie sądzę, żeby pasowało do obrazu gościa, który chodzi i gada. Zwłaszcza tydzień temu.

– Pomyłki w aktach medycznych się zdarzają. Moja firma całkiem dobrze z nich żyje. – Była na pierwszym roku prawa na Uniwersytecie Los Angeles i właśnie odbywała staż w jednej z firm prawniczych specjalizujących się w pozwach związanych z błędami lekarskimi.

– Być może.

– O co chodzi? – zapytała Sandra, przyglądając ci się uważnie. – Chyba nie myślisz, że rodzice cię okłamują?

– A czy ty cokolwiek pamiętasz? Co działo się ze mną po wypadku?

– Twoi rodzice nie dopuszczali nikogo z nas do ciebie – powiedziała Sandra, a jej twarz stężała, jak zawsze, gdy próbowała powstrzymać się przed powiedzeniem czegoś, czego by później żałowała. – Nawet do nas nie zadzwonili. Dowiedziałam się, bo Khamal wrzucił na Facebooka link do wzmianki w „Los Angeles Times”.

– Był artykuł na mój temat? – zapytałeś zaskoczony.

– Tak. Właściwie nie na twój. Chodziło o tego debila, który przejechał na czerwonym. Jest współnikiem w Wickcomb Lassen Jenkins and Bing, kancelarii, która doradza połowie studiów filmowych w mieście.

– Muszę znaleźć ten artykuł.

– Podeślę ci go.

– Dzięki.

– Wkurza mnie, że o twoim wypadku musiałam się dowiadywać z artykułu w gazecie – powiedziała Sandra. – Chyba zasługuję na coś więcej.

– Moja matka nie mogła przeboleć, że złamałaś mi serce.

– To było w liceum – odparła. – A ty doszedłeś do siebie. I to szybko, bo już tydzień później chodziłeś z Jenną.

– No, może. – Przygoda z Jenną, tak jak dziś ją pamiętałeś, pełna była napięć i nerwów.

– W każdym razie – ciągnęła Sandra – nawet jeżeli twoi rodzice nie powiedzieli mnie, mogli powiedzieć Narenowi. W końcu jest twoim przyjacielem. Albo Kelowi. Albo Gwen. Tymczasem gdy się dowiedzieliśmy, nie chcieli nam pozwolić na odwiedziny. Powiedzieli, że nie chcą, żebyśmy oglądali cię w tym stanie.

– Dosłownie tak powiedzieli?

Sandra milczała przez chwilę.

– Nie wprost, jednak na to wyszło. Nie chcieli, żebyśmy oglądali cię w tym stanie. Żebyśmy cię takim zapamiętali. Naren naciskał najmocniej. Był gotów przyjechać z Princeton i koczować pod waszym domem, aż go do ciebie dopuszczą. A potem wyzdrowiałeś.

Uśmiechnąłeś się, przypominając sobie wzruszającą rozmowę, którą odbyliście, kiedy zadzwoniłeś powiedzieć jej, że wszystko z tobą w porządku. A potem spoważniałeś.

– Bez sensu – powiedziałaś.  
– Co mianowicie? – zdziwiła się.  
– Ojciec powiedział mi, że na ileś dni przed odzyskaniem pamięci byłem przytomny. Że zachowywałem się normalnie.

– No i?

– Więc dlaczego wtedy do ciebie nie zadzwoniłem? Widzimy się albo rozmawiamy przez telefon praktycznie co tydzień, kiedy jestem w mieście. Albo dlaczego nie zadzwoniłem do Narena? Gadamy ze sobą niemal codziennie. Dlaczego nic nie wpisałem na Facebooku ani nie wysłałem żadnych esemesów? Dlaczego nikogo nie powiadomiłem, że czuję się już dobrze? Kiedy odzyskałem pamięć, to było pierwsze, co zrobiłem.

Sandra otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, jednak zawałała się.

– Masz rację – powiedziała po chwili – bez sensu. Zadzwoniłbyś albo wysłał esemes, choćby dlatego, że dostałbyś od nas ochrzan, gdybyś tego nie zrobił.

– No właśnie.

– Więc sądzisz, że rodzice cię okłamują?

– Być może.

– I że w jakiś sposób jest to powiązane z historią twojej choroby, bo coś tu jest nie tak?

– Być może – powtórzyłeś.

– Jak sądzisz, o co może chodzić?

– Nie mam pojęcia – przyznałeś.

– Wiesz, że masz prawo wglądu w swoje akta medyczne – powiedziała Sandra.

– Jeżeli uważasz, że to ważne, tam powinieneś zacząć.

– Jak długo to potrwa?

– Jeżeli pójdziesz do szpitala i zażadasz, żeby ci je pokazano? Każą ci wypełnić formularz, który będą następnie rozpatrywać przez kilka dni, a na koniec przedstawią ci wyciąg z twojej karty. Gdzie może, ale nie musi, być coś ciekawego.

– Uśmiechasz się, więc zakładam, że istnieje też inna droga.

Sandra, która rzeczywiście miała uśmiech na twarzy, wyciągnęła telefon i zadzwoniła do kogoś, podając tej osobie twoje dane i nazwę szpitala. Po chwili zakończyła rozmowę.

– Kto to był? – zapytałeś.

– Czasem firma, w której odbywam staż, potrzebuje zdobyć informacje szybciej, niż przewiduje to formalna procedura. Wtedy korzystamy z usług tego gościa. Ma wtyczki we wszystkich szpitalach od Escondido po Santa Cruz. Do wieczora powinieneś mieć swoje papiery.

– Skąd go znasz?

– Myślisz, że którykolwiek ze współników w firmie będzie ryzykował, że ktoś go nakryje na kontaktach z nim? Dlatego zawsze zlecają to stażystom. W ten sposób mają alibi. W razie czego zwałą wszystko na głupiego, nazbyt ambitnego studenta. Genialne w swej prostocie.

– Tyle że jeżeli gość wpadnie, ty będziesz pierwsza do odstrzału.

– Dam sobie radę. – Sandra wzruszyła ramionami.

W tym momencie przypomniałeś sobie, że pod koniec lat dziewięćdziesiątych jej ojciec sprzedał swoją firmę komputerową Microsoftowi za 3,6 miliarda dolarów, po czym zdążył spieniężyć akcje, zanim pękła bańka internetowa. W pewnym sensie studia prawnicze były jej kaprysem.

Spostrzegła twoją minę.

– Co jest?

– Nic takiego – odparłeś. – Myślę tylko o życiu niezasłużenie bogatych i w czepku urodzonych.

– W takim razie lepiej pomyśl też o sobie, panie osiem-razy-zmieniałem-kierunek-studiów-i-wciąż-nie-wiem-co-chcę-w-życiu-robić. Aż tak się nie cieszę, widząc cię w dobrym zdrowiu, żeby cię nie zabić.

– Aha – potwierdziłeś.

– Byłeś z nas najgorszy – podkreśliła. – Ja tylko cztery razy zmieniałam kierunek.

– A potem zrobiłaś sobie kilkuletnie wakacje, zanim zapisałaś się na prawo.

– Założyłam firmę komputerową. Tata był ze mnie bardzo dumny.

Milczałaś, uśmiechając się znacząco.

– No dobrze, założyłam firmę za pieniądze ojca i jego znajomych, a potem mianowałam się rzeczniczką prasową, a inni wykonywali całą pracę. Zadowolony?

– Teraz tak.

– Mimo wszystko było to coś – powiedziała. – I teraz też coś robię. Co z tego, że prześlizgałeś się do dyplomu? To, że nie musisz nic robić ze swoim życiem, nie oznacza, że nie powinieneś nic z nim robić. Oboje znamy ludzi takiego pokroju. To niepiękny widok.

– Masz rację – zgodziłaś się.

– A więc: czy wiesz już, co chcesz robić w życiu?

– Po pierwsze, chcę się dowiedzieć, co się ze mną dzieje – odparłeś. – Bo wcale nie czuję się tak, jakby uratowano mi życie. Nie mam nawet wrażenia, że to naprawdę moje życie.

\* \* \*

Stałaś przed lustrem, nagi, nie dlatego, że jesteś narcyzem, lecz dlatego, że dostawałeś świra. Na tablet otrzymałeś od Sandry skany swoich akt medycznych,

w tym protokół badania po wypadku. Są tam twoje zdjęcia, gdy w szpitalu przygotowują cię do operacji, oraz wyniki tomografii mózgu.

Lista części twojego ciała, które były złamane, pęknięte lub w inny sposób uszkodzone, brzmi jak spis treści podręcznika do anatomii. Na zdjęciach wyglądasz jak jeden z tych manekinów, które faceci od efektów specjalnych rozrzucali na podłodze w horrorach klasy B, produkowanych przez twojego ojca, gdy byłeś mały. Biorąc pod uwagę to, że prawie umarłeś, i to, co musieli zrobić, żeby utrzymać cię przy życiu, nie ma szans, żeby w tym momencie twoje ciało mogło być czymś więcej niż zlepkiem siniaków, blizn i szwów, podłączonym każdym możliwym otworem do rurek i kroplówek.

Stałeś przed lustrem, nagi, a na twoim ciele nie było ani jednej blizny.

No dobra, parę. Blizna na lewym łokciu – po upadku na rowerze, kiedy miałeś trzynaście lat. Niewielki, prawie niezauważalny ślad po oparzeniu, kiedy miałeś szesnaście lat i nachyliłeś się, żeby pocałować Jennę Fischmann dokładnie w chwili, gdy podnosiła papieros do ust. Maleńka blizna po laparoskopowym usunięciu wyrostka robaczkowego sprzed półtora roku; musisz się nachylić i rozsunąć włosy łonowe, żeby ją zobaczyć. Wszystkie drobne ślady stosunkowo niewielkich uszkodzeń ciała, jakich doświadczyłeś przed wypadkiem, są widoczne jak na dłoni.

Tylko żaden z nich nie jest związany z wypadkiem.

Zdarta skóra na większej części prawego ramienia: śladu nie ma. Blizna oznaczająca miejsce, gdzie kość piszczelowa przebiła się przez skórę lewej nogi: nie ma. Krwiaki spowodowane przez pękające żebra: zero śladów.

Spędziłeś prawie godzinę przed lustrem, porównując treść akt medycznych z obecnym wyglądem swojego ciała. Nawet cienia obrażeń, które odniosłeś. Masz praktycznie nieskalane ciało dwudziestolatka. Jakby wypadek nigdy się nie zdarzył. W każdym razie nie tobie.

Chwyciłeś tablet i wyłączyłeś go, pilnując, żeby przypadkiem nie otworzyć pliku z wynikiem rezonansu, opatrzonym komentarzem technika XXX, bo rozbieżność pomiędzy nim a wynikami poprzedniego badania była wielka jak Wielki Kanion. Poprzedni rezonans sugerował, że resztę życia spędzisz jako dawca organów. Obecny pokazywał całkowicie zdrowy mózg w idealnie zdrowym ciele.

Istnieje słowo na określenie czegoś takiego.

– Niemożliwe – wypowiedziałeś je, spoglądając na własne odbicie w lustrze, bo wiedziałeś, że na obecnym etapie nikt tego nie przyzna. – Po prostu niemożliwe.

Rozejrzałeś się po mieszkaniu, starając się patrzeć tak, jakbyś widział je po raz pierwszy. Jest spore jak na pierwsze niezależne lokum młodego człowieka, pełne pamiątek ostatnich paru lat twojego życia i zmian kierunku studiów, gdy próbowałeś ustalić, co właściwie masz ochotę robić w życiu. Na biurku twój laptop, kupiony do pisania scenariuszy, lecz używany głównie do sprawdzania, co dzieje się na Facebooku u twoich licznych przyjaciół. Na półkach stos książek z dziedziny antropologii, pamiątka po dyplomie, który robiłeś z pełną świadomością, że nigdy

nie będziesz pracował w zawodzie; grałeś tylko na czas, bo za cholere nie wiedziałeś, o co ci w życiu chodzi. Na nocnym stoliku cyfrowa lustrzanka Nikona, którą dostałeś od matki, kiedy wspomniałeś, że po głowie chodzi ci fotografowanie; używałeś jej przez tydzień, a potem odłożyłeś na półkę i więcej nie tknąłeś. Obok scenariusz *Kronik „Nieustraszonego”* – ślad najnowszego pomysłu: a może jednak aktorstwo?

Niestety, tak jak z pisaniem scenariuszy, antropologią i fotografią, wiesz już, że to nie dla ciebie; nie będziesz aktorem. Jednak tak jak poprzednio – od podjęcia decyzji musi minąć trochę czasu, zanim będziesz się mógł wycofać z twarzą. Przy antropologii olśnienie nastąpiło z chwilą otrzymania dyplomu. Jeżeli chodzi o scenopisarstwo, zadecydowało chaotyczne spotkanie z agentem, który na prośbę twojego ojca zgodził się poświęcić ci dwadzieścia minut. Co zaś do aktorstwa, to zagrasz w najbliższym odcinku, a potem wycofasz się i wrócisz tutaj, do tej kawalerki, żeby zastanowić się, co dalej.

Odwróciłeś się do lustra i spojrzaleś raz jeszcze na siebie, nagiego i bez skazy. Pomyślałeś, że być może jako dawca organów miałbyś światu coś więcej do zaoferowania niż teraz: zdrowy, zadowolony z siebie i kompletnie bezużyteczny.

\* \* \*

Leżałeś na noszach na planie *Kronik „Nieustraszonego”*, czekając, aż ekipa skończy szykowanie kolejnego ujęcia, i czuleś się coraz mniej fajnie. Częściowo chodziło o makijaż, mający sprawić, żebyś wyglądał na bladego, spoconego i posiniaczonego, a który wymagał wielokrotnego nakładania podobnej do gliceryny substancji, przez co czuleś się, jakbyś był nasmarowany żelem nawilżającym. A częściowo o to, że dwaj inni aktorzy nieustannie ci się przyglądali.

Jeden z nich, Brian Abnett, był statystą jak ty. Dotąd nie zwracałeś na niego większej uwagi, bo na planie każdy wiedział, że jesteś synem producenta, a ty miałeś świadomość, że istnieje gatunek drugorzędnych aktorów, którzy pragnęliby zaprzyjaźnić się z tobą, żeby poprawić swoją pozycję. Wiedziałeś, że o to tu chodzi; nie chciałeś mieć z tym nic wspólnego.

Jednak drugi, Marc Corey, należał do grona gwiazd serialu. Był na świetnej stopie z twoim ojcem, nie potrzebował więc nikogo, żeby poprawić swoje notowania. W dodatku z tego, co wiedziałeś o nim z plotkarskich serwisów – takich jak Gawker czy Thirty Mile Zone, i od ojca, wynikało, że nie jest kimś, kto traciłby na ciebie swój cenny czas. Fakt, że praktycznie nie spuszczał cię z oka, był więc dość niepokojący.

Przez kilka godzin leżałeś, udając pogrążonego w śpiączce, podczas gdy Corey i kilku statystów nachylali się nad tobą podczas kosmicznej bitwy, biegli z noszami przez rozmaite korytarze, aż wreszcie dotarli do ambulatorium, gdzie kolejni statyści, ubrani w kitle lekarskie, udawali, że robią ci zastrzyki i przesuwali nad tobą rozmaite dziwne urządzenia, jakby naprawdę przeprowadzali diagnozę twojego stanu. Raz na jakiś czas unosiłeś powiekę, żeby sprawdzić, czy Abnett



i Corey wciąż ci się przyglądają. Najczęściej tak było. W jedynej scenie, w której w ogóle coś grałeś – otwierałeś oczy, udając, że odzyskujesz przytomność – obaj gapili się na ciebie z napięciem. Tak było napisane w scenariuszu. Mimo to zastanawiałeś się, czy mają zamiar zaczepić cię po zdjęciach.

Po sfilmowaniu wszystkich przewidzianych na ten dzień scen mogłeś wreszcie zmyć makijaż, na zawsze kończąc karierę aktorską. Wychodząc, zauważyłeś Abnetta i Coreya pogrążonych w rozmowie. W sumie nie wiesz, dlaczego w ostatniej chwili skrzyłeś i podszedłeś do nich.

– Matt – powitał cię Marc.

– Co się dzieje? – zapytałeś tonem, który sugerował, że jest to coś więcej niż zwyczajowa kwestia.

– Co masz na myśli?

– Przyglądaliście się mi przez cały dzień.

– Cóż, tak – odparł Abnett. – Grałeś postać pogrążoną w śpiączce. Cały dzień nosiliśmy cię na noszach. Musieliśmy na ciebie patrzeć.

– Dobra, dobra – powiedziałeś. – Chcę wiedzieć, co się dzieje.

Corey otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął i zwrócił się do Abnetta:

– Moja praca tutaj nie kończy się dzisiaj.

Abnett uśmiechnął się cierpko.

– W porządku, wezmę to na siebie.

– Nie o to chodzi – wściekł się Corey. – On ma prawo wiedzieć.

– Masz rację. – Abnett poklepał Coreya po ramieniu. – Zajmę się tym, Marc.

– Dzięki – odrzekł Corey i zwrócił się do ciebie. – Dobrze cię widzieć, Matt. Naprawdę. – I szybko odszedł.

– Naprawdę nie wiem, o co tu chodziło – powiedziałeś do Abnetta, gdy Corey się oddalił. – Jestem całkiem pewny, że dotychczas w ogóle się mną nie interesował.

– Jak się czujesz, Matt? – zapytał Abnett, nie odpowiadając wprost.

– Co masz na myśli?

– Myślę, że wiesz. Czujesz się dobrze? Zdrowo? Jak nowo narodzony?

W tym momencie poczułeś dreszcz.

– Ty wiesz – stwierdziłeś.

– Tak – potwierdził. – I teraz wiem, że ty też. A w każdym razie się domyślasz.

– Na pewno nie wiem tyle co ty.

Aktor spojrział na ciebie.

– Zapewne masz rację. W takim razie chyba powinniśmy ewakuować się stąd i udać gdzieś na drinka. A nawet na kilka.

\* \* \*

Wróciłeś do mieszkania późnym wieczorem i stałeś pośrodku pokoju, rozglądając się w poszukiwaniu czegoś. W poszukiwaniu wiadomości, którą dla ciebie zostawiono.

– Hester ją dla ciebie zostawił – wyjaśnił Abnett, gdy już zreferował tę całą kompletnie niemożliwą historię. – Nie wiem gdzie, bo mi nie powiedział. Powiedział Kerenskiemu, który powiedział Coreyowi, który powiedział mnie. Corey mówi, że gdzieś w twoim mieszkaniu, gdzieś, gdzie to znajdziesz, ale gdzie nie zajrzałyby nikt inny, i gdzie ty też byś nie zajrzał, gdybyś nie wiedział, że masz szukać.

– Dlaczego w ogóle to zrobił? – zapytałeś.

– Nie mam pojęcia. Może pomyślał, że sam nie skumasz co i jak. Ale w takim razie po co miałby ci mówić? Pewnie i tak byś nie uwierzył. Ja sam ledwo w to wierzę, a przecież spotkałem moją postać. To było naprawdę dziwne, mówię ci. Ty nie spotkałeś swojej. Dopiero byś się zdziwił.

Nie zdziwiłeś się. Miałeś przecież fizyczny, namacalny dowód. Siebie.

Siadłeś najpierw do komputera i przejrzałeś wszystkie foldery, szukając dokumentów o obco brzmiących nazwach. Nic. Potem ułożyłeś foldery według daty, żeby sprawdzić, czy jakiś został dodany po twoim wypadku. Znowu nic. Sprawdziłeś e-maile, ale żaden nie pochodził od ciebie samego. Na Facebooku znalazłeś masę wiadomości od przyjaciół i znajomych, wieszających ci powrotu do zdrowia, lecz znowu nic, co zwróciłoby twoją uwagę, żadnych nowych zdjęć, w którymś z twoich albumów. Żadnego śladu ciebie zostawiającego wiadomość dla ciebie.

Wstałeś od biurka i odwróciłeś się, omiatając wzrokiem pokój. Podeszedłeś do półek z książkami. Sięgnąłeś po notatniki, które kupiłeś, kiedy postanowiłeś zostać scenarzystą, żeby zapisywać swoje myśli, a potem właściwe dzieła. Przekartkowałeś je. Wciąż były puste. Odłożyłeś je na półkę i skierowałeś wzrok na książki pamiątkowe z liceum. Wyciągnąłeś je, robiąc ślad w kurzu pokrywającym mebel, i otworzyłeś, szukając jakiegoś nowego wpisu. Nic. Odłożyłeś roczniki na półkę i w tym momencie zauważyłeś inne miejsce, gdzie w kurzu widniał ślad, ale nie po książce.

Przyglądałeś mu się przez chwilę, a potem odwróciłeś się, podeszedłeś do nocnego stolika i chwyciłeś aparat fotograficzny. Wyjąłeś kartę pamięci, wsunąłeś ją do czytnika w komputerze. Pokazała się lista plików; ułożyłeś je chronologicznie.

Trzy pliki – jedno zdjęcie i dwa pliki wideo – nosiły datę późniejszą od daty wypadku.

Zdjęcie pokazywało czyjeś nogi i buty. Uśmiechnąłeś się.

W pierwszym wideo ktoś po prostu filmował pokój, obracając się w jedną stronę, a potem w drugą, jakby chciał sprawdzić, jak działa kamera.

W drugim wideo zobaczyłeś siebie. Najpierw swoją twarz, a potem, po serii trzasków i wstrząsów wreszcie ustawiłeś aparat, całą postać. Siedziałeś.

Autofokus zaszumił i wyostrzył.

– Cześć, Matthew – powiedziałaś. – Nazywam się Jasper Hester. Jestem tobą. Mniej więcej. Spędziłem właśnie parę dni z twoimi najbliższymi, rozmawiając o tobie. Dowiedziałem się, że nie używałaś tego aparatu od roku, co oznacza, że jest to idealny sposób na zostawienie ci wiadomości. Jeżeli odzyskasz przytomność i będziesz żyć jak gdyby nigdy nic, to jej nie odnajdziesz i nic się nie stanie. A jeśli ją znajdziesz i odtworzysz, będzie to znaczyło, że jej szukałeś. Jeżeli szukałeś tej wiadomości, to zapewne wydarzyła się jedna z dwóch rzeczy. Albo zdałeś sobie sprawę, że coś tu nie gra, a nikt nie chciał ci wyjaśnić co. A może powiedziano ci, co się stało, a ty w to nie wierzysz...? Jeżeli to pierwsze, to nie, nie jesteś wariatem ani nie przeszedłeś żadnego załamania nerwowego. Nie miałeś udaru. Doznałeś poważnych uszkodzeń mózgu, ale nie w tym ciele, w którym się teraz znajdujesz. O to się więc nie martw. Nie cierpisz też na amnezję. Nie masz żadnych wspomnień tego, bo nie ty to robisz. To chyba proste. Jeżeli powiedziano ci, co się wydarzyło, a ty w to nie wierzysz, to mam nadzieję, że moja wypowiedź cię przekona. Jeżeli nie, to cóż, nie wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć. Wierz, w co chcesz. I tymczasem przynajmniej mnie wysłuchaj. –

Hester, który jest tobą, a zarazem nie jest, przeczesał włosy dłonią i na moment podniósł wzrok, jakby zastanawiał się, od czego zacząć. – A więc tak. Oto, co chcę powiedzieć. Myślę, że istnieję dlatego, że istniejesz ty. W jakiś sposób, którego nawet nie próbuję racjonalnie wytłumaczyć, w dniu, kiedy poprosiłeś ojca, żebyś mógł wystąpić w serialu, tego dnia coś się wydarzyło. Wydarzyło się coś, w efekcie czego we wszechświecie, w którym żyję, sprawy tak się potoczyły, że się urodziłem i zacząłem żyć po to, żebyś ty mógł zagrać mnie: postać fikcyjną w twoim świecie. Nie wiem jak i dlaczego, ale tak to działa. Po prostu. Moje życie i twoje są połączone, bo jesteśmy jakby jedną osobą, tyle że żyjemy każdy w swoim wszechświecie, a dzieli nas kilka stuleci. W związku z tym czuję, że mogę zadać ci następujące pytanie. Matthew, pytam zupełnie poważnie, co my do cholery robimy ze swoim życiem? Bo wiesz, rozmawiałem o tobie z twoimi najbliższymi. Kochają cię. Wszyscy bez wyjątku. Kochają cię, więc kiedy miałeś wypadek, było tak, jakby ktoś wbił im nóż w serce. Zdumiewające, jak wiele miłości mają dla ciebie. Z drugiej strony, i znowu: mogę to powiedzieć, bo jesteś mną, widzę, że uważają, iż musisz wziąć się za siebie. Mówią, że interesujesz się tyłoma rzeczami i że czekasz na tę jedną, która pozwoli ci zrealizować życiowy potencjał, a ja słyszę to, czego nie mówią głośno: że musisz dorosnąć. Wiem, bo jestem taki sam. Oczywiście, że jestem taki sam; jestem przecież tobą. Od lat dryfuję, nie robiąc nic ze swoim życiem. Wstąpiłem do floty kosmicznej nie dlatego, że czułem powołanie, lecz z braku lepszego pomysłu. Skoro i tak nie wiem, co ze sobą począć, to mogę przynajmniej zwiedzić wszechświat, nie? Ale nawet wtedy wciąż szedłem po linii najmniejszego oporu. Wysiłanie się nie miało sensu. Nie było źle. Prawdę mówiąc, uważałem, że jestem całkiem sprytny. Żyłem po swojemu i uchodziło mi to na sucho. A potem zjawiłem się tutaj i zobaczyłem ciebie, pogrążonego w śpiączce, podłączonego do aparatury całą masą rurek. I zdałem sobie sprawę, że nic nie uchodziło mi na sucho. Podobnie jak tobie. Po prostu urodziłeś się, przez jakiś czas zbijałeś baki, a potem zderzyłeś się

z rozpędzonym samochodem i umarłeś. Ot i cała historia twojego życia. Nie da się wygrać, nie robiąc nic przez całe życie. Matthew, jeżeli oglądasz mnie teraz, to dlatego, że jeden z nas w końcu zrobił coś sensownego ze swoim życiem. To ja. Postanowiłem cię uratować. Zamieniłem się z tobą na ciała, bo myślę, że ja przeżyję w twoim pokiereszowanym ciele w moim wszechświecie, a ty przeżyjesz w moim. Jeżeli się mylę i obaj umrzemy, to przynajmniej umrę, próbując ratować cię. Jasne, że to nie najlepsza perspektywa, ale i tak nie spodziewałem się dożyć starości w serialu twojego ojca. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, byłaby to zupełnie niezła śmierć. Zdradzę ci jednak pewien sekret. Myślę, że się uda. Nie pytaj mnie dlaczego, w ogóle nie pytaj mnie, jak to wszystko się dzieje, po prostu tak myślę. Jeżeli tak się stanie, to chciałbym prosić cię o jedną rzecz: żebyś coś ze sobą zrobił. Przestał dryfować. Przestał próbować jednej rzeczy za drugą, dopóki ci się nie znudzą. Żebyś przestał czekać na tę jedną jedyną rzecz. To głupie. Marnujesz czas. Prawie zmarnowałeś cały, jaki miałeś do dyspozycji. Miałeś szczęście, że się pojawiłem. Jednak mam wrażenie, że nie jest to coś, co moglibyśmy powtórzyć. Ja zrobię to samo. Mam dosyć dryfowania, Matthew. Nasze życie jest arbitralne i dziwne, lecz jeżeli uda mi się ta akcja, jeżeli uda się mnie i moim przyjaciółom z *Kronik „Nieustraszonego”*, to zdobędziemy coś, czego w moim wszechświecie nie ma nikt inny: szansę decydowania o własnym losie. Skorzystam z niej. Jeszcze nie wiem jak. Wiem tylko, że jej nie zmarnuję. Ty też jej nie zmarnuj, Matthew. Nie oczekuję od ciebie, żebyś od razu wiedział, co dalej masz robić. Oczekuję za to, że do tego dojdiesz. Myślę, że biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, nie jest to wygórowana prośba. Witaj w swoim nowym życiu, Matthew. Nie spieprz go.

Na tym wideo się skończyło.

Wyłączyłeś odtwarzacz wideo, zamknąłeś laptop i odwróciłeś się, żeby ujrzeć swojego ojca stojącego w drzwiach.

– To nie amnezja – powiedział ze łzami w oczach.

– Wiem – odparłeś.

## EPILOG III: TRZECIA OSOBA

Samantha Martinez siedzi przy komputerze i ogląda krótki filmik wideo pokazujący podobną do niej kobietę czytającą książkę na plaży. Jest miesiąc miodowy, a film kręci jej świeżo poślubiony mąż – kamerą, którą otrzymali w prezencie ślubnym. Treść filmiku jest zupełnie zwyczajna: kamerzysta zbliża się do kobiety, która podnosi wzrok znad książki, uśmiecha się, przez kilka sekund próbuje ignorować kamerę, a potem odkłada książkę i patrzy prosto w obiektyw. W tle majaczy zarys mola w Santa Monica albo podobnego miejsca.

– Odlóż tę zabawkę i chodź ze mną do wody – mówi ona.

– Ktoś zabierze kamerę.

– No to zabierze. Będzie miał wideo przedstawiające mnie czytającą książkę. A ty będziesz miał mnie.

– Słusznie – mówi on.

Kobieta wstaje, odkłada książkę, poprawia kostium i spogląda ponownie na mężczyznę.

– Idziesz?

– Zaraz. Biegnij. Jeżeli ktoś ukradnie kamerę, chcę, żeby złodziej wiedział, co traci.

– O rany – mówi ona, a potem przez minutę kamera odsuwa się, gdy zbliża się do męża, żeby skraść mu pocałunek.

Wreszcie obraz nieruchomieje i kamera śledzi kobietę, gdy ta biegnie do wody. Na końcu odwraca się i daje znak mężczyźnie, żeby do niej dołączył. Kamera zostaje wyłączona.

Samantha Martinez ogląda filmik jeszcze trzy razy, potem wstaje, bierze kluczyki od samochodu i wychodzi z domu.

\* \* \*

– Samantho – mówi jej siostra Eleonora, machając jej dłonią przed twarzą. – Znowu to robisz.

– Przepraszam. Co robię?

– To – mówi Eleonora. – Przestajesz słuchać i wyglądasz przez okno, kiedy ktoś do ciebie mówi.

– Nie wyglądałam przez okno.

– Ale nie słuchałaś. Wyglądanie przez okno nie jest tu najważniejsze.

Siedziały w restauracji P.F. Chang's w Burbank, która wczesnym popołudniem jest pusta, jeżeli nie liczyć pary młodych ludzi w boksie na drugim końcu sali. Eleonora i Samantha siedzą przy dużym oknie, wychodzącym na parking pobliskiej galerii handlowej.

Samantha nie wygląda przez okno; w rzeczywistości obserwuje parę młodych ludzi, którzy pogrążeni są w rozmowie. Nawet z tej odległości widać, że nie są razem, choć być może kiedyś byli, a młody człowiek nie miałby nic przeciwko temu, żeby do siebie wrócili. Nachyla się ku niej niemal niedostrzegalnie, komunikując swoje intencje. Ona jeszcze tego nie zauważa; Samantha jest ciekawa, czy kiedyś zauważy. I czy młody człowiek zdecyduje się na większą otwartość.

– Samantho – mówi Eleonora z naciskiem.

– Wybacz – odpowiada Samantha i z powrotem kieruje uwagę na siostrę. – Naprawdę przepraszam. Jestem ostatnio taka rozkojarzona.

Eleonora odwraca się za siebie i widzi parę młodych ludzi w boksie.

– Znasz ich?

– Nie. Po prostu się im przyglądam. On czuje do niej większą miętę niż ona do niego.

– No cóż – mówi Eleonora, patrząc na Samanthę. – Może powinnaś pójść i powiedzieć mu, żeby nie tracił czasu.

– On nie traci czasu – odpowiada Samantha. – Po prostu jeszcze nie zdążył jej przekazać, jak wiele dla niego znaczy. Jeżeli cokolwiek miałabym mu powiedzieć, to właśnie to. Żeby przestał milczeć. Życie jest na to za krótkie.

Eleonora przygląda się siostrze ze zdziwieniem.

– Wszystko w porządku, Sam? – pyta.

– Tak.

– Bo zabrzmiało to jak kwestia z serialu dla kobiet, kiedy główna bohaterka odkrywa, że ma raka piersi.

Samantha śmieje się.

– Nie mam raka piersi. Przysięgam.

Eleonora uśmiecha się.

– Więc o co chodzi, siostrzyczko?

– Trudno to wyjaśnić.

– Nasza kelnerka się nie spieszy. Spróbuj.

– Ktoś przysłał mi paczkę – mówi Samantha. – Zdjęcia, filmy wideo i listy miłosne męża i żony. Przeglądałam je.

– Czy to legalne? – pyta Eleonora.

– Nie sądzę, żebym musiała się o to martwić.

– Po co ktoś miałby ci coś takiego przysyłać?

- Widocznie uważał, że to może być dla mnie ważne.
- Przypadkowe listy miłosne jakichś obcych ludzi?
- Nieprzypadkowe – odpowiada Samantha, starannie ważąc słowa. – Przesłanie ich mnie miało sens. Tyle że jest tam sporo do czytania.
- Mam wrażenie, że nie mówisz mi wszystkiego.
- Powiedziałam ci, że trudno to wyjaśnić.
- No dobrze, więc co to za uczucie czytać cudze listy miłosne?
- Smutne – mówi Samantha. – Byli szczęśliwi, a potem im to odebrano.
- Dobrze, że przynajmniej na początku zaznali szczęścia.
- Eleonoro, czy kiedykolwiek zastanawiasz się nad tym, że mogłabyś mieć inne życie? – pyta Sam, lekko zmieniając temat. – Czy nie myślisz czasem, że gdyby sprawy potoczyły się inaczej, miałabyś inną pracę, innego męża, inne dzieci? Myślisz, że byłabyś szczęśliwsza? A gdybyś mogła zobaczyć to inne życie, jak byś się poczuła?
- Spora dawka filozofii jak na jeden raz – mówi Eleonora, a kelnerka wreszcie nadchodzi z ich sałatkami. – Nie, Samantho, nie zastanawiam się, czy mogłabym mieć inne życie. Lubię to, które mam. Mam dobrą pracę, Braden to dobry chłopiec, a Lou mam ochotę udusić tylko czasami. Od czasu do czasu martwię się o moją młodszą siostrę, ale nic więcej.
- Poznałaś Lou w Pomonie – mówi Samantha, wymieniając nazwę uczelni, którą kończyła Eleonora. – Pamiętam, że rzuciłaś monetą, bo nie wiedziałas, którą szkołę wybrać. Gdyby wypadł orzeł, poszłabyś do Wesleyan. Nigdy nie poznałabyś Lou. Nie wyszłabyś za niego i nie urodziła Bradena. Jeden rzut monetą i twoje życie wyglądałoby zupełnie inaczej.
- Zapewne masz rację – mówi Eleonora, jedząc.
- A więc może gdzieś istnieje inna ty? Może ona wyrzuciła wtedy orła. Żyje swoim życiem. Jakbyś się poczuła, gdybyś mogła do niego zajrzeć?
- Eleonora przełyka i celuje w siostrę widelcem.
- Co do tego rzutu monetą – mówi. – Sfałszowałam go. To mama chciała, żebym poszła do Wesleyan, nie ja. Cieszyła ją myśl, że będę studiowała tam, gdzie ona. Ja zawsze chciałam iść do Pomony, to ona błagała, żebym wzięła pod uwagę Wesleyan. Wreszcie, żeby zakończyć temat, powiedziałam jej, że rzucę monetą. Bez względu na to, co by wypadło, i tak wybrałabym Pomonę. Chodziło tylko o to, żeby zrobić jej dobrze.
- Były inne momenty, w których twoje życie mogło potoczyć się inaczej – mówi Samantha. – Inne rozdroża.
- Ale się nie potoczyło – zauważa Eleonora. – Nie mam innego życia. Mam tylko to obecne, moje jedyne życie. Nie mam sobowtóra gdzieś we wszechświecie, żyjącego moim alternatywnym życiem, a jeżeli nawet, to nie zaprzętałabym sobie tym głowy, bo mam do przeżycia moje życie tu i teraz. Mam Lou i Bradena i jestem

szczęśliwa. Nie przejmuję się tym, co potencjalnie mogło się wydarzyć. Może to brak wyobraźni. Dzięki temu nie jestem ponuraczką.

Samantha uśmiecha się.

– Ja też nie jestem ponuraczką – mówi.

– Ależ jesteś – odpowiada jej siostra. – Albo malkontentką, co jest społecznie nieco bardziej akceptowane. Brzmi to tak, jakbyś czytając listy tych ludzi, zastanawiała się, czy nie są od ciebie szczęśliwsi.

– Nie są – rzuca Samantha. – Ona nie żyje.

\* \* \*

List Margaret Jenkins do jej męża, Adama:

*Najdroższy!*

*Kocham Cię. Przykro mi, że się gniewasz. Wiem, że „Wiking” miał być z powrotem na Ziemi na naszą rocznicę, ale to nie ja wyznaczam przebieg misji, zwłaszcza misji ratunkowych, takich jak ta. Wiedziałeś o tym, żeniąc się ze mną. Rozmawialiśmy o tym. Podobnie jak Ty nie lubię rozłąki, lecz z drugiej strony kocham to, co robię. Oświadczając mi się, powiedziałeś, że zdajesz sobie sprawę, że jest to coś, z czym będziesz musiał żyć. Proszę Cię, żebyś o tym pamiętał.*

*Powiedziałeś również, że sam zastanowisz się nad wstąpieniem do floty. Rozmawiałam z kapitan Feist o naborze specjalistów i dowiedziałam się, że bardzo potrzebują ludzi mających doświadczenie w obsłudze dużych systemów informatycznych. I że jeżeli przejdiesz przyspieszone szkolenie i zaczniesz latać, flota spłaci twoje kredyty studenckie. W ten sposób mielibyśmy jedną rzecz z głowy.*

*Kapitan Feist mówiła mi również, że w ciągu najbliższego roku na „Wikingu” powinno zwolnić się miejsce dla specjalisty od informatyki. Gwarancji nie ma, ale spróbować można, dopóki Unia stara się, żeby małżeństwa pracowały na tej samej jednostce, bo to dobrze działa na morale. Jestem pewna, że zrobiłoby to dobrze mojemu morale. Monogamia jest mało przyjemna, gdy nie można korzystać z jej przywilejów. Wiem, że Ty czujesz podobnie.*

*Kocham Cię. Myśl o tym. Kocham Cię. Przykro mi, że nie mogę być tam z Tobą. Kocham Cię. Wiedz, że bardzo bym chciała. Kocham Cię. Chciałabym, żebyś był tu ze mną. Kocham Cię. Może się uda. Kocham Cię. Myśl o tym. Kocham Cię.*

*I jeszcze: kocham Cię.*

*Twoja kochająca*

*M.*

\* \* \*



Żeby uspokoić Eleonorę, która po rozmowie w P.F. Chang's coraz bardziej martwiła się o siostrę, Samantha zgodziła się wziąć udział w serii randek w ciemno. Kandydaci zostali podobno wybrani przez Eleonorę przypadkowo.

Randki nie idą najlepiej.

Pierwsza jest z bankierem inwestycyjnym, który większość spotkania poświęca usprawiedliwianiu zachowania jego kolegów po fachu w czasie kryzysu finansowego w 2008 roku. Poza tym od czasu do czasu odbiera „pilne” wiadomości od współników z Sydney i Tokio. Gdy idzie do łazienki bez telefonu, Samantha wyjmuje baterię i wkłada ją odwrotnie. Bankier, wściekły, że telefon z niewyjaśnionych powodów przestał działać, wychodzi z restauracji szukać salonu sieci komórkowej. W ostatniej chwili pyta, czy Samantha nie ma nic przeciwko temu, żeby każde zapłaciło za siebie.

Druga jest z gimnazjalnym nauczycielem angielskiego z Glendale, który chciałby zostać scenarzystą. Zgodził się na randkę, bo Eleonora zasugerowała, że Samantha ma koneksje w *Kronikach „Nieustraszonego”*, gdzie swego czasu statystowała. Gdy Sam wyjaśnia, że była tylko statystką i to przed laty oraz że rolę dostała w wyniku castingu, a nie po znajomości, nauczyciel milczy przez kilka minut. Potem prosi ją, żeby mimo wszystko przeczytała i oceniła jego scenariusz. Samantha czyta w milczeniu. Scenariusz jest beznadziejny. Żeby nie sprawić facetowi przykrości, kłamie.

Trzecia randka jest z mężczyzną tak nudnym, że Sam z ulgą wsiada do taksówki, dosłownie w tej samej chwili zapominając wszystko na jego temat.

Czwarta jest z biseksualną koleżanką Eleonory z pracy, której płeć siostra Samantha zataiła, nazywając ją „Chris”. Chris nie traci rezonu, kiedy Sam wyjaśnia jej sytuację. Kolacja przebiega w miłej atmosferze. Później tego wieczora Samantha dzwoni do siostry i pyta ją, co przyszło jej do głowy. „Kochanie, od tak dawna z nikim nie byłaś. Pomyślałam, że może coś przede mną ukrywasz” – odpowiada Eleonora.

Piąty randkowiec jest świrem. Samantha wychodzi, zanim jeszcze podadzą im przystawki.

Szósty ma na imię Bryan, jest uprzejmy, uważny, czarujący, przystojny i – ona widzi to wyraźnie – w ogóle nie jest nią zainteresowany. Gdy mu to sugeruje, on wybucha śmiechem.

– Przepraszam – mówi. – Miałem nadzieję, że to nie będzie takie oczywiste.

– Nie ma sprawy – odpowiada Sam. – Ale dlaczego zgodziłeś się tu przyjść?

– Znasz swoją siostrę, prawda? Po pięciu minutach nagabywania uznałem, że wolę się zgodzić dla świętego spokoju, niż wymyślać wymówki. Powiedziała, że bardzo miła z ciebie osoba. I miała rację.

– Dziękuję. – Ona przygląda mu się przez kilka chwil. – Jesteś wdowcem – mówi wreszcie.

– Ach. Eleonora ci powiedziała. – Upija łyk wina.

– Nie. Domyśliłam się.

– Powinna była ci powiedzieć. Przykro mi, że tego nie zrobiła.

– To nie twoja wina. Dwa tygodnie temu przemilczała fakt, że umawia mnie z kobietą, więc niespecjalnie dziwi mnie brak wzmianki o wdowieństwie.

Śmieją się oboje.

– Myślę, że może powinnaś zwolnić siostrę z posady swatki – mówi Bryan.

– Od jak dawna? – pyta Samantha. – To znaczy od jak dawna jesteś wdowcem.

On kiwa głową na znak, że rozumie, o co jej chodzi.

– Od półtora roku. Udar. Biegła w półmaratonie, przewróciła się i umarła w szpitalu. Lekarze powiedzieli, że naczynia krwionośne w jej mózgu zapewne zawsze były cienkie i akurat w tym momencie postanowiły pęknąć. Miała trzydzieści cztery lata.

– Przykro mi – mówi cicho Samantha.

– Mnie też. – Bryan bierze kolejny łyk wina. – Rok po śmierci Jen znajomi zaczęli mnie pytać, czy jestem gotów znowu się umawiać. Czemu nie – pomyślałem. Zacząłem chodzić na randki i zdałem sobie sprawę, że w ogóle mnie to nie interesuje. Bez urazy – dodaje szybko. – Nie chodzi o ciebie. Chodzi o mnie.

– Nie czuję się urażona. To musiała być prawdziwa miłość.

– To właśnie jest w tym najśmieszniejsze. – Bryan nagle ożywia się bardziej niż w trakcie ich całej dotychczasowej rozmowy, a nawet, jak podejrzewa Sam, niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich miesięcy. – To nie była miłość, w każdym razie nie od początku, wiesz, nie z mojej strony. Jen zawsze mi powtarzała, że wiedziała, iż będę jej, od kiedy mnie ujrzała, lecz ja tego nie wiedziałem. Z początku nawet nie bardzo mi się podobała.

– Dlaczego?

– Była natarczywa. – Roześmiał się. – Nie miała oporów przed mówieniem tego, co myśli, nawet jeżeli nie pytało się jej o zdanie. Szczerze mówiąc, to mnie denerwowało. Uważałem, że nie jest w moim typie.

– Lecz w końcu się do niej przekonałeś.

– Nie potrafię tego wyjaśnić. Nie, to nieprawda – mówi po chwili. – Potrafię. Jen uznała mnie za projekt długoterminowy i zainwestowała we mnie swój czas. A potem nagle, któregoś dnia, spostrzegłem, że stoję na ślubnym kobiercu. Tyle że wtedy już ją kochałem. To wszystko. Jak mówiłem, nie potrafię tego wyjaśnić.

– Brzmi cudownie.

– I takie było. – Bryan dopija wino.

– Myślisz, że tak to jest? – pyta Samantha. – Że kocha się na zawsze już tylko tę jedną osobę?

– Nie wiem. Ze wszystkich ludzi na świecie? Nie sądzę. Ludzie różnie patrzą na miłość. Są tacy, którzy kogoś kochają, a jeżeli ten ktoś umrze, są w stanie pokochać kogoś innego. Kiedyś byłem świadkiem na ślubie kolegi ze studiów. Jego żona zmarła, a pięć lat później on ożenił się ponownie. Za jednym i za

drugim razie był przeszczęśliwy. Więc nie, nie sędzę, żeby w przypadku wszystkich ludzi na świecie było tak, jak mówisz. Za to może jest tak w moim...

– Cieszę się, że ją kochałeś.

– Ja też. Szkoda tylko, że nie mogliśmy być ze sobą odrobinę dłużej, to wszystko. – Bryan odstawia kieliszek, który przez cały czas obracał w dłoniach. –

Samantho, bardzo cię przepraszam. Znowu to zrobiłem: opowiedziałem osobie, z którą umówiłem się na randkę, jak bardzo kocham moją zmarłą żonę. Nie chcę grać przed tobą roli wdowca.

– Nie przeszkadza mi to. Nie jesteś pierwszy.

\* \* \*

– Nie mogę uwierzyć, że wciąż masz tę kamerę – mówi Margaret do swojego męża, który znowu ją filmuje. Idą korytarzem „Nieustraszonego”. Właśnie oboje dostali tu przydział.

– To prezent ślubny – mówi jej mąż. – Od wuja Willa. Zabiłby mnie, gdyby się dowiedział, że ją wyrzuciłem.

– Nie musisz jej wyrzucać. Mogę zaaranżować wypadek.

– No co ty?!

Margaret zatrzymuje się.

– Jesteśmy na miejscu. Nasza kajuta. Tu, na tym statku, będziemy wiedli nasze szczęśliwe małżeńskie życie.

– Następnym razem spróbuj to powiedzieć mniej sarkastycznym tonem.

– A ty spróbuj się nauczyć nie chrapać – odpowiada Margaret i otwiera drzwi. – Pan pierwszy, panie reżyserze. – Zaprasza go do środka szerokim gestem.

Jej mąż przestępuje przez próg i wykonuje panoramiczne ujęcie pomieszczenia.

– Więcej tu miejsca niż w naszej kajucie na „Wikingu” – mówi.

– Znam szafki na szczotki większe niż nasza kajuta na „Wikingu” – podkreśla Margaret.

– Tak, za to tu jest prawie tyle miejsca co w dwóch szafkach na szczotki – odpowiada jej mąż.

Margaret zamyka drzwi i spogląda na niego.

– Kiedy masz się zameldować w ksenobiologii?

– Powinienem niezwłocznie.

– Nie o to pytam.

– Co masz na myśli?

– Coś, czego nie będziesz mógł sfilmować – odpowiada Margaret.

\* \* \*

– Chcesz się wyspowiadać? – pyta ksiądz Neil.

Samantha mimowolnie chichocze.

– Nie sądzę, żebym potrafiła wyspowiadać się przed tobą, zachowując powagę.

– Taki właśnie jest problem z przychodzeniem do księdza, z którym romansowało się w liceum – mówi ojciec Neil.

– Wtedy nie byłeś jeszcze księdzem.

Siedzą w jednej z tylnych ław kościoła pod wezwaniem świętego Findbara.

– Cóż, jeżeli będziesz potrzebowała się wyspowiadać, daj mi znać. Obiecuję, że nikomu nie powiem. Taki mam obowiązek.

– Wiem.

– Więc dlaczego chciałaś się ze mną zobaczyć? Nie żeby to nie było miłe.

– Czy jest możliwe, że mamy inne życie? – pyta Samantha.

– W sensie reinkarnacji? – odpowiada pytaniem ksiądz. – Pytasz o doktrynę katolicką czy o coś innego?

– Właściwie nie wiem, jak to ująć. Chyba nie chodzi mi konkretnie o reinkarnację. – Sam marszczy czoło. – Obawiam się, że jakkolwiek bym to ujęła, zabrzmiałoby idiotycznie.

– Powszechnie się wierzy, że średniowieczni teologowie toczyli wielkie debaty na temat tego, ile aniołów zmieści się na łebku od szpilki – mówi Neil. – Nie przypuszczam, żeby twoje pytanie mogło być bardziej idiotyczne.

– Czy w końcu to ustalili?

– Nigdy poważnie o tym nie rozprawiali. Taki mit. A nawet gdyby, to odpowiedź brzmiałaby: tyle, ile Bóg uzna za stosowne. Jak brzmi twoje pytanie, Samantho?

– Wyobraź sobie kobietę, która jest postacią fikcyjną, a jednocześnie jest prawdziwa. – Podnosi dłoń, bo widzi, że on chce o coś zapytać. – Nie pytaj, jak to możliwe, bo nie wiem. Po prostu przyjmij na wiarę, że tak jest. A teraz wyobraź sobie, że ta kobieta ma pierwowzór w naszym świecie: kogoś, kto wygląda tak samo, mówi tak samo, zewnętrznie przypomina ją pod każdym względem. Ta pierwsza nie mogłaby istnieć bez tej drugiej. Czy są tą samą osobą? Tą samą duszą?

Neil marszczy czoło i Sam przypomina go sobie, gdy miał szesnaście lat, co sprawia, że musi stłumić chichot.

– Ta druga jest pierwowzorem tej pierwszej, ale ta pierwsza nie jest jej klonem? – pyta. – Nie została stworzona z jej materiału genetycznego?

– Nie, nie sądzę.

– Jednak ta pierwsza jest ewidentnie stworzona na podstawie tej drugiej?

– Tak.

– Nie będę pytał, jak to jest możliwe. Po prostu przyjmę na wiarę, że tak jest.

– Dziękuję ci.

– Nie mogę wypowiadać się w imieniu całego Kościoła katolickiego, jednak według mnie nie są one tą samą osobą. To, co powiem, będzie grubym uproszczeniem, lecz zasadniczo Kościół naucza, iż istoty mające potencjał stania się człowiekiem posiadają własną duszę. Gdyby miano cię sklonować, ów klon nie byłby tobą, podobnie jak jednojajowe bliźnięta nie są tą samą osobą. Każde ma własne myśli i indywidualne doświadczenia; każde jest czymś więcej niż sumą swoich genów. Każde jest oddzielną osobą i posiada własną duszę.

– Myślisz, że to samo odnosi się do kobiety, o której mówię?

Neil spogląda na Samanthę dziwnie, jednak odpowiada na pytanie.

– Tak sądzę. Ta druga osoba ma swoje własne wspomnienia i doświadczenia, tak? – Ona potwierdza skinieniem głowy. – Jeżeli ma własne życie, to ma też własną duszę. To, co opisujesz, przypomina relację pomiędzy bliźniętami: są zewnętrznie identyczne, pochodzą od tych samych rodziców, jednak nie są tą samą osobą.

– A jeżeli te dwie kobiety żyją w różnych czasach? – dopytuje Sam. – Czy wtedy jest to reinkarnacja?

– Nie z katolickiego punktu widzenia – odpowiada Neil. – Nasza doktryna nie uznaje reinkarnacji. Nie mogę wypowiadać się w imieniu innych religii. Z twojego opisu nie wynika, żeby musiał to być koniecznie przypadek reinkarnacji. Ta druga kobieta jest osobowym bytem, jakkolwiek chciałabyś to zdefiniować.

– Dobrze – mówi Samantha.

– Pamiętaj, że to tylko moja opinia. Jeżeli chcesz znać oficjalne stanowisko Kościoła, musiałbym napisać do Watykanu. To potrwa.

Samantha uśmiecha się.

– Nie trzeba – mówi. – Twoje słowa przekonują mnie. Dziękuję, Neil.

– Proszę bardzo. Pozwolisz, że zapytam, o co tu chodzi?

– To skomplikowane.

– Zdążyłem zauważyć. Brzmi to tak, jakbyś zbierała materiały do opowiadania science fiction.

– Tak, coś w tym rodzaju – zgadza się Samantha.

\* \* \*

*Najdroższy!*

*Witaj na Cirquerii! Wiem, że Collins zapędziła Cię do roboty przy dużym projekcie, więc zobaczymy się dopiero, gdy zejdziemy na powierzchnię na negocjacje. Jestem w obstawie kapitana; nie spodziewa się żadnych*

*niespodzianek. Nie każ mi czekać dłużej, niż będzie to konieczne. Do zobaczenia jutro.*

*Kocham Cię i całuję.*

*M.*

*PS 1 Całuję.*

*PS 2 Kocham.*

*\* \* \**

Samantha kupuje drukarkę i tusz za kilkaset dolarów, po czym drukuje listy i zdjęcia z tajemniczej przesyłki sprzed miesiąca. Dziwny projektor, zgodnie z zapowiedzią, zapadł się w sobie, skruszał i w ciągu niecałej godziny dosłownie rozpułnął w powietrzu. Zanim to się stało, Samantha za pomocą swojego małego cyfrowego aparatu zreprodukowała wszystkie zdjęcia i filmy wideo ze zbioru. Pliki są teraz w aparacie i na twardym dysku jej komputera; drukuje wszystko w zupełnie innym celu.

Zużywa całą ryzę papieru; na każdej kartce jest list od Margaret Jenkins albo jej zdjęcie. Nie jest to całe jej życie – raczej odzwierciedlenie okresu, w którym była mężatką; czasu przeżytego z miłością i w miłości.

Sam bierze ryzę zadrukowanego papieru, podchodzi do niewielkiej niszczarki, którą kupiła razem z drukarką, i po kolei, metodycznie, zamienia każdą kartkę w wióry. Skończywszy, idzie do ogródka i umieszcza kłęb wiórów w niewielkim blaszanym kubie na śmieci, który również nabyła. Zgniatą papier lekko i przykłada do niego zapaloną zapałkę. Gdy papier się zajmuje, przykrywa kubek wiekiem, zostawiając je lekko uchylone, żeby zapewnić dostęp powietrza, a jednocześnie nie dopuścić, żeby wiatr rozwiewał popiół.

Gdy papier spala się do końca, zdejmuje wieko i zasypuje gorący popiół piaskiem z plaży, który ma w specjalnie na ten cel przygotowanym wiaderku. Idzie do domu po drewnianą łyżkę, którą miesza zawartość kubła. Po kilku minutach odwraca kubek i przesypuje całą zawartość do wiaderka. Przykrywa je, wkłada do bagażnika samochodu i jedzie w kierunku Santa Monica.

*\* \* \**

*Witaj!*

*Nie wiem, jak się do Ciebie zwracać. Nie wiem, czy kiedykolwiek przeczytasz ten list, a jeżeli nawet, to czy uwierzysz, że to prawda. Piszę go jednak, zakładając, że go przeczytasz i uwierzysz. Nie ma sensu robić inaczej.*

*Dzięki Tobie zaznałem szczęścia. Nie wiedziałas o tym i nie mogłaś wiedzieć. Co nie znaczy, że to nieprawda. To prawda, ponieważ bez Ciebie kobieta, która była moją żoną, nie byłaby tym, kim była – i tym, kim była dla mnie. Z tego, co*

wiem, Ty w swoim świecie grałaś ją jako aktorka przez zaledwie krótki czas – tak krótki, że może nawet nie pamiętasz tej roli.

Przez moment dałaś jej życie. W moim świecie ona dzieliła czas ze mną i sprawiła, że miałem po co żyć. Kiedy umarła, ja umarłem również. Umarłem na wiele lat.

Chcę znowu zacząć żyć. Wiem, że ona by tego chciała. By to zrobić, muszę Ci ją oddać. Oto ona.

Szkoda, że nie mogłaś jej poznać. Że nie mogłaś z nią rozmawiać, śmiać się i kochać jej tak, jak ja ją kochałem. Teraz to niemożliwe. Ale przynajmniej mogę Ci pokazać, co dla mnie znaczyła, jak ze mną żyła i dzieliła swoje życie.

Nie znam Cię; nigdy Cię nie poznam. Lecz muszę wierzyć, że moja żona była taka, jaka była, w znacznym stopniu dzięki Tobie – i że jakaś jej część nadal w Tobie trwa. Mojej żony nie ma już między żywymi i tylko to, że Ty istniejesz, stanowi dla mnie jakieś pocieszenie. Mam nadzieję, że to, co było w niej dobre, to, co w niej kochałem, jest obecne również w Tobie. Mam nadzieję, że w swoim życiu doświadczasz takiej miłości, jakiej ona doświadczyła w swoim. Muszę wierzyć, że tak jest, a w każdym razie, że tak może być.

Mógłbym napisać więcej, jednak – jak to mówią – długo można by mówić. Lepiej krótko: moja żona nazywała się Margaret Elizabeth Jenkins.

Dziękuję Ci za to, że mi ją dałaś, za czas, który mogłem z nią spędzić. Teraz zwracam ją Tobie.

Z wyrazami miłości  
Adam Jenkins

\* \* \*

Samantha Martinez stoi po kostki w morzu, niedaleko mola w Santa Monica, i rozsypuje to, co pozostało po życiu Margaret Jenkins, w miejscu, w którym Margaret spędziła niegdyś miesiąc miodowy. Sam nie spieszy się, między każdą garścią popiołu i piasku wspomina słowa Margaret i jej życie; pozwala, żeby stały się częścią jej własnej istoty – czy to po raz pierwszy, czy któryś z rzędu.

Skończywszy, odwraca się i widzi obserwującego ją mężczyznę. Uśmiecha się i podchodzi do niego.

- Rozsypywała pani popioły – mówi mężczyzna.
- Tak – potwierdza Samantha.
- Czyje?
- Mojej siostry – odpowiada. – W pewnym sensie.
- W pewnym sensie?
- To skomplikowane.
- Przykro mi z powodu pani straty.

– Dziękuję – mówi Sam. – Miała szczęśliwe życie. Cieszę się, że mogłam być jego częścią.

– To chyba najgorsza rzecz, jaką mógłbym w tej chwili powiedzieć, ale przysięgam, że wydaje mi się pani znajoma.

– Ja też mam wrażenie, że pana znam – odpowiada Samantha.

– Przysięgam, że to nie kwestia z filmu, ale... czy pani jest aktorką?

– Byłam.

– Grała pani w *Kronikach „Nieustraszonego”*? – pyta mężczyzna.

– Raz.

– Nie uwierzy pani, lecz wygląda na to, że grałem tam pani męża.

– Wiem.

– Pamięta pani?

– Nie. Po prostu wiem, jak wyglądał mąż mojej postaci.

Mężczyzna wyciąga rękę.

– Jestem Nick Weinstein – mówi.

– Cześć, Nick. Jestem Samantha. – Ścisną jego dłoń.

– Miło cię poznać – mówi Nick. – To znaczy poznać ponownie.

– Tak – zgadza się Samantha. – Słuchaj, Nick, zgłodniałam i mam ochotę usiąść gdzieś i coś przekąsić. Przyłączysz się do mnie?

Teraz on się uśmiecha.

– Jasne. Z przyjemnością.

Idą razem w kierunku miasta.

– Co za zbieg okoliczności – mówi Nick po chwili – że się tu spotkaliśmy!

Samantha uśmiecha się ponownie i bierze go pod ramię.



## PODZIĘKOWANIA

Napisałem tę powieść po tym, jak pracowałem przy telewizyjnym serialu fantastycznonaukowym, więc na samym początku chciałem poczynić następujące zastrzeżenie: *Czerwone koszule* nie są w żadnym wypadku inspirowane serialem *Gwiazdne wrota: Wszechświat*. Kto ma nadzieję na zawołaną satyrę na tamto doświadczenie, będzie rozczarowany. W gruncie rzeczy twierdziłbym nawet, że *Gwiazdne wrota: Wszechświat* były tym wszystkim, czym *Kroniki „Nieustraszonego”* nie były: zabawnym, dobrze napisanym serialem science fiction, starającym się zachować przynajmniej pozory naukowego prawdopodobieństwa.

Było mi naprawdę miło pracować przy *Gwiazdnych wrotach: Wszechświecie* w roli konsultanta literackiego; dobrze się przy tym bawiłem. No i oczywiście z przyjemnością oglądałem sam serial, zarówno jako fan gatunku, jak i ktoś, kto miał udział w jego powstaniu i mógł obserwować efekty swojej pracy na ekranie. To było naprawdę fajne.

*Czerwone koszule* dedykowane są między innymi Bradowi Wrightowi i Joe Mallozziemu – producentom *Gwiazdnych wrót: Wszechświata*, którzy zaproponowali mi pracę przy serialu. Przy tej okazji chciałem też nisko pochylić głowę przed obsadą, ekipą techniczną, scenarzystami i całym zespołem filmu. Szkoda, że nie mogłem pracować z wami dłużej; wszystko, co dobre, szybko się kończy.

Napisałem również tę powieść, piastując stanowisko prezesa Stowarzyszenia Amerykańskich Pisarzy Science Fiction, największej tego typu organizacji na świecie (a możliwe, że również w całym Wszechświecie, chociaż tego oczywiście nie umiemy jeszcze potwierdzić). Utało się mówić, że kto zostaje prezesem SAPSF, ten traci rok, który mógłby poświęcić na pisanie, a może też postradać rozum. Z radością stwierdzam, że w moim przypadku tak się nie stało, a to dlatego, że miałem szczęście pracować z radą nadzorczą złożoną z mądrych, oddanych ludzi, którzy wspólnie działali na rzecz członków organizacji, wykonując swoją pracę co najmniej równie dobrze (albo nawet lepiej) niż jakakolwiek inna rada w ostatnich latach.

Składam zatem szczerze wyrazy podziękowania, podziwu i uznania na ręce Amy Sterling Casil, Jima Fiscusa, Boba Howe, Lee Martindale’a, Buda Sparhawk, Seana Williama i zwłaszcza Mary Robinette Kowal. Praca z wami była dla mnie zaszczytem. Dziękuję również wszystkim wolontariuszom – to dzięki wam SAPSF jest organizacją, z której wszyscy możemy być dumni.

Za każdym razem, kiedy napiszę nową powieść, jestem zdumiony tym, ile tekst zyskuje, gdy wreszcie ukaże się w formie książkowej. Jest tak dlatego, że wielu wspaniałych ludzi pracuje nad nim po drodze. Tej książce pomogli: Patrick Nielsen

Hayden, mój redaktor; Irene Gallo, art director wydawnictwa Tor; twórca okładki Peter Lutjen; redaktorka Sona Vogel; specjalistka od składu Heather Saunders oraz redaktor prowadzący Rafal Gibek. Składam również podziękowania Cassie Ammerman, specjalistce ds. reklamy w wydawnictwie Tor, oraz oczywiście Tomowi Doherty'emu, który nadal wydaje moje książki, z czego cieszę się jak głupi. Dziękuję też mojemu agentowi Ethanowi Ellenbergowi oraz Evanowi Gregory'emu, odpowiedzialnemu za sprzedaż praw za granicę.

*Czerwone koszule* przeczytała najpierw niewielka grupka testerów, którzy przekazali mi bezcenne uwagi, a także zapewnili, że jest to coś więcej niż pamflet na telewizyjną fantastykę naukową (choć tym oczywiście też jest). Podziękowania niech przyjmą zatem: Regan Avery (jak zawsze), Karen Meisner, Wil Wheaton, Doselle Young, Paul Sabourin, Greg DiConstanzo oraz moja żona Kristine Scalzi, która zasługuje na podziękowania również za to, że wytrzymuje ze mną zawsze i wszędzie. Jestem jej za to wdzięczny.

Na koniec chciałbym podziękować Tobie, Drogi Czytelniku. Cieszę się, że wracasz po więcej. Jeżeli będziesz wracał, ja będę dalej pisał. Obiecuję.

John Scalzi

22 lipca 2011 r.

[1] Szlak Wolności (ang. Freedom Trail) – wyłożona czerwoną cegłą ścieżka spacerowo-biegowa w Bostonie, łącząca siedemnaście miejsc istotnych dla historii Stanów Zjednoczonych, od parku Boston Common po USS „Constitution” [przyp. tłum.].